12,–

Z DZIEJÓW LITWY

OKŁADKĘ I ILUSTRACJE W TEKŚCIE
WYKONAŁ MICHAŁ ROUBA

OKŁADKĘ I ILUSTRACJE ODBITO W TŁOCZNI „LUX" W WILNIE

MARJA REUTT

Z DZIEJÓW POGAŃSKIEJ LITWY

OPOWIADANIA HISTORYCZNE DLA MŁODZIEŻY

WAJDEWUTIS. MINDOWE. GEDYMIN.
DWAJ BRACIA (KIEJSTUT I OLGIERD)

K.S.N.P. WILNO

KSIĘGARNIA STOWARZYSZ. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
WILNO LIDA OSZMIANA ŚWIĘCIANY

Podania i baśnie litewskie zajmowały kiedyś dziecinną moją wyobraźnię, z zachwytem słuchałam opowieści o pięknej Egle, o trzech braciach rycerzach i dobrej królowej Krumine. Chodząc po borach wsłuchiwałam się w szum dębów i jodeł, wyobrażałam, że one żałosne raudy pieją po zmarłych kunigasach co na stos szli z pieśnią, od hańby niewoli w ogniu się chroniąc.

Z umiłowania tych podań i opowieści, z ukochania ziemi rodzinnej powstała ta książka młodzieży polskiej poświęcona.

Opracowałam ją na podstawie starych kronik podań i pieśni, materyały do niej czerpałam z dzieł Kraszewskiego, K. Szajnochy i Jaroszewicza. Szczęśliwą będę jeśli praca moja zajmie młodych czytelników, jeśli czytając ją, ukochają kunigasów litewskich, którzy piersią swą osłaniali rodzinną ziemię i których zawołaniem życiowem było:

— Boże daj umrzeć — ale nie zginąć!

Marja Reutt

WAJDEWUTIS

Z dziejów Litwy. 1

I.

Północ minęła, ucichł las, umilkły ptaki i zwierz wszelki usnął. Na jasne niebo wypłynął duży księżyc, zajaśniały gwiazdy i przejrzały się w czystej szybie jeziora. I woda stała cicha — zda się uśpiona. Woń drzew i kwiecia rozchodziła się dokoła. Noc lipcowa ciepła i cicha jak rzadko się widziało w te czasy.

Plusnęło coś w szuwarach, rozchyliły się nadbrzeżne sitowia, co jak las gęsty ocieniały jezioro i na jasną taflę wody wypłynęła mała łódź. Szybko pomknęła po wodzie wiedziona ręką dziewczęcą.

W białej lnianej odzieży, z wieńcem rucianym na jasnych włosach dziewczątko stojące u steru, zdawało się być boginką wodną.

Prócz niej na łodzi nie było nikogo.

Dziewczyna widocznie nie po raz pierwszy płynęła jeziorem, bo ani razu nie wstrzymała swej łodzi w biegu. Odgarniając wiosłem sitowia i trawy przybiła do przeciwległego brzegu i lekko z łodzi wyskoczyła. Rozejrzała się bacznie dokoła, poczem łódź na brzeg wyciągnęła, by jej fale jeziora nie uniosły i wraz z wiosłem ukryła w krzewach. Jeszcze

raz uważnie popatrzała dokoła i stojąc już na wysokim brzegu jeziora zakukała.

Gdzieś w dali odpowiedziała jej zbudzona ze snu kukułka. Wtedy spojrzawszy na gwiazdy, pomknęła chyżo w głąb czarnego boru. I tu jak na wodzie drogę musiała znać dobrze, bo szła śmiało i prędko, czasem tylko pochylając swą gibką postać pod zielonemi gałęźmi jodeł, to znów ze zręcznością sarny przeskakując przez powały drzew zwalonych burzą. Zbudzone szelestem jej kroków porywały się z zarośli uśpione ptaki i łopocząc skrzydłami, leciały w dal. Nie przerażało to dziewczyny. Znała tę ciemną, nieprzebytą niemal puszczę i była w niej jak w domu.

W głębi boru na niewielkim wzgórku stała „numa", czyli prastary dom litewski. Był to raczej szałas, ile że okien i drzwi nie miał. Z grubych, nie ociosanych zrębów drzewa zrobiono cztery ściany a na nich dano pokrycie, niby dach z sitowia rzecznego przyciśnięty gałęźmi, by wichry go nie uniosły. Wejście do szałasu było z desek zbitych ze sobą. U szczytu zamiast komina, nieznanego w te czasy, zatknięte były rogi jakiegoś dzikiego zwierza. a na nich zawieszone do suszenia skóry.

Numa była obszerną, snać kryła rodzinę liczną, lub też zamożną w dobytek. Ludzie bowiem w owe czasy żyli pospołu ze zwierzęty. Dokoła numy była zagroda, od niej płynęła woń ruty i mięty.

Dziewczyna do drzwi zawartych podeszła, lecz ich nie uchyliła. Stała chwilę w świetle księżyca

cała, wysoka a smukła, miłującemi oczyma ogarnęła dom i zagrodę. Dawno już tu nie była.

— Motineli (mateczko) — szepnęła — ty śpisz?

Ale opamiętała się w czas, wszak nie do matki tu przyszła.

I nagle puszczyk ozwał się raz, drugi i trzeci. Uchyliły się drzwi numy, i wyszedł z nich mąż wysoki, cały w skóry zwierzęce ubrany.

Wyjrzał i zdumiony stanął, widząc dzieweczkę.

— Żywila, — szepnął — tyś tu?

Dziewczyna do nóg mu się pochyliła.

— Tieweli (ojczulku) Brutenius mię posłał, u świętego dębu ciebie czeka.

— Teraz? — zagadnął Litwin.

— Dziś jeszcze. nim zorza zejdzie, wolę bogów oznajmić ci musi.

— Łuk wezmę, i pójdę, — rzekł ojciec — czekaj.

Dziewczyna zrobiła ruch ku drzwiom numy.

— Motineli, — szepnęła — niech wejdę i spojrzę.

— Na Perkunasa nie, nie — zaprzeczył ojciec. — Czasu nie mamy, noc krótka. Zresztą nikt nie ma wiedzieć.

Dziewczyna smutnemi spojrzała nań oczyma, ale posłuszną była. Tylko, gdy ojciec znikł w drzwiach numy, ona podeszła do ogródka, urwała pęk ruty i ucałowawszy wsunęła ją w zanadrze.

Opowieść nasza sięga dawnych, prastarych czasów, gdy trzy krainy litewskie: Prusy, Litwa i Żmudź opędzać się musiały nieprzyjaciołom. Z północy

na łodziach przypływali tu Skandynawowie, łupili kraj, zabierali kosztowny bursztyn od krajowców, kazali sobie płacić daninę drogiemi skórami i wracali do swej zamorskiej krainy. Z południa, rok rocznie, skoro tylko zamarzły błota i jeziora, wpadali gorsi o wiele od Skandynawów Mazurzy, gdy od tamtych okupić się było można drogiemi skórami lub bursztynem, ci żądali stokroć cięższego okupu. Zabierali dzieci litewskie. Młodzież, dziewczęta i chłopcy w ciężką szli niewolę, bo Mazurzy mieli liczne wojska, lepiej byli uzbrojeni, mieli wodzów i bezlitośnie tępili ubogi lud litewski i pruski, który bez wodza nie umiał stawiać oporu i zmuszony był dawać w okup najeźdcom swe dzieci.

Wajdewutis wiedział, iż jego to czeka. Sześciu synów i trzy dziewki chowały się w jego numie. Haracz więc miał czem opłacić.

Ze wszystkich dzieci najmilszą mu była Żywila. Dwie starsze, ani tak piękne, ani tak zręczne nie były, jak ta jasnowłosa, jego Saulyte (słoneczko) ukochane. O chłopców się nie bał, chociaż — dwaj, Sweno i Kuno młodsi byli od Żywili. Chłopak łatwiej sobie pocznie i w niewoli. Na myśl o tem, że Żywila miałaby być niewolnicą, dźwigać ciężary, może orać pola lechickie, służyć im, tym zbójom, burzyła się krew ojca.

Od wiosny już obawiając się najścia wrogów, ukrył dziewczynę u brata wajdeloty. I nikt, nikt, nawet żona jego, a matka Żywili, nie wiedziała, kędy się dziewczyna chowa.

— Tylko Lietua (Bogini wolności) i my dwaj —

mówił Wajdewutis żegnając brata, mamy wiedzieć kędy się kryje moje Saulyte (tak zwykł zwać swą córkę). I dlaczego dziś mądry wajdelota, dziewkę po niego przysłał?

Tak myślał płynąc przez jezioro Wajdewutis. Milczał i patrzał na Żywilę, jak zręczna i gibka wiozła go przez toń głęboką.

I dziewczyna milczała. Wiedziała co ją spotkać może, wiedziała, że się kryć musi, bo i swoi wrogami być mogą. Któż wie, czy kiedy, gdy napastnicy się zjawią, by własne dziecko ocalić, sąsiad jaki nie wskaże im numy Wajdewutisa wrogom. A wtedy...

I znowu od łodzi poszło w bór kukanie kukułki. I z głębi boru odpowiedziała jej druga ptaszyna.

— Tiewieli (ojczulku), — szepnęła Żywila, do nóg się ojcu chyląc — do ognia pójdę!

Wajdewutis dłoń twardą położył na miękkich włosach ukochanego dziecięcia.

— Idż — szepnął — a niech cię Lietua prowadzi.

— — — — — — — — — —

U starego dębu, którego ośmiu ludzi objąć nie mogło, stał wajdelota z wieńcem zielonym na głowie. Stał i patrzał w gwiaździste niebo. Jasne, pogodne było. Snać i Perkunas sprzyjał jego zamiarom.

Rozchyliły się gałęzie i cicho jak duch stanął przed nim brat Wajdewutis.

— Przybywam — rzekł.

Wajdelota skinął głową.

— Przez usta me mówić będą bogi. Wypeł-

niły się czasy i przyszła chwila odwetu. Dość hańby i pokory, dość łez i krwi naszej! Szeroko po Prusach i Litwie rozeszlę kapłanów, zapalę stosy i lud zwołam. Wajdewutisie, ty lud powiedziesz za Wisłę, do Mazurów, odniesiesz im krew i ogień. Pójdziesz i wrócisz zwycięzcą.

W miarę jak to mówił, drobna postać kapłana olbrzymiała w oczach Wajdewutisa. Blade oblicze jego, ocienione zielonym wieńcem promieniało a z natchnionych oczu zdawały się skry sypać.

— Za hańbę i niedolę dzieci Litwy, za łzy matek i rozpacz ojców, skarzą ich bogi. Pioruny i gromy pośle im Perkunas, Atrimpos *) cofnie swe dary, Poklus **) zniszczy kraj cały, a Nijoła ***) czerwonym płaszczem pokryje ich numy.

Wajdewutis w milczeniu głowę pochylił.

— Dziś, gdym u świętego dębu składał dary, Lietua — mówił dalej kapłan — bogini znak mi dała. Gdym pokornemi modły błagał o wolność i szczęście ludu, kot czarny mi się zjawił. Kot — to znak wolności. Bogini mi go zesłała...

— Gdym potem znużony, usnął w cieniu, bogi mi ciebie Wajdewutisie pokazały. Przyszedłeś z kotem na ramieniu, a dokoła ciebie stały dzieci litewskie. Żywiła ogień święty nieciła, a dzieci Kunigasowi „Garbie" spiewały.

— Lecz dlaczego Żywila ogień nieciła? — zapytał Wajdewutis z niepokojem.

---

*) Atrimpos, wodny bóg urodzajów.
**) Poklus, bóg zniszczenia.
***) Nijoła, boginia śmierci.

— Do ognia świętego wzywają ją bogi — odrzekł kapłan. — Tobie Kunigasem być, — jej, w świątyni ognia pilnować. Taka wola bogów.

Wajdewutis głowę na piersi schylił. Więc i bogi wydrzeć mu chcą Saulyte oczu jego.

— Zanim cztery razy miesiąc odmieni się blady — mówił Brutenius bacząc na brata — Prusy i Litwa tu przyjdą, by nieść zagładę wrogom. A teraz już świt. Ofiary bogom składać czas. — Idź — i bądź cichy, a czujny jako Żaltis, — bóg wód, bóg nasz wielki i mądry. Lud zbieraj wolny i niewolny i na piąty miesiąc tu się staw...

— Idź...

Skończył i jak duch znikł z przed oczu zdumionego brata.

II

Już cztery razy przemienił się księżyc blady, od chwili gdy Wajdewutis dowiedział się z ust wajdeloty o przyszłym swym losie. I znowu nadeszła noc piękna, i jasnym blaskiem oświetlił księżyc ciemną pruską puszczę. U świętego dębu stał ułożony stos ofiarny. Otaczali go dokoła kapłani, czekając nadejścia Bruteniusa.

On bowiem miał władzę w tej okolicy. I tylko on mógł zapalić stos ofiarny.

Czekali go dziś nie sami kapłani, lecz i lud wezwany.

Posłowie Bruteniusa, zebrali co najpoważniejsze

rody pruskie, litewskie i żmudzkie. Stawili się męże orężni, zaszyci w skóry, z kołczanami i łukami u boku i inni ubożsi w płótniankach tylko odziani. Prócz łuków i strzał, mieli ze sobą jeszcze proce, drewniane oszczepy i buławy, którymi wroga walić można było. W tamte czasy nikt nie wiedział, gdzie i kiedy lub przeciw komu, broń potrzebną będzie. I ludzi i dzikiego zwierza trzeba było się strzedz.

Nikt nie znał powodu wezwania. Stawili się jednak niemal wszyscy. Wajdelota wolę bogów miał im oznajmić. Może sam Perkunas z nim mówił?

Nie było jeszcze jednak wszystkich. Kodisy nie przyszli, ani Duksztynisów nie było, nikt jeszcze nie widział Wajdewutisa, choć numa jego była w pobliżu.

Czekano więc i wajdeloty i mężów tych. Rozniecono ogniska w pobliżu świętego gaju i siedząc dokoła gwarzono.

Nie wesołe jednak były te rozmowy. Mieszkańcy północni, opowiadali o rabunkach Skandynawów. Tamci z południa, o napadach mazurskich. Żalili się na nich, iż im dziatwę porywają.

— Ot — mówił Narymunt, — zeszłej jesieni, gdy pierwsze mrozy ścięły ziemię, wpadli do numy brata męgo. Mężów nie było, bośmy na niedźwiedzie wybrali się całym rodem, zostały niewiasty, dziewczęta i dwóch chłopców małych.

Wraca Szwainos do domu, a tu numa spalona, stare kobiety pomordowane, a młode i dzieci uprowadzone.

— Mazury to byli. — rzuciliśmy się w pogoń, ale ślad zaginął.

— Jeśli tak dłużej będzie — mówił stary Rymwid — to niedługo wyginiemy wszyscy.

— I snać nic nie poradzimy, — przytwierdził Jurgis. — Możeby najlepiej było, zabrać się i iść stąd z żonami i dziećmi — za słońcem kędyś. Innej ziemi poszukać...

Tak gwarzyła starszyzna, młódź mówiła o łowach. Puszcze dzikie były, a w nich mnogość wielka różnego zwierza. Smukły jak jodła, a silny jak dąb Witol, opowiadał o swej przygodzie myśliwskiej w puszczach nadniemeńskich.

— Za turem dzikim — mówił młodzian — zapędziliśmy się, z Jurgisem rudym. Byk był duży i zmykał nam przednio, goniliśmy go dzień cały. Jak biegł to las jęczał jak żywy, tak łamał w drodze sosny i olchy. Nagle stanął wprost nas. Straszny był. Sierść czarna mu się jeżyła, oczy krwią zaszły, a z pyska i nozdrzy buchał parą i pianą...

Tu urwał swe opowiadanie myśliwiec, bo uwaga słuchaczy zwróconą została w inną stronę.

Z ponad stosu, ułożonego już do zapalenia, wynurzyła się postać biała z wieńcem zielonym na głowie.

Był to Brutenius. Nikt nie wiedział skąd i kiedy przyszedł?

I teraz gdy tak stał w ciemnościach na stopniach stosu, wyglądał jak duch, nie jak człowiek żywy.

Porwano się dokoła.

Wajdelota wzniósł rękę, w której na znak władzy trzymał zakrzywioną laskę.

Stała się cisza wielka. Zdawało się, że nawet liście drzew stuliły się i nakazu bogów czekają.

Litewskie narody nie miały w te czasy wodza, ani księcia. Cześć bogów była za to wielką, szanowano też i korzono się przed kapłanami, którzy z bóstwem obcowali.

— Ludu mój — gromkim a dźwięcznym głosem rzekł kapłan — bogi mię do ciebie przysyłają. Potężny Perkunas i wielka Lietua pytają Prusów, Litwę, Żmudź i Jaćwież... Żaliż nie macie mężów silnych i strzał lotnych? Słabeż są dłonie wasze? A karki tak giętkie, że je chylicie przed obcymi? A może kądzielą bawią się męże wasi i w bój iść nie radzi.

— Lata całe nęka was zamorski wróg. Bogactwa puszcz i morza wydziera wam, a wy mu pokłon dajecie... A z za Wisły nie słyszycież wy głosu dzieci swych, córek i synów? których wam Lechia wydarła. Słuchajcie! — tam dzieci wasze jęczą!

Zamilkł i znowu była cisza. Męże orężni czuli bicia serc w piersiach.

— Słyszycie!... — zagrzmiał głos wajdeloty.

I naprawdę zdało się, że przez puszczę przeszedł jęk jakiś, jakby płacz z oddali.

Zadrżeli wszyscy. — Lęk i ból ogarniał dusze ludzkie.

I nagle jakby z jednej piersi porwał się krzyk wielki.

— Na wrogów! na wrogów pójdziemy! Odniesiemy im krew i pożogę.

Wajdelota ręce wzniósł do góry.

— Garbie *) potężnemu Perkunasowi i wielkiej Lietui, co moc dają braciom mym Lecz gdy wyprawę zrobicie na wroga, któż wieść was będzie? Gdzież mąż co ludowi memu da zwycięstwo?...

I znowu zapanowała cisza. Niejeden obejrzał się dokoła, kogoby wybrać. Inny może i sam chętnie kunigasem (wodzem) by został.

Ale wszyscy spojrzeli na jasną postać stojącą przed stosem i jednogłośnie zawołano:

— Brutenius wodzem! On nas na Lechię powiedzie!

Wajdelota ręką nakazał milczenie.

Tłum stał niepewny co począć? kogo wybierać? Kapłan zszedł ze stopni stosu. Wszedł w koło mężów.

— Pytałem już bogów o znak — rzekł — nie dają żadnego... Lecz mężów wszystkich tu niema... Znicz bogom zapalmy, gdy jasnym płomieniem ku niebu wystrzeli, kunigas Litwy tu stanie...

Ale tłum wołał znowu:

— Bogi znak dały, tobie swą wolę objawiły. Ty kunigasem nam będziesz!

— Uciszcie się — ozwał się wajdelota, a gdy wołania ustały, wzniósł dłoń ku niebu.

— Jam sługa bogów — rzekł. — Mnie kunigasem być nie wolno. Męża trzeba, co krzepką dłoń ma. Lietua wam go zeszle. Znicz zapalmy święty.

---

*) Chwała.

Dał znak i zaraz krewowie i wajdeloci zanucili pieśń i obeszli stos po trzykroć dokoła, za nimi szli ofiarnicy i składali kolejno na stosie, jedni: ofiary z pól i ziemi: a więc zboże świeżo ścięte, czarną rzepę i inne owoce. Drudzy z rogów leli mleko kobyle i miód słodki.

Zielenicy *) nieśli na ołtarz wonne kwiecie, rutę, macierzankę i inne zioła leśne.

W końcu jeden z ofiarników zapalił smolne łuczywo i podał je Bruteniusowi.

Ten wzniósł je w górę i zawołał:

— Perkunasie, boże potężny tobie cześć! — i wcisnął palące się łuczywo w sam środek stosu.

Buchnął ciemny dym.

A w lesie coś zadudniło.

Męże zbrojni to szli.

— Kodis idzie ze swą drużyną — rzekł ktoś zdala stojący.

Ale stos ogniem nie buchał.

Zapalił się zwolna chrust leśny i jasne płomyki pełzać dokoła poczęły.

I znowu zamajaczyły postacie wśród drzew, niepodobna było odgadnąć z oddali kto przychodzi.

— Perkunasowi garbie — ozwał się głos męski.

— Ho, to Szyrwinty idą — wołano w tłumie. Któż jeszcze przyjdzie? czyżby bogi woli swej objawić nie chciały? — pytano w ciszy. Jasny płomień nie buchał, choć wajdeloci obrzucali stos ziarnem dokoła.

---

*) Kapłani, którzy kwiaty i zioła zbierali.

Aż nagle od jeziora ozwał się głos lipowej surmy. Po borze przeleciała pieśń smętna a silna i zdała się wołać na bój olbrzymi.

Snop ognia strzelił wśród ciemności w górę. Skry posypały się dokoła. Stos stanął w ogniu.

— Kunigasowi Litwy garbie — zawołał potężnym głosem Brutenius.

U świętego dębu stał Wajdewutis. I jak jeden mąż wszyscy nagle na twarz przed nim padli.

Bogi znak dały. Litwa miała kunigasa.

Tłum korzył się przed wybrańcem bogów. A on stał wysoki i silny, jak dąb litewski.

— Pramżimasowi*) bogu cześć! — zawołał. Potężna dłoń jego, niech da moc ludowi memu i do zwycięstwa go wiedzie.

Na niebie pobladły już gwiazdy. Księżyc krył się w dali. Zajaśniały pierwsze brzaski wschodzącego słońca. Lud wstał i otoczył wieńcem palący się stos, na którym Brutenius składał ofiary.

Zaświergotało ptactwo leśne. Nie bało się ono ludzi. Litwini nie męczyli ptasząt, przeciwnie otaczali je opieką. Składając ofiary rozrzucano zboże dokoła palących się stosów, to też pełno było zawsze w pobliżu świętych miejsc leśnych śpiewaków. Ze śpiewu ich i lotu wróżono często. W podobny sposób opiekowano się wężami, jaszczurkami i innymi płazami, od których roiło się w puszczach pruskich i litewskich. Węże mieszkały wespół z ludźmi w numach.

---

*) Przedwieczny bóg Litwy.

I teraz gdy zaświergotało ptactwo leśne, najstarszy wróżbita kapłan Witenes, wsłuchiwał się długo w ich świergot, aż w końcu wzniósł dłoń w górę.

Skupili się wszyscy. Jakaś nowa wróżba.

— I wajdelotom i kriwom — rzekł sędziwy kapłan — wodza potrzeba. Gdy lud ma Wajdewutisa, bogi nam dają Krewe-Krewejtę-Bruteniusa. Garbie Perkunasowi!

Nikt nie dziwił się wróżbie. Bo czyż mógł się pomylić mądry Witenes, on, co mowę ptasią rozumiał? A i któż wśród kapłanów godniejszy nad Bruteniusa?

Okrzykiem więc wielkim przyjęto nowy wybór.

I znowu buchnął Znicz wielkim ogniem. A na niebo tymczasem wypłynęło potężne, dobroczynne słońce i blaskiem swym zalało puszczę.

Brutenius głos zabrał.

— Już słońce-matka wita kunigasa Prus, Litwy i Żmudzi — rzekł. — Bogowie spocząć radzi. I lud spoczynku pożąda. Z daleka tu przybyli bracia moi. Idźcie szukać chłodu w cieniu drzew. Jutro bogi wolę wam swą oznajmią.

Tak mówił mądry Krewe-Krewejta, a kunigas lud prosił na ucztę do swej numy.

Znużenie ogarniało zebranych, to też rozproszono się po lesie, by nieco użyć spoczynku. Wajdewutis z synami pospieszył do numy. O południu miano się zejść u niego, trzeba więc o uczcie pomyśleć.

Kobiety udziału w naradach nie brały, to też

żona Wajdewutisa w numie siedząc z córkami, pracą domową była zajęta.

Jeden z synów pobiegł matce wieść zanieść, iż ojciec kunigasem został i że do numy powraca.

Wyszła Alanka z dwiema córkami swemi, Mitą i Kadiną, Żywili i dotąd w numie ojcowskiej nie było, by ojcu i braciom nogi umyć i powitać kunigasa.

Wszystkie trzy wysokie były i silne. Ubrane jednakowo w płótniankach szarych, sięgających do kostek, ręce i piersi miały odsłonione. Sznury bursztynu otaczały ich szyje. Dziewczyny miały na głowach wianki ruciane, a Alanka zawój płócienny, zwany kykas, podpięty pod brodą.

Gdy Wajdewutis podszedł do numy, Alanka przyklękła i pokłon mu dała jako kunigasowi, a on ją serdecznie podniósł i wziął w ramiona.

Córki nogi ojcu obmyły i braciom starszym również.

— Moteriszke (kobieto, żono) — pieszczotliwie mówił Wajdewutis — gości dziś będziemy mieli. Spraw, by kunigas Prus głodnych z domu nie odprawił.

— Zrobię wedle woli twej — odrzekła żona.

Poczem każde poszło w swą stronę.

Wajdewutis zawołał po chwili:

— Motariszki, dziś Żywila do numy przyjdzie.

Klasnęła w dłonie radośnie i córki wołać poczęła. I ona jak mąż miłowała nadewszystko śliczną córkę swą.

Smutnym wzrokiem popatrzał na radość matki kunigas.

— Moti — rzekł w końcu — nie raduj się, ona już nie nasza.

— Zaswatałeś ją komu? — rzekła z żalem — toć że młódka straszna jeszcze.

Ale mąż głową potrząsnął.

— Bogi nam ją zabierają...

— Bogi! — zawołała. — Daj im dary, złóż ofiary a niech nam zostawią dziecko ukochane...

Wajdewutis wziął ją za rękę, wywiódł z numy i rzekł:

— Rok rocznie Lechia zabiera nam dzieci, niszczy pola i łąki, wydziera bogactwa wszelakie. Wielka Lietua wolność nam zsyła. Wolą Perkunasa jest, bym kunigasem Litwy był i Lechię zwyciężył. Bogi nam dają zwycięstwo i wolność. Żądają ofiary dla ziemi naszej, dla wolności jej trzeba...

A matka ze łzami mówiła:

— I czemuż ją właśnie wybrali?...

— Wolność ziemi całej krwią serdeczną płaconą być musi. Żywilę poświęcić musimy.

A gdy ona płakała wciąż, rękę na jej ramieniu położył i rzekł:

— Nie płacz moti *), wajdelotką ona świętą będzie. Znicza w wolnej Litwie strzedz ma. Bogi tak chcą...

— A teraz idź i o gościnie myśl.

---

*) Matusiu.

III.

Numa Wajdewutisa podobna do innych domów pruskich, odznaczała się tylko tem, iż była o wiele obszerniejszą. Zamiast okien z szybami miała dwa okrągłe otwory, zwane Bałunka (błonka) od błon zwierzęcych, któremi otwory te były obciągnięte, by światło wpuszczały. Do numy wiodło dwoje drzwi, mniejsze dla ludzi, większe dla bydła i koni, gdyż podczas chłodnej pory mieściły się i one w numie. Nad drzwiami wyrąbane były dwa inne otwory, dla wypuszczenia dymu, na noc zasuwano je deszczułkami.

W środku numy była jama szeroka na ognisko. W niej palił się zawsze ogień. Obwód ogniska założony był kamieniami, które służyły za ławy i stół dla domowników i gości.

Próg wiodący do numy był wysoki i uważany za miejsce święte, nad nim bowiem mieszkały bogi domowe.

Jednak chociaż numa była obszerną, pomieścić wszystkich gości nie mogła. Zebrała się więc tam tylko starszyzna, naczelnicy rodów. Supany pruscy i bajoras litewscy, młodzież rozłożyła się na polance przy ognisku.

Jadła i napoju nie brakło nikomu. — Chociaż dopiero wczoraj wybrany na kunigasa, Wajdewutis, wiedział jednak już o tem, iż wolą bogów jest, by był wodzem ludu i księciem, stosownie zatem do tej uroczystości się przysposobił.

Zastawiono więc ucztę wspaniałą. Były tam

przednie mięsiwa, pieczenie końskie, sarnie i ulubiona nad wszystko wieprzowina. Gdyż jak mówiono: *Nier kajp kiaulena* (nic nad świnię).

Chleb, którym pruskie kobiety słynęły, *taszta* czyli ciasta i bogactwa wód litewskich: przewyborne ryby, łapane dzisiejszej nocy do koszów, zwanych na Litwie smutis czyli sak.

W turzych rogach pieniło się piwo zwane alusem, słodkie miody, a wkońcu kunigas podał gościom święty napój *Kumełopjenos* zwany: mleko kobyle, zmieszane z krwią bydlęcą.

Przed piciem poświęcano go modlitwą, a jak wszystkie jadła i napoje, ofiarowywano przedewszystkiem bogom. Dla nich odkładano zawsze przy ucztach, w kącie i pod progiem, trochę jadła i napoju w glinianych miseczkach i dzbankach.

Tak wspaniałe przyjęcie nie mogło się skończyć rychło. Biesiada ożywiła wszystkich. Mówiono i radzono z zapałem o przyszłej wyprawie. — Przed wyprawą mieli się jeszcze rozejść do domów, gdyż i pora była zawczesna, trzeba było trochę przeczekać, aż jesień nadejdzie a puszcze obeschną trochę z błota.

Łowy też miano wyprawić wspaniałe, bo jadła a zwłaszcza mięsiwa, należało robić duży zapas. Kunigas bliższych sąsiadów zapraszał, by już do domu nie wracali, lecz u niego zostali i wybrali się razem na łowy.

Kobiety i w uczcie udziału nie brały. Praca domowa leżała na ich barkach, to też gdy Wajdewutis ucztował z gośćmi, Alanka z córkami i Żywilą

którą już Brutenius odesłał, zajęte były posługą biesiadników.

Żywila z radością wróciła do matki i sióstr. Tyle czasu tu nie była, witała się więc z każdym sprzętem, z każdą rośliną i kwiatem, rosnącym przy numie. Zostawiła to zaledwie wysuwające się z ziemi, a teraz kwitło wszystko i krasą swą a wonią witało ją.

I matka i siostry szczęśliwe z jej powrotu, nie dały jej wziąć się do żadnej pracy cięższej, ale dzieweczka sama się brała do roboty. Cieszyło ją to, że i ona wespół ze swymi, gości przyjmuje. Śpiewaczką też była słynną, więc i teraz obracając ciężkie żarna, w świronku, po za numą ustawionym, śpiewała słodkim, czystym głosem:

Miłe słoneczko, boska córeczko,
Gdzieś tak długo bywało?
Gdzieś się tak długo zatrzymało
Gdzieś się od nas oddaliło?

Za morzami, za górami,
Strzegłom dzieci sieroty.
Grzałom biednych pastuszków.

Miłe słoneczko, boska córeczko,
Kto tobie z poranka,
Ogień rozkładał? kto ci zakrywa
Łóżko twoje wieczorem?

Jutrzenka i wieczornica *)
Jutrzenka ogień roznieca,
Wieczornica łóżko ściele **)

*) Gwiazda wieczorna.

**) Urywek ze starej litewskiej pieśni, podają ją: Narbut i J. Kraszewski w dziele p. t. „Litwa".

Pieśń jej rozlegała się dokoła numy, a Litwini wielcy miłośnicy muzyki i śpiewu, milkli i słuchali z zachwytem. Alanka zaś ciężko wzdychała. Nie długo już głos ten drogi zamilknie tu, odejdzie w dal do ołtarza bogów słoneczko jej, córeczka ukochana.

Gdybyż choć wiedzieć, co ona robić będzie, myślała sobie matka, wszak jak dotąd, to żadnej dziewczyny nie żądali bogi dla siebie, Wajdewutis pierwszym kunigasem został. A Żywila co robić będzie?

I choć on, ten kunigas jej kochany, powiedział, że tak trzeba dla szczęścia całego ludu, serce matki ściskało się w piersi i żal okrutny je zalewał.

I Mita i Kadina nie były też tak wesołe, jak zazwyczaj. Dziwiło to Żywilę, ona dziś była szczęśliwą. Wszak do numy wróciła, do motineli swej, do sióstr, ojca, braci i do gołębi i do ruty rodzinnej... Cóż im brakuje?...

Gdy się tak zabawiano w numie Wajdewutisa, córeczkę boską, słoneczko ukochane, pokryły ciemne chmury, porwał się wicher straszny i zatrząsł puszczą. Gięły się smutne klony i rosochate lipy, szumem przerażenia wołały stare jodły.

Perkunas grzmiał głosem wielkim. Jasne błyskawice, jak wstęgi ogniste przecinały czarne chmury. Raz po razu bił grom po gromie. Przerażeni biesiadnicy uciekli od uczty ze strachem, szepcząc: Dewas Perkunas absolo mus (Boże Perkunie ocal mię). Aż na spaloną długim skwarem ziemię spadł deszcz rzęsisty.

Padał on noc całą, burza jednak rychło minęła

i uraczeni goście Wajdewutisa, mogli zaznać spoczynku.

Zaledwo błysnęła zorza poranna, wybrano się wedle nakazu Krewe-Krewejty do świętego gaju.

Deszcz ustał i dzień zapowiadał się jasny i pogodny.

Potężny poczet mężów wyszedł z numy Wajdewutisa. Kunigas otoczony starszyzną szedł pierwszy. Młodzież zamykała pochód. Znalazła się także muzyka, tak miła zawsze sercu litwinów. Grały rogi, drewniane dudy, „didinikas“ zwane i litewskie trąby „turymitta“. Gdy orszak wszedł w gęstwinę puszczy umilkła muzyka, bo trudno było grać przedzierając się przez puszczę wielką, w której paprocie rosły tak olbrzymie, iż niejednego męża kryły z głową w swym cieniu. Wtedy młódź idąca z tyłu, zagrzmiała pieśnią:

Nad morzem, nad przystanią,
Biała góra wznosi się,
Na górze, na pagórku,
Stoi dąb zielony.

I do tego zielonego dębu spieszono. Trzeba było jednak przedtem przebyć jezioro. Trudno wsadzić wszystkich mężów na łodzie, ale kunigas pomyślał o tem zawczasu.

Zbito belki sosen i utworzono jakby pomosty czy też dzisiejsze promy, weszli na nie Litwini, a przewoźnicy długimi drągami pchali je przez wodę.

Tu już stłoczono się i stano w ciszy, bo i świątynia była niedaleko, i na wodzie spokój był konieczny. Stary Erdziwiłł co już lat sporo miał za

sobą i mędrcem słynął na całej Litwie, gadki przeróżne znał. Młodzież prosić go poczęła, by im jaką opowieść dawną rzekł. Stary chwilkę się namyślał, a potem spytał, pokazując znalezioną w lesie żołądź. „A wiecież wy braciaszkowie moi, kto dał Litwie naszej zboża wszelakie i w czem je przyniesiono do naszej ziemi?“ A gdy nikt odpowiedzieć nie umiał, stary tak opowiadać począł.

— Dawno już, dawno temu, tak dawno, iż nawet już o tem starzy tylko z opowieści wiedzą, nad brzegami rzeki Rosi, na Litwie naszej, żyła królowa Krumine (po polsku Ożyna). Mądrą ona i dobrą była, a miała córkę prawdziwej piękności. Oczy jak niebo, usta jak korale, a włosy złote jak promyki słońca, a długie, że się nimi zakryć cała mogła. Miłowała też ją królowa Krumine nad życie własne. Nijoła, tak się dziewczynka owa zwała, wybiegła raz nad rzekę, kwiatuszków sobie uszczknąć. — Litwę nie darmo zwie pieśń kwiatorodną, boć, że takiego kwiecia jak w naszym kraju, nie znajdziesz po świecie. Nijoła poszła nad Roś, po kwiatki. Zebrała już ich dużo i do matki wracać chciała, a tu patrzy, rośnie jeden najpiękniejszy zdaje się w samej rzece — woda nie głęboka, piaskiem żółtym dno wysypane. — Zdjęła więc trzewiczki królewna i buch do wody. Ale ledwo nóżką tknęła dna rzeki — już po niej.

— „Utonęła“ — ze smutkiem rzekł, któryś z młodszych wojowników.

— Ale żebyć utonęła — mówił dalej Erdziwiłł, co innego się jej trafiło. Oto bóg piekieł Po-

kłus upodobał sobie Nijołę, czatował na nią w wodzie, on jej ten kwiat pokazał i teraz porwał ją do piekła.

Wielki płacz rozległ się po całej Litwie, gdy Nijoła do pałacu nie wróciła. Szukano jej dzień i noc, szukano i dzień drugi i trzeci napróżno. Wreszcie królowa Krumine poszła sama światem szukać córki. Przeszła różne, różne kraje, ale córki nie znalazła. Za to chodząc po świecie zobaczyła zboże rosnące, jakiego na Litwie nie było.

— Gdybyż to można trochę nasionek zanieść do Litwy — pomyślała sobie Krumine — toby mój lud się ucieszył.

I prosić poczęła, by jej dano ziarn różnego zboża. Ale próżno, nikt dać nie chciał. Wreszcie na jej wielkie błagania pozwolono wziąć tyle ziarnek, ile się zmieści w żołędziowej łupinie. Dobre i to, pomyślała sobie Krumine. I wzięła po ziarnku. Wypytała się też, jak się te zboża sieje i jak się rola uprawia. Tak nauczona wróciła do Litwy bez córki. I zaraz lud swój zebrała i poczęła go uczyć jak ziemię ma uprawiać i te zboża siać. Że zaś wtedy lasy tylko litewską ziemię pokrywały, a pól uprawnych nie było, więc trzeba było puszcze trzebić. Nie łatwa to była sprawa, bo w lasach pełno było smoków strasznych, ale jakoś sobie poradzono i potrochu wycięto. Otóż jak tak drzewa ścinano, a trawę koszono, znaleziono w puszczy kamień. Pramżimas*) na nim kiedyś wyrył dolę Nijoły.

*) Bóg przedwieczny.

Że to bóg piekieł Poklus ją porwie i żyć ona w piekle będzie. Jak się o tem Krumine dowiedziała, tak się zaraz tam wybrała. Żal jej córki było i chciała ją od boga Poklusa odebrać. Przyszła do granic piekieł. Aż ci jej córka drogę zaszła. I nie sama, tylko z dziateczkami już swymi. „Motineli, mówi jej piękna Nijoła, ty do nas w gości chodź! zięcia swego, a męża mego Poklusa poznaj i dziateczki moje. Już ja na Litwę nie wrócę, miłuję męża i z nim ostanę".

— I co miała robić królowa Krumine, toć wola bogów spełnioną być musiała. Pobyła w piekle u córki kilka roków, cieszyła się jej dziateczkami i do dom, do Litwy wybrała się z powrotem.

Wróciła i kraju nie poznała. Tam gdzie szumiały stare jodły, — złota pszenica, — tam gdzie rosły ciernie i dzikie kwiaty, ino niebieskim kwiatem len się chwali. A lud szczęśliwy i zamożny dokoła. I rozradowała się dusza dobrej królowej Krumine, co w jednej łupinie żołędziowej, szczęście i bogactwo Litwie przyniosła. Obeschły jej łzy po córce, radość ludu jej szczęściem była.

I przeszły dnie i miesiące od tej pory, umarła już dawno Krumine, a Litwa wie, że żyje ona z bogami i cześć jej daje — ofiary składa.

Opowieść Erdziwiłła zajęła wielce wszystkich. Nikt prawie z pruskich mężów nie znał jej tak dokładnie, dziękowano więc staremu za nią, a już i wysiadać trzeba było z owych promów. Gdy Wajdewutis z wojownikami doszedł do krańców

puszczy, na brzegu świętego gaju zabiegł im drogę wajdelota z laską krzywą w dłoni.

— Krewe-Krewejte wysłał mię do ludu — rzekł, ruchem laski wstrzymując idących. Kunigasie Litwy, tu Kriwule (zgromadzenie) odbyć się ma.

Stanęli więc wszyscy. Wprost przed nimi w oddaleniu tylko szumiał potężny dąb święty.

IV

U stóp dębu, jak i przeszłym razem stał stos gotowy do ofiar. Otaczali go wajdeloci, odświętnie dziś przybrani w długie, białe szaty, oszyte u dołu sierścią bydlęcą. Wszyscy opasani byli pasami białymi, a na głowach mieli wieńce zielone.

Gdy lud uszykował się w półkole, ze strony przeciwnej, z głębi puszczy wszedł orszak kapłanów, nieśli oni w przystrojonej zielenią kolebce Krewe-Krewejtę Bruteniusa.

U świętego dębu przyklękli kapłani i opuścili na ziemię kolebkę, z której wyszedł Brutenius i przy pomocy dwóch wajdelotów wszedł na kamienne stopnie ołtarza.

Drobny i szczupły kapłan wydał się dziś ludowi wysokim mężem. Ubiór miał cały biały z lnianego płótna, luźno spadający dołem, a opasany był siedm razy dokoła wązkim, białym pasem. Przez ramię szła haftowana w tajemnicze znaki przepaska. A na głowie miał czapkę stożkowatą, ubraną w bursztyn i inne błyskotki.

W ręku trzymał krzywą laskę przy której wisiały trzy woreczki. Na piersiach kapłana wisiał drewniany mały posążek.

Gdy Krewe stanął na stosie, kapłani lud do podnóża bliżej przywołali.

Szli wszyscy przejęci i z trwogą niejaką w duszy, Krewe prawić zaczął:

— Słyszeliście jako tej nocy bogi nasze, głosem Perkunasa mówili ze mną. Wiedźcież, iż gaj ten miły im jest i tu chram swój mieć chcą. Romowem zwać go każą.

Ofiary bogom składać tu mają wajdeloci i im tylko w obrębie chramu żyć wolno. A ogień święty niecić tu winni.

Przeklęty ten będzie, czyja obca stopa stanie w świętym gaju. Ogień święty pożre go. Zrozumieliż męże Prus i Litwy słowa moje?

Zamilkł, a wtedy rzekł kunigas Wajdewutis:

— Garbie Perkunasowi i tobie coś jest ustami ust jego i ludowi wolę bogów obwieszczasz.

Zanim na Mazurów z wyprawą wyruszym, bogom chram kamienny wystawim i murem go opaszem. Pokłon tu złóżmyż bogom za to, że w kraju naszym siedzibę swą wybrali. Ich wolą jest, byśmy w zgodzie, braterstwie i jedności ze sobą żyli. Tylko bowiem zgoda i jedność, da nam siłę, zmoże wrogów, da nam moc, potęgę i sławę.

— Mężowie ludu mego, zanieście słowa me do num i grodów waszych. Wezwijcie wszystkich, w których piersi bije serce miłujące ziemię tę i wolność, do zgody i jedności.

Rzeknijcie im, że kto nie uszanuje woli bogów przez Laumy, złe boginie, dręczony będzie. Wojna, nieszczęścia, najazdy obcych i niewola udziałem jego po wsze czasy się staną — dokończył głosem potężnym.

— A oto są bogi twe, ludu mój — mówił znów Krewe i dał znak kapłanom.

Ci podali mu trzy posążki bogów, podobne do tego, który wisiał na jego piersi. Wziął je i podnosząc w górę każdy z osobna, ludowi pokazywał. Perkunas to, mówił, Potrimpos, ten drugi, a trzeci Pokole.

— Garbie bogom — wołał lud.

A Brutenius mówił znów:

— Jeżeli więc zwiążecie się przysięgą posłuszeństwa dla kunigasa, jeśli rządy i prawa jego przyjmiecie, a sami w zgodzie i jedności ze sobą trwać będziecie, bogi tu z wami zostaną. Jeżeli jednak w niezgodzie stąd odejdziecie lub przysięgę swą złamiecie, bogi opuszczą was i w moc złych duchów śmierci i niewoli poddadzą. Wybierajcie!

Padł lud cały na twarz, ślubując bogom posłuszeństwo. Zgodę zaś i jedność ze sobą chować przyrzekał na wieki.

— Pomnijcie — do leżących kornie u stóp ołtarza wołał Krewe — miłować i szanować tych wszystkich braci i sąsiadów, co jednych wespół z nami bogów uznają i ich czczą, wojować z tymi, którzy na bogów naszych, na wiarę litewską powstają. Zwalczać tych, którzy nasze ziemie nachodzą, a swobody nas pozbawiają.

I przysięgał lud wierność owej Trejopie (trójcy) swej, oraz innym bogom, których Krewe miał im dać.

Gdy przysięgę złożono, Krewe zeszedł ze stopni ołtarza, podszedł do świętego dębu i w grubym pniu jego kazał wajdelotom wyciosać trzy żłoby. Następnie w otoczeniu kapłanów, przy śpiewach uroczystych włożył Brutenius do każdego wyżłobienia posąg boga. Zapalono znów stos ofiarny.

Dziś jednak składano bogom oprócz płodów ziemi, ofiary ze zwierząt. Kapłani zabijali przeróżne ptactwo. W końcu wniesiono dużego, związanego kozła. Położono go na stosie a mężowie zbrojni przychodzili do ołtarza, kładli ręce na zwierzęciu i głośno wyznawali swe winy, przyrzekając do nich więcej nie wracać.

Po ukończeniu tej powszechnej spowiedzi, kapłan ofiarnik zabił kozła, a krwią jego ciepłą pokropił zebrany lud. Do męstwa i odwagi w boju krwawym zachęcał przytem wojowników.

Poczem, gdy na stosie palił się ofiarny kozioł i inne zwierzęta, podchodzili do ołtarza wojownicy ślubując bogom, za pomoc w boju, ofiary.

Więc stary Narymund ślubował dać czwartą część z łupów, zdobytych na wrogach.

Kodis rozmaite skóry i drogie kamienie.

Witol głowę turzą. A słynny siłacz litewski, co brzozy z korzeniami wyrywał z ziemi, Rajksztutis, przyrzekał dać bogom na ofiarę Mazura na koniu i w zbroi.

Ostatni podszedł do ołtarza Wajdewutis. Ku-

nigas Litwy, głową górował nad swym orszakiem szedł wielki, potężny, w ręku miał krótką maczugę a na plecy zarzucony kołczan ze strzałami. Oblicze jego było blade, tylko duże niebieskie oczy świeciły niezwykłym ogniem

Naprzeciw, z drugiej strony ołtarza, stał brat Krewe-Krewejte, zmierzyli się chwilę wzrokiem, poczem Wajdewutis przemówił:

— Tobie wielki Perkunasie i Lietui potężnej co moc i wolność dajecie memu ludowi, pokłon, i cześć. Za swobodę Litwy, za szczęście jej synów, kunigas jej niesie wam dar swój. Nie plony ziemi, nie bogactwo puszcz, boć waszemi są one, nie jeńców wojennych, boć że to wrogi nasze... a w waszej dłoni zwycięstwo leży... Daję wam szczęście i światłość oczu moich.., dziewczątko moje najmilsze... Żywilę weźcie potężne bogi, a Litwie ludowi memu, dajcie wolność! — dokończył głosem silnym

I pochyliły się wszystkie głowy przed tym ojcem, co dziecko swe na ofiarę oddawał. Naprawdę godzien on był być kunigasem, gdy taki okup składał za lud swój.

Mimo to zrobiło się jakieś poruszenie wśród zebranych. Dawał Wajdewutis swą córkę na ofiarę... Miałażby piękna Żywila żywcem być spaloną?

Nikt pytać nie śmiał, a niepokój ogarnął lud Czyżby aż tak ciężkiej daniny żądali bogi?...

— Gdy lud na bój wyruszy — ozwał się głos Krewe-Krewejty — Żywila do świątyni przybędzie

wajdelotką tu zostanie. Ognia świętego pilnować ma ona...

— A teraz patrz ludu, bogi ci dają znak.

I wskazał na niebo, gdzie jak ciemna plama na błękicie zamajaczył sznur żórawi.

Z południa lecą — rzekł któryś z kapłanów.

— Litwie i kunigasowi zwycięstwo niosą — dodał Krewe — bogom potężnym chwała i cześć.

V.

Opadły liście z drzew, zamarzły jeziora i błota leśne, a u świętego dębu stał nieraz w noc ciemną Krewe i słuchał.

On słuchał skąd, z której strony zbiegają się zastępy orężne, słuchał tętentu kopyt końskich... słuchał i obliczał, ilu jeszcze brak? — Jak wielką i szeroką była ziemia, nad którą władzę dzierżył Perkunas, tak ją całą wszerz i wzdłuż zbiegli posły Krewego.

— Na bój, na wroga — zwoływali wojowników. Zostać w domu nie mógł nikt.

Potężny Perkunas nie darowałby odstępcy braci. Musiał iść każdy, gdy zawołał Krewe-Krewejte

On sam bogów odejść nie mógł, lecz liczny poczet wajdelotów i wróżbitów słał z wojskiem do Lechii.

W drodze, przed bitwą mieli oni ofiary bogom składać. W pochodzie. orężnych do walki zagrze-

wać, leczyć chorych i rannych. Pouczać lud we wszystkiem.

Słał też i wróżbitów i pieśniarzy, co Dajnos (pieśnie) cudne śpiewać umieli. O Anafielas (niebie Litwy) tym cudnym gaju, gdzie na wysokiej górze duchy mężnych wojowników znajdą szczęście wszelkie. Łowy, uczty, biesiady wesołe, zwycięskie boje z nieprzyjaciółmi, zwanymi czarnymi duchami. Słodki miód pić, piękne żony mieć, a pieśni cudnych słuchać całą wieczność, to była nagroda dzielnych.

A źli, gnuśni, nieuczciwi, ginęli wraz z duszami, to też Litwini mawiali jakby modlitwę — Boże daj umrzeć, a nie przepaść.

Kunigas też do wojny się sposobił. Wraz ze swymi synami i sługami, oraz najbliższymi sąsiadami, wzniósł mur sześciościenny w świątyni w Romowie. Tylna ściana muru przylegała do drzewa. Przednia miała obszerne wejście na podwórze. — Za dębem były sklepienia w ziemi, w których miano hodować Giwojte, czyli płazy różne. Nieco opodal stanęły domy dla kapłanów; w jednym z nich miała żyć Żywila, ze starą Litwinką, do posług domowych sobie oddaną. A strzedz miała ognia przy ołtarzu.

U wrót do świątyni, po prawej stronie był dom Krewy, po lewej Numejowa gospoda dla gości i pielgrzymów.

Gdy tę wielką pracę ukończono wybrał się kunigas na łowy. Wypadły one nad podziw świetnie.

Sam Wajdewutis zabił ogromnego, brodatego tura. Kapłani widzieli w tem szczęśliwą wróżbę dla przyszłej wyprawy. Głowę tura oddano do świątyni i zawieszono u wrót. Solono też mięso i ryby, a kobiety piekły chleb i ciasta.

Nadszedł nakoniec wielki dzień. Nie brakło nikogo. Prusy, Litwa Jaćwież i Żmudź, stanęły jako jeden mąż. U ujścia Ossy do Wisły zebrało się Wajdewutisowe wojsko. Supany i bajores jechali konno, a że koni i to dobrych dużo było w kraju, więc jeszcze smerdy, czyli sługi, wiedli luzem wierzchowce swych panów.

Ubożsi szli pieszo. Żelaza nie znano jeszcze na Litwie, to też piechota miała długie pałki, a za pasem sześć, ośm lub więcej krótkich maczug, czyli pocisków, którymi celnie we wrogów rzucali i Litwini i Prusacy. Kamienne topory, dzidy zwane Ragotine, łuki i strzały, to była broń litewska z owych czasów. Proce też wisiały u pasa, a gładkie kamyki do nich w torebce zawieszonej. I jeźdźcy i piesi mieli tarcze drewniane, spiczaste, obciągnięte skórą i nabijane błyskotkami. Tarcze te wbijano w ziemię i walczono za niemi.

Ubrani też byli wojownicy owi w kaftany z grubych skór i pancerze, na głowach mieli szłyki i szyszaki, robione z łbów zwierzęcych, poczwarnie wyglądające.

Konie przeważnie były małe, ale silne bardzo. Mówiono, iż Litwini nieraz koniki swe nosili na plecach. Wytrzymałe one były wielce w pracy i bitwach. Przez wielkie jeziora i rzeki, przeprawiali

się zwykle w ten sposób, Litwini, iż koniom swym zarzucali juki na grzbiety, a trzymając się ich ogonów płynęli za nimi. Koń był przyjacielem i ulubieńcem człowieka, a miłym bogom zwierzęciem.

Już wszystko i wszyscy gotowi byli do wyprawy i czekano tylko przybycia Krewe-Krewejty dla ostatniego błogosławieństwa. gdy straże dały znać, iż od Wisły jadą jacyś jeźdźce nieznani.

Wysłał Wajdewutis kilku z młodzieży na zwiady. Kto zacz i skąd są ci mężowie obcy?

Pogonił z innymi i Witol, ów sławny myśliwy, gdyż wzrok miał sokoli i zdala widział. I ten niebawem wrócił i oznajmił kunigasowi, że Mazury jadą.

Strapiono się nieco, opóźnionoż tak wyprawę, że aż wróg nadszedł? A tu i Krewe nie zjawiał się, a jakże bez ofiar i błogosławieństwa jego rozpocząć bój?

Zanim jednak naradzono się, nadjechali i pierwsi wysłańcy kunigasowi, potwierdzili słowa Witola, dodając, iż posłowie króla Mazurów Andzisława chcą mówić z wodzem Prus i Litwy. A jest ich tylko sześciu.

Uspokoił się więc Wajdewutis i po naradzie ze starszyzną posłał po posłów orszak zbrojny.

Wprowadzono Mazurów w półkole wojowników litewskich, w środku których siedział Wajdewutis. Stary Narymunt wezwał posłów, by powiedzieli z czem tu przybywają.

Najstarszy z przybyłych, zbrojny jak i jego towarzysze w miecz ciężki, a zakuty cały w blachę wystąpił naprzód i śmiałym głosem zawołał:

— Król mój, a pan wasz Andzisław, władca potężny ziemi mazurskiej, żąda, byście wy: Prusy, Litwini i Żmudź, pokłon mu dali, a daninę należną wręczyli.

— I jakiejże to daniny żąda twój pan? — zapytał Narymunt.

— Tej, którą rok rocznie Prusy nam składali. Oddacie dzieci swe: chłopców i dziewczęta. Złożycie szuby zwierząt, turze i jelenie rogi, dacie nam naszyjniki z bursztynu... — odrzekli posłowie — a odejdziemy stąd w spokoju.

— A jeśli nie damy? — zapytał Narymunt.

— Dań należną winniście zapłacić — odparli posłowie. — Jeśli nie dacie po dobrej woli, przyjdzie potężny władca nasz i mieczem swym skarci niewolników swych, jako przystało. Potrójny wtedy złożycie okup...

Narymunt chciał odpowiedzieć, ale kunigas podniósł się i skinął, iż sam mówić będzie. Wyjął dwie strzały z kołczana i podając je posłom mówił:

— Za słowa, któreś tu rzekł, strzałą ci w serce odpowiedzieć należy, ale kunigas Prus i Litwy szanuje wysłańców innego ludu. Idź i zanieś odpowiedź naszą swemu władcy: Prusy i Litwa wolnym są ludem, przyjaciołom dary niosą; dla wrogów — mają strzały. Idź i powiedz to swemu panu.

Dał znak, otoczono posłów i wyprowadzono ich do Wisły.

A Wajdewutis sprawował szyki, upominał swych wojowników, by mężnie walczyli i nie przerażali się siły i uzbrojenia Mazurów.

— Bogi są z nami — mówił — więc czegóż obawiać się mamy.

A właśnie nadciągnęli kapłani, niosąc Krewe-Krewejtę i posągi bogów. Naród padł twarzą, a Krewe błogosławił wojsko, powiewając nad niem czerwoną chorągwią.

Na czele hufców, na siwym koniu wysunął się Wajdewutis i spokojny, pewny siebie, ufny w bogów prowadził swój lud na bój, za wolność.

Jeszcze raz za odchodzącymi hufcami spojrzał Krewe-Krewejte, jeszcze jedno wezwanie o pomyślność wyprawy zasłał do Pramżimosa, poczem w orszaku kapłanów wrócił do Romowa,

I snać Perkunas wspomagał swych wojowników, bo oto Wajdewutis bez boju niemal zdobywał mazurską ziemię. Pyszny Andzisław wierzył, iż Prusy dziś pokorne złożą mu hołdy i daninę oznaczoną wręczą posłom, do boju więc się wcale nie sposobił. To też wieść, iż Prusy idą i niosą wojnę, zaskoczyła go tak nagle, iż zaledwie zdążył umknąć przed nimi i uniknąć niewoli.

Za jego przykładem szła cała ludność. Mazurzy przerażeni uciekali, zostawiając całe swe mienie.

Przybyła też Kunigasowi niespodziana pomoc. Oto dzieci pruskie od lat wielu zostające w obcej niewoli, nie zapomniały, iż wydarto ich z num i puszcz pruskich, od ojców i matek. Uciekali więc gromadnie chłopcy i dziewczęta do swoich. Zaprawiani do ciężkiej pracy przez Mazurów, wielu się rzeczy nauczyli. Robili dzielnie krótkimi mieczami,

bronią nieznaną w Prusach, rzucali świetnie pociski. Kraj znali też, więc przewodnikami byli dobrymi.

Wszystko to wielce pomocnem było Wajdewutisowi i gdy w końcu król Andzisław zebrał swą drużynę i do boju wystąpił, zwycięstwo wielkie odnieśli Prusowie.

Mazurzy wysłali posłów z prośbą o pokój.

Wajdewutis zapytał kapłanów swych o radę, odrzekli: „Bogowie chcą spokoju".

Wezwano posłów. Kornie stanęli przed kołem pruskich wojowników. Gróźb swych dawnych zabyli, o łaskę błagając.

— Dość wojny i krwi przelewu — mówili — Kunigasie wielki, poznaliśmy moc twego ramienia i cześć ci składamy. Warunki swe staw, przyjmiemy je. Braćmi i przyjaciółmi bądźmy.

— Ofiarę bogom mym niech złoży Andzisław, pan wasz — odrzekł Wajdewutis. — Inaczej bratem mym być nie może.

I musiał pyszny król Lechii, bogom pruskim ofiary składać, musiał dać Wajdewutisowi i jego wojownikom sute dary, a przyjaźń i pokój Prusom zaprzysiądz.

Oddał też wszystkich jeńców pruskich i tych, którzy sami do Wajdewutisa uciekli i innych, którzy w niewoli dotąd zostawali.

I zapanowała wielka radość w obozie pruskim. Cieszono się zwycięstwem, cieszono zdobyczą. Nadewszystko zaś radowano się braciom i siostrom zwróconym. Stary Narymunt odzyskał swe dzieci. Do numy swej nie wróci już sam.

Ucztę wspaniałą dawał Wajdewutis, zaprosił na nią Andzisława z orszakiem wojowników.

Przybył król i dary wspaniałe przywiózł.

Bogate sukna zachwyciły pruskich wojowników. Wśród dziewcząt zwróconych z niewoli były takie, które wyuczyły się prząść wełnę i sukna robić. Wajdewutis zażądał więc, by dano im prząśnice i warstaty do tej pracy potrzebne. Nieznane dotąd owce pognano też do Prus. Tak syci zwycięstw z łupami drogiemi i licznemi, wracali Prusowie do kraju.

I zapłonęły stosy ofiarne w Romowe. Bogom lud dzięki składał. Rozległy się radosne pienia Wajdelotów, a po kraju biegła wieść wielka i radosna, wolność, swobodę i potęgę Prus głosząc. Odetchnęły matki pruskie. Już nocą nie zbudzi ich wróg, nie przyjdzie dzieci porywać.

Spokój zapanował w całej krainie.

Jeden tylko mąż nie spoczywał. Uczt nie wyprawiał, ani na łowy nie jeździł. W cichem Romowe pracował mądry Krewe-Krewejte.

Spokój był w kraju, ale to jeszcze nie wszystko. Nie było jeszcze praw, nie było ładu. Lud był ubogi. Wszak wojownicy pruscy cuda opowiadali o onym kraju, jakie łupy stamtąd przynieśli? Zaraz też, gdy Wajdewutis z hufcami swymi przybył do Romowa, Krewe-Krewejte oznajmił mu wolę bogów. Zdobycz wojenna dzielona być musi. Bogi dostaną jedną część, kapłani drugą, wojownicy wezmą trzecią, a czwarta pójdzie dla tych, którzy w kraju musieli zostawać i granic jego strzedz od

najścia innych wrogów. I tak się ma dziać po wsze czasy. — Taki nakaz Perkunasa.

Wola bogów rządzi losem człowieka. Bogi więc dzieci pruskie oddały w moc Mazurów. Poszli tam chłopaki, by jako męże pomódz kiedyś braciom zwalczyć wrogów, mądrości od nich nabyć, by swoich pouczać. I dziewczęta poto tam uprowadzono. I oto bogi żądają, by cztery dziewice wrócone z niewoli zostały im poświęcone. W gaju świętym mają żyć. Jak piękna córka Wajdewutisowa, ognia świętego naprzemian strzedz mają. A że się w niewoli prząść wełnę i sukna robić nauczyły, więc za wolą bogów niewiasty pruskie pouczać będą tej nauki. Wiedzę i bogactwa ziemi swej zwiększać mają.

I zostały zaraz przy ogniu świątyni; Erma córka Narymunta, Nomeda, co już nikogo ze swoich nie miała, gdyż całą jej rodzinę wymordowali ongi Mazurzy i dwie inne jeszcze dziewoje Baniuta i Aldona. Wszystkie cztery prządkami były pierwszemi.

Wajdeloci pouczali mężów, a wajdelotki kobiety.

Gdy za sprawą mądrego Bruteniusa, Prusy odzyskały spokój od strony Wisły, Krewe wzrok swój zwrócił teraz na zamorskiego wroga.

A skoro tylko Wajdewutis wypoczął po trudach wyprawy, Krewe oznajmił mu, iż wolą bogów jest, by z zamorskim wrogiem układy rozpocząć. — I sam wraz z kunigasem i starszyzną wybrał się nad brzegi Bałtyku. Zamorscy wojownicy chętnie zgodzili się na przymierze z Prusami. Chwała oręża Wajdewutisowego, doszła i do nich. Ułożono

się zgodnie, iż Prusy dostawiać będą rok rocznie zamorskim sąsiadom bursztyn i futra drogie, a sąsiedzi przywiozą im wzamian za to żelazo, sukno i broń w Prusach nieznaną. A dla kobiet naszyjniki i świecidła przeróżne.

VI.

I tak dzięki mądrości i poświęceniu dwóch ludzi: Bruteniusa Krewe-Krewejty i Wajdewutisa kunigasa, słabe tułające się dotąd plemię pruskie, zamieniło się w naród, mający swą religję, swe prawa i swój rząd.

Jak Krumine ongi, tak dziś Brutenius i Wajdewutis widzieli owoce swej pracy. Lud spokojny o życie i swobodę począł wychodzić z puszcz. Budowano pierwsze grody, wznoszono sioła. Wycinano puszcze. Zwiększyła się uprawa ziemi. Coraz więcej zasiewano zboża. Coraz bogatsze były numy i coraz weselsze śpiewy płynęły po puszczach czarnych.

W numie Wajdewutisa gotowano się do wielkiej uroczystości. Jaunitys bogaty a bliski sąsiad, śmiały myśliwiec i nieustraszony wojownik, swaty przysłał do córki kunigasa: Kadiny. Choć nie tak piękna jak Żywila, Kadina była jednak ładną pruską dziewczyną. Córki Wajdewutisowe chowane przez mądrą matkę Alankę, słynęły w Prusach całych ze swej pracowitości.

Zwyczajem pruskim było, że nie ojciec dawał

posag za córką, lecz narzeczony ją kupował. Im pracowitszą, mędrszą była dziewczyna, tem więcej za nią płacono.

Wysłał więc Jaunitys dwa wozy ciągnione przez dwie pary białych wołów. Na wozach stały skrzynie drewniane pełne przeróżnych darów:

Szuby niedźwiedzie, sobole i lisie. Głowy turze, rogi jelenie. Broń wszelaka, kubły bursztynu, dla Wajdewutisa tarcza miedziana i miecz zdobyty na Mazurach, a dla Alanki całe postawy cienkiego płótna. Prócz tego cztery cisawe koniki żmudzkie.

Miłem sercem przyjął Wajdewutis dary owe, córkę dać obiecał, swatów na ucztę prosząc.

Trwała ona całe dwa tygodnie. Kadina odtąd zwać się poczęła już nie dziewczyną: Tatokas, jak dotąd, lecz Marti, czyli panną młodą. O wolę jej, jak zwykle nie pytano. Ojciec lub brat mieli prawo oddać dziewczynę w zamęźcie.

Po uczcie wyznaczono dzień wesela na jesień, gdy się wszelkie roboty ukończą, a ziemia zbogaci ludzi swymi płodami, poczem narzeczony z swatami i gośćmi odjechał do siebie.

W numie kunigasa zaś, po za zwykłymi sprawami, gotowano się do wesela. Przybyły dziewczęta i kobiety, należące do jednego rodu z kunigasem, lub z żoną jego i zabrały się do przygotowań weselnych. Solono i wędzono przeróżne mięsiwa i ryby, pieczono chleby i ciasta. Kadina przodowała przy każdej pracy, otoczona dziewczętami śpiewała żałosne pieśni, obowiązujące według ówczesnych obyczajów każdą Marti.

W pieśniach tych, słodkiemi słowy żegnała ojca, matkę, braci i siostry, wszelkie stworzenia i w końcu ognisko domowe.

— Kto będzie ojcu, kto będzie matce ręce i nogi ogrzewał? — śpiewała dziewczyna — kto im pościel uściele? Kogutku mój, kurko moja czarna, kto wam złotego ziarna nasypie? Bydełko moje, krówko srokata kto cię napoi? kto ci zielonego sianka przyniesie? — A gdy podeszła do ognia, który w wielkim poszanowaniu był u Litwinów, śpiewała znów: — Kto cię teraz roznieci, kto cię rozdmucha, kto zagarnie na noc, abyś nie zgasło?

Tak wśród pracy i śpiewów schodził dziewczynie czas narzeczeństwa.

W numie Jaunitysa gotowano się również na przybycie Marti. Zapasy robione w domu kunigasa, przywieziono już tu, niby cichaczem. W dzień samego wesela zaprzężono duży wóz we dwa silne konie. Wóz pokryto cały oponą. Jeden z przyjaciół pana młodego, wybrany został na woźnicę, czyli jak w mowie pruskiej zwano: Keleweżem. On to miał niby porwać Kadinę i przywieść ją na żonę Jaunitysowi.

Takie niby porwanie odbywało się zawsze przy weselu.

Gdy wóz przed numę Wajdewutisa zajechał Kadina wyszła sama do ogródka ruty uszczknąć i cichaczem wskoczyła do wozu.

Keleweże na to tylko czekał. Zaciął konie i dalejże w nogi. Dwaj bracia Kadiny wypadli z numy, a widząc, iż im siostrę uwożą, wskoczyli na swe

wierzchowce i pognali za wozem. Keleweże lepsze miał jednak konie i umknął szczęśliwie.

Gdy dojechali do granicy osady Jaunitysa, on sam wyjechał na spotkanie wozu, wiozącego mu przyszłą żonę. Keleweże wstrzymał konie, a Jaunitys trzymając w jednym ręku zapaloną żagiew, a w drugiem kubek piwa, obszedł trzy razy wóz wokoło, poczem podszedł do Kadiny, dał się jej napić piwa z kubka i rzekł:

— Oto ogień święty, jakeś go strzegła u rodziców, tak go strzedz będziesz w mym domu.

Powiedziawszy te słowa, poszedł prędko ku swej numie. — Keleweże zaciął konie i jechał za nim.

— *Keleweże perjothe!* (woźnica przybywa) — wołali biesiadnicy, zebrani w numie Jaunitysa. Widząc wjeżdżający wóz na podwórko, wyskoczyli młodzi i przytrzymali konie. A Keleweże tymczasem skoczył z wozu i wpadł do numy. W środku izby stał stołek przykryty białem płótnem. Jednym susem wskoczył nań Keleweże, wołając iż dziewczynę Wajdewutisową porwał i na żonę ją Jaunitysowi przywiózł. Radość ogarnęła zebranych. Wołano, krzyczano dokoła, klaskano w dłonie. Tymczasem starsze kobiety wwiodły do izby Kadinę. Keleweże zeskoczył ze stołka i zabrał płótno ze sobą. Była to jego nagroda.

Kadinę posadzono na stołku. Dziewczęta przyniosły wody i umyły jej nogi. Kobiety zawiązały jej oczy przepaską. Podano miód a Swalgon, weselny kapłan namaścił nim usta panny młodej,

mówiąc: „Niech nigdy złe i brzydkie słowa nie wyjdą z ust twych. Jako miód słodki niech będą twe przemówienia do męża". Wzięły potem dwie starsze niewiasty pod ręce Kadinę i oprowadzały ją po numie całej, a gdy podeszła do których drzwi, starszy wróżba wołał „otwórzcie się", a Kadina nogą otwierała je. Stojąc we drzwiach Swalgon obsypywał ją wszelakiem zbożem wołając: „Trzymaj się wiary bogów naszych, a oni błogosławić ci będą".

Gdy już Kadina obeszła tak wszystkie kąty i drzwi się przed nią otwarły, posadzono ją na przewróconej dzieży, w której chleb pieczono. Wszyscy goście stanęli dokoła, podano jej zapalone łuczywo. Starsze kobiety zdjęły jej wianek ruciany i rozczesywać włosy zaczęły. Kadina gorzko płakała, a dziewczęta, towarzyszki jej zaśpiewały pieśń żałosną:

Zieloną łąką przechodzi dziewczyna
Wianek dziewiczy w rękach białych trzyma.
Wianku mój ciemny, wianku ruciany,
Daleko ze mną pójdziesz stąd, daleko.

Bądź moja miła, bądź mi matko zdrowa,
Bądź mi mój ojcze, drogi ojcze zdrowy,
Zdrowi bądźcie, bracia moi.
Bądźcie zdrowe siostry moje.

Rodzice weselni, stary Narymunt i Edma żona jego podeszli do Kadiny, oddzielili z czterech stron jej trochę włosów, przeciągnęli przez rogowy pierścionek i przycięli końce. Znak to był, iż Kadina

wolność straciła, że teraz do męża należy. Poczem na kolanach jej położono bochenek chleba i kubek z piwem. Obeszli ją wszyscy znowu dokoła i płótnem białem całą pokryli. Po śpiewach, przemówieniach, znowu ją trzykroć cprowadzano dokoła ognia. Keleweże tymczasem bawił gości, skacząc po izbie, błaznując i podstawiając stołek, na którym niedawno młoda siedziała innym dziewczętom. Robił przytem różne ucieszne żarty, przedrzeźniając państwa młodych i gości. W końcu zaśpiewał:

Żwawo małe ptaszki, chcę wziąć żonę,
Szczygieł będzie siodłał konie, bo ma stary płaszcz,
Bóbr w czapce futrzanej, będzie nam woźnicą,
Zając lekkonogi, będzie gońcem nam,
Słowik z jasnym głosem, piosnki będzie śpiewał,
Sroczka co ciągle skacze, będzie tan wiodła,
Wilk z dużą trąbą będzie grał na dudzie,
Niedźwiedź grubołapy drwa nam rąbać będzie,
Kruk z krzywym grzbietem wodę może nosić,
Jaskółka w czarnym fartuchu, naczynie pomywać,
Wiewiórka wielkim ogonem stół ocierać,
Lis w jasnej sukni sam siądzie przy młodej...

Gdy się tak młodzież zabawiała, stare kobiety wodą, którą przed chwilą obmyto nogi Kadiny, skropiły dom, skóry na których sypiano, sprzęty i bydło, a następnie i wszelkie zabudowania. Miało to strzedz od ognia, moru i innych nieszczęść. Pan młody tymczasem siedział z drużbami za stołem. Gdy Kadinę dokoła ognia oprowadzono, Swalgon posadził ją obok męża. Zdjął z niej zasłonę i podał młodym piwo. Pili oboje z jednego naczynia.

Potem podawano piwo gościom. Resztę wylano pod próg na ofiarę domowym bóstwom. Jaunitys wylał ostatnią kroplę ze swego kubka, a następnie cisnął go o ziemię i nogami potłuczony deptał.

W końcu Swalgon przyniósł dwa pierścienie, jeden włożył mężowi, drugi żonie. Ślub był spełniony.

Rozpoczęła się uczta wesoła. Lały się miody słodkie, piwo i mleko kobyle. Prusowie bowiem pili dużo. Po uczcie rozpoczęła się zabawa, tańce i śpiewy. I ciągnęło się to długo, długo. Znużeni biesiadnicy odchodzili od chaty, szli się przespać, poczem znowu wracali do jadła i picia. Grała muzyka, śpiewały dziewczęta.

Takie to były uczty w owe czasy i tak się odbywały zaślubiny pruskie.

VII

Wśród puszczy gęstej, na miękkim mchu, leżał kunigas Prus i dumał! Opodal na zwalonej brzozie siedziała Żywila, wiążąc zioła.

Pierwsza pruska wajdelotka, z nakazu Krewy, pouczaną była przez kapłanów wszelkiej wiedzy. Rozumiała więc mowę ptaków i lot ich. Od zieleniców dowiedziała się jakie zioła i kwiaty leśne zdrowie lub szczęście ludziom dają, a których strzedz się należy, bo chorobę i śmierć w swych kielichach kryją. Chętnie leczyła i zażegnywała choroby ludzkie gdy inne wajdelotki w chramie u ognia siedziały,

lub miękką wełnę przędły, ona albo chorych, którzy do niej tłumnie ciągnęli opatrywała, lub do boru po zioła szła.

Dobrą i mądrą była córka Wajdewutisowa, i sam Krewe często o radę ją pytał. A bogi dały jej wielki dar. Żywila przyszłość ludzką nieraz odgadywała i wyrocznią w Prusiech słynęła.

Wierzono w te czasy, że zioła mają największą moc, gdy są w nocy przy księżycu zbierane.

Kunigas lubił jasne noce księżycowe, rad słuchał pienia słowików, gdy zaś wolny był od spraw kraju a Żywila u ołtarza nie siedziała, wiózł córkę na wysepkę, jakich pełno było w owe czasy na jeziorach pruskich. Kwiecia tam bowiem moc była wielka. I dziś po to tu przypłynęli.

Noc szła. Żywila zioła w pęki wiązała, kunigas dumał o przyszłych losach krainy swej. Lat już wiele minęło od owej nocy, gdy mu bogi wzięli dziewczątko ukochane.

Żywila była dziś silną, dojrzałą dziewicą.

A Prusy — szczęśliwą krainą.

Wtedy krwawiło się serce ojca, gdy Żywilę mu zabrano. Dziś czuł, że nie było ofiary, którejby z rozkoszą dla Prus nie uczynił.

Bolem serdecznym i krwią kupił on tę ziemię, tę puszczę i wodę co tam szemrze zdala.

A gdybyż wiedzieć jaki los będzie tej krainy, gdy bogi go na Anafielas do ojców powołają? Potężnaż i wielka będzie ta ziemia?

Tu spojrzał na Żywilę. Siedziała cicho, układając pęki ziół, od których szła dokoła przedziwna woń

Wszak ona nieraz ludziom wolę bogów zwiastowała. A gdyby spytać?

Powstał Wajdewutis i do córki podszedł.

— Żywilo — rzekł kładąc dłoń na ramieniu wajdelotki — mów mi, co ci bogi o Prusach mówią. — Mów!...

Drgnęła i kwiaty z rąk jej wypadły.

Podniosła wzrok na ojca.

Smutne były jej oczy.

— Nie, — nie — szepnęła, odsuwając go.

— Mów — powtórzył silnym głosem. — Perkunasa pytaj i mądrej Lietui. Będzież kraina nasza wielką i potężną po wsze czasy? Żaden wróg nie sięgnież po jej wolność?

Milczała... Twarz jej pobladła, oczy zamknęły się. Stała jakby w uśpieniu.

— Mów, mów — powtarzał Wajdewutis.

Wyciągnęła ręce przed siebie i szeptem mówić zaczęła.

— Idzie... idzie wróg... straszny... wielki wróg... Biały cały... a na piersi czarny znak... W ręku znak... Krwawa ręka... Płynie krew... Dużo krwi...

Urwała, jakby nie mogąc mówić, a po chwili znów zaczęła.

— Jaki płacz, jaki jęk... śmierć... krew, wszędzie krew. Straszny biały wróg..

— Mazury? — jęknął Wajdewutis, — mów dziewko, mów, czy zamorski to jest wróg?

— Ogień, — krew i mór dokoła... — mówiła znowu wajdelotka. — Jaki jęk! Prusy jęczą,

Litwa jęczy, a i z za Wisły płynie jęk... Płynie krew...

— Z za Wisły płynie jęk? — powtórzył kunigas. — Bogi wielkie, któż ten wróg?

— Biały, straszny wróg idzie i krew leje... Kędy stąpi, płyną łzy i krew...

Zamilkła, ale stała wciąż jakby w uśpieniu.

Wajdewutis drżał cały. Pot zimny wystąpił mu na czoło.

— Mów — rzekł po chwili, — mów wszystko. Cóż robią Prusy, Litwa?

A ona odetchnęła i znów poczęła.

— Jasna Dejwa (bogini) z Lechii idzie, Litwie serce własne daje... na ofiarę... Straszny bój... Ustępuje biały wróg!...

Garbie Perkunasowi! — zawołał Wajdewutis. — A Prusy, a Romowe, a Krewe?

Ale wyrocznia milczała. Zdawała się tylko bledszą, słabszą.

— Mów, mów dziewko, potężneż będę Prusy?

Krzyk straszny padł z piersi kapłanki.

— Biada Prusom, biada bogom! Idzie biały wróg!...

I z rozkrzyżowanemi rękami padła Żywila na ziemię.

Rzucił się ku niej kunigas. Porwał i do łodzi martwą niósł. Skropił jej twarz wodą, westchnęła lekko, lecz ani przemówić, ani się podnieść nie mogła.

Oszalały z bólu i przerażenia wiózł ją ojciec do numy i co rychlej po Krewego gońca słał.

VIII

Upłynęło wiele lat. Nigdy już więcej nie powtórzyła Żywila swej przepowiedni. I nigdy już spokoju nie zaznał Wajdewutis.

— Co czynić? jakie ofiary dawać bogom? — pytał nieraz Krewego.

Ale i ten i dwaj mędrcy wróżbici, dopuszczeni do tajemnicy nic poradzić nie umieli.

— Bogi mówić nie dają — odpowiadała pytana przez Krewego wajdelotka.

Nie pytano więc już więcej, by bogów nie obrażać, a Krewe tajemnicę bratu i kapłanom zalecił.

— Lęk serca męskie osłabia, niech więc słowa wyroczni nieznane będą ludowi — mówił.

— Pracować trzeba usilnie i wytrwale — zalecał Wajdewutisowi. — Sił i ofiar nie żałować. Tylko praca a ofiara zło odwrócić może, a szczęście Prusom przynieść.

I pracowali usilnie obaj.

Wajdewutis granic strzegł, a Krewe prawa mądre stanowił.

Najważniejsze z nich były:

1. Cześć bogom swoim oddawać, a cudzych nie znać. Chyba gdyby Krewe nakazał.

2. Kto bogów litewskich nie uznaje, nieprzyjacielem kraju jest.

3. Wyższym, przedniejszym ten ma być, który szlachetnymi czyny nad innych się odznaczy, szyb-

kiemi końmi pierwszeństwo ubieży i na wojnie dostąpi sławy.

4. Nikt nikim pogardzać nie ma i przeciw woli do pracy zmuszać. Jeśli kto pomocy potrzebuje i od drugiego żąda, może ją sobie przyjaźnią, dobrocią lub datkiem jakim pozyskać.

5. Kobiety ani dziewczyny krzywdzić nie wolno. Za krzywdę jej srodze karany ma być przestępca.

6. Próżniaków, oszustów i złodziei śmiercią karać.

Prawa te wajdeloci ludowi obwieścili, a lud chować je przysiągł.

Ofiar też nie szczędzono. Najpiękniejsze płody ziemi, najtłustsze zwierzęta oddawał Wajdewutis bogom na ofiarę.

— O gdybyż odegnać gniew bogów — mawiał — gdybyż wiedzieć, że ów wróg straszny, nieznany, nie przyjdzie tu.

I późną nocą naradzali się nieraz starcy, jaką ofiarę spełnić należy im jeszcze. Aż nagle rozbiegli się posły Krewego po Prusiech, a lud zwołano do Romowa. I jak przed laty zebrano się tłumnie.

Po co i na co? — nikt nie wiedział, a lęk jakiś ogarniał najdzielniejszych wojowników.

Pod dębem świętym stał stos ofiarny, a dokoła niego kapłani.

W białej, luźnej, długiej szacie, z wieńcem zielonym na głowie, wszedł w koło mężów Krewe.

Obok niego, ubrany jak na bój szedł kunigas z maczugą w dłoni.

— Ludu mój — zagrzmiał głos Bruteniusa —

ludu mój, twój pierwszy Krewe, co ci wolę bogów obwieścił i twój pierwszy kunigas, co cię od wrogów uwolnił, dziś cię odchodzą. Na ucztę, na gody zwą nas bogi. Żegnaj nam ludu nasz!

Umilkł, a lud stał oniemiały.

Mieliżby oni spalić się?

— Bracia i woje, drużyno najmilsza — silnym głosem odezwał się Wajdewutis. — Starzy my obaj i odejść nam czas. Siły swe oddaliśmy Prusom, dziś wodzów wam innych potrzeba. Wybierajcie tych, których serca czyste a wielkie. Za szczęście Prusów, za chwałę i potęgę ziemi naszej, bogom podziemnym my życie dajemy.

Krewe dał znak i w jednej chwili stos był w ogniu.

Lud stał niemy i przerażony.

Płaczki pieśń żałobną zawiodły.

A w tem od szczytu stosu zabrzmiało potężne wołanie:

— Perkunasie, boże wielki, za życie nasze i śmierć w płomieniach, daj wolność i potęgę Litwie.

MINDOWE

I.

W świetlicy nowogródzkiego zamku, u prząśnicy siedziała młoda niewiasta. Przędła białe lniane nicie, a wrzeciono furczało w jej dłoni.

Na kominie płonął wielki ogień.

A na dworze wicher wył, deszczem i śniegiem miotając w wąskie okna zamkowe.

Prządka pieśń smętną nuciła.

U nóg jej, na niedźwiedziej, czarnej skórze, leżał mąż silny.

W ogień patrzał i dumy snuł — niewesołe one snać były, gdyż brwi mu się ściągnęły, a pięście zacisnęły się gwałtownie.

— Przestań śpiewać Marti, — rzekł nagle, — lub raz zanuć wesoło.

Kobieta pieśń urwała, a wrzeciono wysunęło się jej z dłoni.

— Życie kamieniem gniecie, wicher wyje na dworze, a ty mi tylko pogrzebowe raudy zawodzisz, — skarżył się mąż.

— Sameś chciał, kunigasie, panie mój, — epnęła, a niebieskie jej oczy załzawiły się.

— A czy ja już wiem czego chcę — zawołał mąż i widząc łzy żony porwał się gwałtownie.

— Marti, nie płacz, ty wiesz jak łez nie lubię.

— Ach, — szepnęła — i jabym rada była śpiewać i śmiać się wesoło, gdyby...

— Gdyby co? — pytał Kunigas — mów, gdyby co?

— Gdyby — szepnęła, — Kunigas mój, Mindowe kniaź, chmurny nie był.

I wstała od prząśnicy, usiadła na ziemi, białą dłonią czarne włosy męża gładziła.

— Skąd panie mój, — mówiła — te zmarszczki na twem czole? Małoż ma pan mój sług, koni, sokołów? Źleż mu w tym pięknym zamku? Wszak tam — dodała, wskazując na wiszącą u pułapu kołyskę — śpią synowie jego, a przy nim wierna i kochająca żona... Źleż panu memu wśród nas? Tęskniż za kim?

Mindowe podniósł się i bystry wzrok zatopił w jasnych oczach żony.

— Marti, — rzekł, — czyś ty kiedy widziała orła w klatce? Czyś widziała jak on pierś swą krwawi o żelazne jej pręty? jak się dusi w niewoli?

Marti westchnęła. — A on mówił znów.

— Klatką mi ten gród. — Czem dla orła wolna przestrzeń, tem dla męża — czyn!

— Mnie Marti, nie u ognia ciepłego siedzieć, nie pieśni słodkiej słuchać, nie z dzieciakami się zabawiać. Mnie trzeba czynów... Chciałbym piorun w dłoni mieć!

— Jak wicher ziemię tę przelecieć z końca w koniec. I wstrząsnąć i zbudzić do czynu, — do boju!

— Do boju? — szepnęła.

— O tak, tak, do boju! — Na życie i śmierć! — Litwę wielką i potężną mieć.

Marti głowę z ciężkiem westchnieniem pochyliła.

— Tak potężną i wielką Litwę chcę mieć! A co ja mam? — mówił chodząc po świetlicy mąż. — Skrawek ziemi, po który wrogi ręce chciwie wyciągają. Może w dzisiejszą noc do bramy tego zamku zakołacze Ruś? Może dziki Tatarzyn przyjdzie, pętlicę na szyję zarzuci... i powlecze Mindowę jak kniaziów ruskich. Z północy mnisi, z zachodu mnisi idą i śmierć Litwie jak Prusom niosą.

— A czemuż, — szepnęła kobieta, inne kunigasy nie idą w bój?

— Czemu? — powtórzył, — bo Erdziwiłł kona zatruty strzałą tatarską, a skonać nie może. On jeden mógłby, a reszta... kądziel im z niewiastami prząść, lub obcym się wysługiwać, lecz nie kunigasami być.

W tem zadudniło coś na podwórzu.

Mindowe w dłonie klasnął.

Wszedł sługa i pokornie stanął u drzwi.

— Kto wjechał na podwórze zamkowe? — pytał kunigas.

Ale już drzwi się szeroko otwarły i do świetlicy wszedł wysoki siwy mąż.

— Lutawor? — zawołał Mindowe, a Marti od ognia się porwała.

Przybyły pochylił się do nóg Mindowy.

— Kunigas pones (Książe panie) — rzekł — pokłon ci daję. Tyś Litwy Kunigasem! Od Erdziwiłła stosu jadę.

— Brat mój nie żyje? — zawołał Mindowe.

— Stos zapalono, gdym za wrota zamkowe wyjeżdżał — rzekł Lutawor. — Zanim się stypa ukończy, zanim się tamci obejrzą, na książęcym stołcu syn Ryngolda zasiądzie.

Mindowe w dłonie klasnął.

— Niech uderzą w rogi, — rzucił wbiegającemu słudze. — Starszyznę zwołać.

— Marti, — zwrócił się do żony, — wieczerzę nam staw. A my Lutawarze na naradę, — spieszmy.

Poszli, a Marti do kołyski dzieci podeszła, gdzie się młodszy syn zbudził i kwilić począł.

Wzięła go na ręce i tuląc do piersi płakała.

— Synku mój, gołąbku jasny, — szeptała, — czy ja cię wychowam? Gdy ojciec orzeł od gniazda odleci, orlęta mrą głodem, i nasz orzeł jasny odleci, ciasno mu, tęskno z nami. Synaczki wy moje najmilsze. I czemu bogi Litwie spokoju nie dają? Znowu będzie bój, krew.

II.

Jak orzeł na stado jastrzębi zlatuje niespodzianie, tak Mindowe spadł na ucztujących przy stypie Erdziwiłła.

Otoczeni wojskiem, a do boju nieprzygotowani, pokłon mu dali synowcowie, kunigasem Litwy go uznając.

— Za dużo jest władców na Litwie—mówił Mindowe do słuchających go w milczeniu Towciwiłła i Ardwida, synów zmarłego Erdziwiłła i krewniaka ich, kunigasa żmudzkiego Wikunda. — Ziemi i ludzi za mało, a panów za wiele i stąd niemoc nasza. By Litwę silną uczynić, trzeba moc mieć w jednem ręku. Jeden rządzić musi, a reszta posłuch mu ma dać.

Odpowiedzieli milczącym pokłonem, a on mówił dalej:

— Dzielnicę waszą złączę w jedno z Nowogrodzką. Lecz krzywda wam nie stanie się. Spójrzcie przed siebie, w stronę skąd wstaje słońce. Kraj bogaty tam otworem stoi. To Ruś. Wojowników dam wam, idźcie i podbijajcie bogate ziemie. Wyniszczone przez napady Tatarów, osłabione domową wojną bronić się nie zdołają. Idźcie i kraj ten Litwie zdobądźcie.

Posłuszni woli wielkiego kunigasa pospieszyli książęta na Ruś. Niedługo przygnali gońce do Nowogródka, zwiastując wesołą nowinę.

— Na stolcu kniaziowskim w Połocku zasiadł Towciwiłł i kunigasowi Litwy pokłon śle. Ardwid i Wikund smoleńskie ziemie zajmują i z Litwą je złączą.

Uradował się Mindowe, gońcom hojną rzucił zapłatę i wspaniałą ucztę w zamku zastawić kazał.

— Lutaworze—mówił do starego wojownika —

druha jeszcze ojcowskiego, patrz, lwie stary i raduj się potęgą Litwy. Na wschód idziemy, Ruś bogatą wcielimy do Litwy, Tatarów het precz wypędzimy, a kniaziowie pokłony nam bić będą.

I Lutawor radował się wespół z kunigasem. Troska jednak wielka zasępiła raz czoło starca.

— Z Rusią wyniszczoną łatwiej poradzimy sobie — mówił siwowłosy wojownik, — lecz inny wróg grozi nam.

— Mnisi! — zawołał Mindowe — juźci że grożą nam, a idą z dwuch stron.

— Przybył tu świeżo Prusak — mówił dalej Lutawor — i wieści straszne szerzy.

— Co rzekł? — pytał kunigas.

— Bałga zdobyta — cichym głosem odpowiedział.

— Kłamstwo, ohydne kłamstwo — wołał Mindowe. — To być nie może, by niezdobyty zamek pruski był już w ręku wroga.

— A jednak stało się — szepnął Lutawor.

Mindowe na sługi wołał i owego Prusaka, który aż tu zaszedł, szukać i stawić przed obliczem swem nakazał.

Przywiedziono go niedługo, a gdy kunigas nań spojrzał, słowom Lutawora wiarę dać musiał.

Wyglądał bowiem ów mąż, jakby z ognia wyszedł. Zczerniały, zeschnięty jak wiór, w oczach miał przeraźliwy błysk rozpaczy.

— Mów — rzekł Mindowe — prawdąż jest, że mnisi Bałgę wzięli?

Krwawe oczy Prusaka zaszkliły się.

— Wzięli — rzekł krótko i głowę spuścił na piersi.

— Cóż wojowników nie było, nikt-że zamku Wajdewutisowego nie bronił? — pytał chodząc po izbie Mindowe.

— Podstępem wzięli go Niemcy — opowiadał Prusak—gdy jednak kapłani ludowi straszną wieść obwieścili, zbiegła się ludzi moc. Stanęliśmy wszyscy pod grodem. Głodem Niemców wziąć, gdy orężem ich zmódz nie możemy, mówiła starszyzna, I głód zapanował w zamku. Szczury już jedli. Zdawało się, że bogi dawną moc swą dały Prusom. Wszak Bałga to wrota ziemi naszej. Długie dnie i noce staliśmy pod zamkiem i serca nam rosły. Aż nocą od morza przybyły Niemcom posiłki. Wojownicy silni z bronią dobrą. Wzięli nas z dwuch stron padali nasi jak muchy. Kto nie zginął od ran, ten szedł w niewolę i tam życiem długiem się nie cieszył. Męczono go tylko okrutnie, zanim zamordowano. Kilku nas uciekło, schroniliśmy się w puszczę. Tam ukryci widzieliśmy mord Prusów.

— Bogi, bogi — szeptał Lutawor. — Toż to wróg ów biały z krwawą dłonią, którego przyjście zwiastowała ongi wajdelotka pruska.

A Mindowe chodził po świetlicy i maczugę cisnął w dłoni.

— Gdy wojowników wzięto — mówił dalej Prusak — Niemcy poszli po numach. Nie dano wyjść nikomu, niemowlęta nawet zawarto w izbach, potem chrustem i słomą numy obłożono i wszystkich żywcem spalono.

— Lutaworze — zawołał Mindowe — jakżeż Litwie nie mieć mocy! Gdy Bałga zdobyta, Niemiec coraz to bliżej sunie ku nam z zachodu.

— Z północy też — odparł chmurnie Lutawor.

— Ha! więc bogi mię szczęśliwie natchnęły. Na Ruś nam iść trzeba, siły i mocy zebrać, inaczej najstraszniejsze nas czeka. Ale gdy Towciwiłł z Połocka przywiedzie nam posiłki, Ardwid i Wikund ze smoleńskiej ziemi wojowników zbiorą, na Niemców pójdziemy i zetrzeć ich musimy.

— Inaczej — odrzekł Lutawor — Litwa nie zazna pokoju.

Tak dumał kunigas Litwy i do walki z Zakonem Krzyżowym, który przed dwudziestu niespełna laty osiadł na granicy Prus, sposobił się. Walka czekała go wielka, gdyż z zachodu szli Krzyżacy, a z północy Kawalerzy Mieczowi, coraz to bardziej zbliżali się do granic Litwy.

Nowy wróg zajrzał do Litwy i samem zbliżeniem się popłoch wywołał straszny. Tatarzy to byli, którzy z Azyi wyszli, splądrowali i ujarzmili Ruś i zagładę nieśli sąsiednim ludom. — Zabiegł im drogę Mindowe, rozbił w dwu wielkich bitwach i od tych najeźdźców kraj swój ocalił.

III.

W Nowogródzkim zamku piękna Marti synów swych wychowywała. Już Repikas na koniu jeździć poczynał a mały Ruklis na drewnianym patyku har-

cował, matka patrząc na nich radowała się swym pacholętom, a kunigas cieszył się, że niedługo Niemcy z nim wojować będą. Zwyczajem litewskim przed wyprawą wojenną wybierał się Mindowe na łowy wraz z najstarszym synem Wojsiełkiem, pasierbem Marti i z Lutaworem, gdy w podwórzu zamkowem zastąpił mu drogę nieznany człek.

Biedota to była jakaś wielka, bo i odzież na nim potargana i chodaki zniszczone, włos zwichrzony i piaskiem pokryty świadczyły, iż zdala przybywał.

Zdziwił się kunigas obcemu i skąd się wziął i kto go tu puścił, chciał sług pytać. Ale nieznany ów człek do nóg mu padł i błagać począł, by mu wybaczył, iż przed jego obliczem stanąć śmie. Z Połocka on tu przybywa i wieści ważne przynosi.

Mindowe go ze sobą do świetlicy wiódł, a Lutawora wołał.

— Kunigas pones, — rzekł obcy, gdy się drzwi za nimi zamknęły, — złą wieść ci rzec mam — i do nóg Mindowy padł, a łbem bił.

— Mów, — rzekł krótko Mindowe.

— Oto kunigasie wielki, zły a obłudny Towciwiłł, któremuś wojsko dał i kniaziem połockim uczynił — mówił leżąc wciąż u nóg Mindowy obcy, — zdradą twe dobrodziejstwa płaci.

— Psie! — zawołał Mindowe, — psie podły, jak śmiesz kłamać.

— Jeślim skłamał, — mówił tamten, — każ mię panie na kawałki ćwiartować, ze skóry żywcem obedrzeć.

— Towciwiłł zdrajcą? — pytał Lutawor, —

przecież niedawno dary słał i pomoc przeciw Niemcom obiecywał.

— Dary słał, gdyż szło mu o uśpienie czujności wielkiego Mindowy, — mówił obcy. — A zdradę knuł oddawna.

— Wstań i mów — groźnie rzekł Mindowe — a niech cię Perkunas od kłamstwa strzeże, zginąłbyś marnie.

— Język mi każ uciąć panie, jeśli jedno słowo fałszywie wypowie, — mówił przybysz. — Przed miesiącem kniaź połocki Towciwiłł w cerkwi ruskiej na Tymofieja się ochrzcił i z Ksenią Braczysławówną ślub brał.

— A Ardwid? a Wigunt? — wołał Mindowe.

— Obaj byli w cerkwi i obaj też chrzcić się mieli, — odrzekł obcy.

— Lecz ktoś ty? — zapytał Mindowe, — ktoś ty, co mi te wieści przynosisz?

— Ostap Konstantynowicz, bojaryn ruski, — odrzekł zagadnięty.—Towciwiłł zagarnął me włości. Kunigasie Litwy, zdrajcę tego, ukaż ty teraz. Wszyscy trzej synowie twoi gotują się wystąpić przeciw tobie. A kniazie ruscy w pomoc im idą.

Mindowe za ramiona schwycił Ostapa.

— Słuchaj,—wołał trzęsąc nim jak liściem,— słuchaj, jeśli nieprawdą jest, coś rzekł tu, biada ci! Na wolnym ogniu spalić cię każę, a przedtem język ci utnę, byś w godzinę śmierci już kłamstwa żadnego rzec nie mógł.

Ostap do nóg padł i stopy kunigasa całował.

— Kunigasie Litwy, ty wielki i potężny, rób

dziś ze mną co chcesz; po śmierci mej przekonasz się, że jednego słowa fałszu nie wyrzekły me usta. Zamorduj mię, ale Towciwiłła zdrajcę ukarz, odbierz mu ziemie, które mi zagrabił.

Mówiąc to czołgał się za chodzącym po świetlicy Mindową i czołem wybijał mu pokłony.

Lutawor splunął w kącie.

— Idź, — rzekł do bojarzyna kunigas; niech ci w psiarni jeść dadzą.

Jeszcze jeden pokłon, i zostali sami.

— I cóż robić należy dziś nam? — zapytał Mindowe.

— Kunigas Litwy rady pytać nie potrzebuje, — odparł siwowłosy wódz, Syn Ryngolda wie, co czynić ma.

Popatrzyli sobie w oczy.

— I druh stary już wie co postanowiono. Dla Litwy my obaj w ogień pójdziemy, prawda! — mówił Mindowe.

— Tak, my, lecz inni? — powtórzył wódz.

Mindowe ramionami ścisnął.

— Bogi niech ich sądzą. O Lutaworze, gdybyż takich tysiące serc było jak nasze, Litwa nie bałaby się największego wroga. Ale ty widzisz... Źleż było Towciwiłłowi na Połockim stolcu? Jak podły pies poszedł skamleć i łasić się do wroga.

Przeszedł się parę razy po świetlicy, poczem przed siedzącym u ognia Lutaworem stanął.

— Na łowy nie pójdziemy, każ otrąbić to. I niech wici zapalą i smerdom, a kunigasom daj

znać. Idziemy na Ruś. Gońców na zwiady wysłać należy, prawdąż jest, co ów bojar nam rzekł.

Ostap nie kłamał. Potwierdziły się niedługo ego słowa. Towciwiłł i Wigunt wiarę ruską przyjęli, i z kniaziami ruskimi wyprawę na stryja gotowali. Uprzedził ich jednak Mindowe. Zaskoczeni, zamki swe i włości bezbronne zostawili, a sami do książąt ruskich Daniły i Bazylego na Wołyń uciekli.

Ucieszył się im Daniło. Gniewny był wielce na Mindowę, iż go ubiegł i spustoszone ziemie ruskie dla Litwy zdobył.

Gdy więc Towciwiłł z Ardwidem i Wiguntem pokłon mu złożyli, przyjął ich uprzejmie i wyprawę do Litwy szykować począł. Chciał Daniło synowcom ziemie litewskie od stryja odebrać, a samemu zagarnąć księstwa ruskie.

Sława imienia Mindowy była jednak tak wielką, iż Daniło nie śmiał sam przeciw niemu do boju wystąpić. Oglądał się za pomocą. Wysłał posłów do Polski. Ale tu jej nie uzyskał.

Zwrócił się więc w inną stronę. Wszak od północy szli na Litwę Kawalerzy Mieczowi, a od zachodu Krzyżacy, Ci pewno z chęcią na Mindowę napadną.

Odbyto wielką naradę i Wigunt wyjechał do Rygi z listem do Mistrza Andrzeja i biskupa Inflant Alberta.

W liście tym kniaź ruski przedstawił Niemcom konieczność wojny z Litwą. Srogie krzywdy wyrzą-

dzone synowcom przez dumnego kunigasa i wzywał Białe płaszcze do wspólnej walki.

Towciwiłł i Ardwid, obaj już chrześcijanie błagali pomocy u Zakonu. Obiecując w zamian o ile by to Zakonowi miłem było, przyjąć wiarę niemiecką. Mindowe tymczasem zajął Połock i ziemie smoleńskie, opuszczone przez kniaziów, a zostawiwszy tam niewielką załogę, do Litwy z powrotem wrócił. Niebezpieczeństwo tu było wielkie. Wigunt z Rygi gdzie go Niemcy jak najlepiej przyjęli, pospieszył do swej Żmudzi rodzinnej.

Ale Żmudzini niechętnie nań patrzyli.

— Bogi nasze porzucił — mówili wajdeloci — ruskiemu Bogu się kłania, do Niemców z pokłonami jeździ. — To nie nasz kunigas — Mindowe, co żelazną ręką wrogów odgania kunigasem Litwy jest.

I lud szedł za wajdelotami, a Wigunta słuchać nie chciał.

Srebrem ruskiem i darami przekupił jednak niektórych bojarów żmudzkich i Jaćwież i ci obiecali mu pomoć. Tymczasem Daniło na Litwę uderzył. Próżno stary lew, osiwiały wódz litewski Lutawor i sam Mindowe cudów dokazywali. Kunigas z konia dniem i nocą nie schodził, a mimo to Rusini zajmowali mu gród po grodzie. Słonim, Żdzitów, Wołkowysk miały już ruską załogę.

Marti zamknięta z dziećmi w nowogródzkim zamku, gorzko płakała. Mindowe miesiąc cały już tu nie był. Każdego dnia, każdej chwili obawiano się napadu wroga.

Pewnej nocy posłyszała księżna głos rogów. Do okna się rzuciła.

To był róg Mindowy. Pod bramą stał on sam na koniu, a przy nim dwuch tylko wojowników.

— Byłażby Litwa rozbitą?

Narzuciwszy pospiesznie odzież Marti, zbiegła po schodach. Mindowe wchodził właśnie w podwódze.

— Idź Marti, idź — rzekł — do dzieci, do świetlicy swej. Nie czas mi z niewiastami zabawiać się.

Odeszła, a gorzkie łzy z oczu jej jak groch leciały.

Mindowe dowódcę zamku do siebie wołać kazał i z nim długą odbył naradę.

Dzień już był, gdy do świetlicy żony wszedł.

Marti od krosien się porwała, ale nieśmiała ku niemu podejść. Patrzyła z przerażeniem na przybyłego.

Silny wysoki mąż zsechł, pochylił się i zczerniał. Oczy mu w głąb zapadły, a wśród kruczych włosów, pełno było srebrnych nici.

— Głodnym — rzekł kunigas.

Księżna służebne wołać poczęła, by jadło i napój podały. Mindowe przy ogniu zasiadł. Chmurne oczy w płomień zwrócił.

— Gdzie chłopcy? spytał po chwili.

— Rukli do stajen pobiegł — odrzekła żona — a Repikas śpi jeszcze. — Mały on i często w nocy nie sypia — mówiła, jakby tłumacząc syna matka.

— Niech śpi — rzekł Mindowe — i znowu zamilkł.

Przyniesiono jadło. Ale Mindowe zaledwie chleba tknął. Po świetlicy dużemi kroki począł chodzić.

Repikas zbudził się, zobaczywszy ojca, skoczył ku niemu.

Chłopiątko było śliczne, jasnowłose jak matka, wesołe zawsze i serdecznie ojca kochające.

— A konika, czyś mi przywiózł i kukiełkę z Rusi? — pyłał wieszając się u szyji ojca.

— Przywiozłem ci troki ruskie, synku — rzekł twardo Mindowe — i postawił dziecko na ziemi. A zwracając się do Marti, która Repikasa za rączkę wzięła, dodał:

— Wojsiełka oddałem Rusinom, po tych może niedługo Niemcy przyjdą.

Załamała ręce przerażona.

— Rusinom oddałeś — szepnęła przerażona.

— Tak — powtórzył, — oddałem go Rusinom. — Danile, by za syna Nowogródek mi zostawił.

— Marti — zawołał — ty patrzysz na mnie z wyrzutem, a cóż znaczy dziecko, gdy Litwę trzeba ratować?

Marti syna przytuliła do siebie.

— Bogi — szepnęła — sił nie mam.

— Tak Marti — mówił znowu chodząc po świetlicy Mindowe. — Burza wielka idzie na nas, Rusin, Niemcy z dwuch stron. Wigunt Żmudź i Jaćwież buntuje. — Musiałem dziecko me w zastaw

dać, a ziemię ratować. O Marti — mówił, obejmując żonę z dzieckiem — ty wiesz, jak was żałuję, lecz nad Wojsiełka, nad ciebie Marti, nad synów, Litwa mi droższa, więc mi się nie dziw kobieto.

Weszła służebna Marti, oznajmiając iż przybył goniec od Lutawora. Odszedł kunigas rzuciwszy żonie nakaz, by do drogi wraz z dziećmi gotową była, nocą bowiem dziś jeszcze Nowogródek opuszczą.

Dokąd? nie mówił kunigas, a niewiasta pytać nie śmiała. — Tak chciał i kazał, więc słuchać należało. Marti dobra i słodka dla wszystkich, nie kochała jednak pasierba swego, Wojsiełka. Młody kunigas przerażał ją swą mściwą i okrutną naturą. Unikała go zawsze o ile mogła i synów chroniła od jego wpływu. Mimo to wieść o oddaniu go w zastaw zabolała dobrą księżnę.

— Kto wie, czy wróci już kiedy do nas — myślała — zastawników często mordują. Biedny, biedny Wojsiełek.

Nocą wyruszono w drogę. Mindowe snać dobre wieści otrzymał, gdyż był weselszy i spokojniejszy niż rano.

W drodze dowiedziała się Marti, iż jechano do zamku w Worniach.

Zaledwo tu przybyli i rozgościli się a Mindowe wespół z Lutaworem wzmocnił mury silnego zamczyska, gdy nadciągnęli Niemcy. Towciwiłł ich wiódł. Rzucił już wiarę ruską i nie jako Tymofiej, lecz z niemiecka przezwany Teofilem, wiódł Niemców na kraj swój rodzinny.

Poprzednio zabrali Niemcy Połock i niby ponownie oddali go Towciwiłłowi, sami załogę w nim swoją jednak osadzili. Teraz szli wraz z synowcami na Mindowę. Głoszono po drodze, że Niemcy tylko pokrzywdzonym, książętom z pomocą idą, ukarać Mindowę, a kunigasem zrobić Towciwiłła.

— W otwartem polu nie zdzierżymy Niemcom, — mówił Mindowe do Lutawora, — ale tu w Worniach, zatrzymamy ich długo, zęby połamią, a zamku nie wezmą.

Wajdeloci rozbiegli się po Litwie całej, wici wojenne nieśli i lud wzywali przeciw Niemcom i wyrodnym kunigasom, co starych bogów wyparłszy się, po dwakroć już chrzest przyjęli. Zbiegło się też ludu moc do zamku. Zwieziono ogromne zapasy żywności. — I Mindowe chociaż chmurny, spokojnie jednak po podwórzu zamkowem chadzał.

Ulubieńcem jego stał się obecnie ów Rusin Ostap Konstantynowicz, co pierwszy wieści o zdradzie Towciwiłła przyniósł.

Zrazu wysłany do psiarni, dziś był już zaufanym kunigasa. Złączyła ich sroga nienawiść przeciw Towciwiłłowi. Ostap był cichy, a pokorny, umiał zejść z oczu kunigasa, gdy ten w szał gniewu wpadał. Na zawołanie jednak z pod ziemi wyrastał. Każdą nową wieść przynosił pierwszy. Na kolana padał przed kunigasem i pokornie czołem przed nim bił.

Marti i Lutawor nie cierpieli Rusina. Starzec go psem nazywał, a Marti lęk ogarniał, ile razy go zobaczyła.

Próbowała nawet na męża wpłynąć, by go od dworu swego odegnał. Ale Mindowe oburzył się.

— On mi druhem najlepszym, — rzekł, — wszak gdyby nie on, Towciwiłł by już nas wszystkich wydusił. Kto przeciw niemu powstaje, ten ze mną nie trzyma,

Milczała więc Marti, milczał i Lutawor.

Otoczyli w końcu zamek Niemcy, lecz rychło przekonali się, że go nie zdobędą.

— Głodem ich brać będziemy — mówili komturowie. Ae i to nie udało się. Mindowe zabezpieczył się i żywności na zamku nie brakło. W ciemne noce, gdy obóz niemiecki spał, lub gdy słoty nie dozwalały nic dojrzeć, wypadał z zamku na czele małego oddziału Lutawor, lub inny jaki wojownik i Niemców nękał.

Zaczęli szemrać żołnierze, a zwłaszcza najmici Rusini i Połowcy. I o odwrocie myśleć. Ale niemiecka starszyzna słuchać o tem nie chciała, by tak z niczem odejść.

Puszczono więc wojska w głąb kraju. Zaczerwieniło się jesienne niebo od pożarów wiosek i grodów, które Niemcy wraz z litewskimi kunigasami w perzynę obracali. Spłynęła krwią kobiet i dzieci czarna ziemia. Hulali Niemcy, a wraz z nimi hulali wesoło Towciwiłł i Ardwid, ciesząc się rozlewem krwi bratniej. Niszczyli dokoła ziemię litewską, wołając, że zemstę na stryju wywierają.

A w Worniańskim zamku kunigas zamknięty jak zwierz w klatce, miotał się z bólu. Niemców sporo wycieczkami wymordowano, mimo to z ra-

dosnem pieniem wracali oni do Rygi, prowadząc ze sobą jeńców i wioząc łupy. Wraz z nimi pociągnęli tam Ardwid i Towciwiłł.

W Rydze dokąd niedługo przybyli posłowie Daniły i Wigunta ze Żmudzi, poczęto radzić o nowej wyprawie na Litwę.

Mindowe tymczasem z Wornian wyszedł i ziemię swą oglądał. Pustą i martwą była. Ze zgliszcz i rumowisk wypełzały żaby i gady. Jedyne stworzenia żyjące — ludzie, których nie pomordowali, lub w niewolę nie powlekli, kryli się kędyś w borach i nieprzebytych błotach.

Po lasach Litwy szedł mór.

Wracał kunigas do zamku, a zamknięty w świetlicy włosy darł i głową w ścianę bił. Żony, dzieci widzieć nie chciał. Potem przy ognisku na skórach niedźwiedzich legł i tak chmurny, milczący zamknięty w sobie trawił dnie i noce. Aż raz po Lutawora słać kazał.

Przybył wraz lew ów stary. Zamknęli się w świetlicy i późno w noc wiedli ze sobą rozhowory.

Nikt, nawet Ostap choć pod progiem legł i ucho do ziemi przykładał, nie wiedział, o czem oni tam radzili.

Świt był gdy z świetlicy kunigasa wyszedł stary wojownik. Zestarzał przez tę noc jedną, barki mu się pochyliły, oczy zapadły, a ręce drżały. Poszedł wprost do siebie i bogom ofiary stawiać począł.

Mindowe sługom ciszę nakazał i na łoże padł.

W kilka dni potem zwołano do Wornian kunigasów co znaczniejszych, a kunigasowi wielkiemu

ślepo oddanych. Przybył i Lutawor. Mindowe przyjmował ich ucztą wspaniałą.

— Synowce moi — mówił wznosząc czaszę pełną czarnego piwa — z mnichami tam w Rydze wiodą biesiady. I my tu zabawić się możemy. Któż wie komu jeszcze bogi zwycięstwo dadzą?

Spojrzeli przerażeni niemal po sobie. Czyżby kunigas na wyprawę nową się wybierał? Lecz gdzież wojownicy? Nową klęskę by to przyniosło Litwie i im wszystkim.

Nikt jednak słowa nie śmiał przemówić.

— O wojnie z Niemcami nie zamyślam — mówił dalej Mindowe, — trudno jednemu porywać się na wszystkich. Posłów wysyłam do Rygi i pokój a zgodę Mistrzowi ofiaruję.

— Któż wie jednak, czy zgoda ze złym wrogiem szczęście nam przyniesie, — wtrącił Lutawor. — Gdziekolwiek nogą stąpił Niemiec, tam wszędy przyniósł ze sobą zagładę. Z nim tylko maczugą zgodę bym zrobił.

Mindowe brwi zmarszczył.

— Wojownikiem wielkim i sławnym jest wódz nasz Lutawor, — rzekł — jednak dziś rady jego przyjąć nie sposób. Kędyż są wojska, kędy orężni męże? Obcy z trzech stron Litwę otoczyli? Musimy dziś milczeć, a czekać. I jedno zostało — zgodę Niemców z Rusinami i Wiguntem rozbić.

— A jeśli zgody nie przyjmą? — spytał któryś z bojarów.

Ale Mindowe nie obawiał się tego.

I nazajutrz wyjechali posły ze wspaniałymi da-

rami do Rygi, — Kunigas Mistrzowi słał drogie szuby, sobole, lisie i niedźwiedzie, oraz spore stado silnych koni żmudzkich.

Pokłon kazał posłom dać i rzec:

— Godniej i odpowiedniej chyba będzie jeśli mistrz Zakonu, zawrze pokój i zgodę z najpierwszym, kunigasem Litwy, nie zaś z Ardwidem i Towciwiłłem. Wszak oni własne ziemie i księstwa na Rusi mieli i pierwsi przeciw stryjowi, a Litwie wystąpili. — Niechże Mistrz Andrzej przyjmie gościnę w zamku nowogródzkim i tu sam sprawę rozpatrzy i nie ze zdrajcami, lecz z Mindową braterstwo zawiąże.

Andrzej von Stückland, Mistrz Kawalerów Mieczowych, mile przyjął posłów i dary Mindowy. A chociaż wielu braci zakonnych przeciwnych było zgodzie z Litwą i sam biskup ryski Albert wołał, iż z pogaństwem należy raz skończyć, a Towciwiłła na tronie osadzić. Mistrz jednak w gościnę do Mindowy się wybrał. Jechał z nim Henryk Armakan, biskup chełmiński i uczony, a świątobliwy zakonnik brat Chrystyan. Towarzyszył ogromny poczet komturów, rycerzy, duchowieństwa i knechtów.

Zakuci w żelazo, na swych ogromnych koniach jechali Niemcy przez czarne i nieprzebyte niemal puszcze litewskie, z pogardą patrząc na ubogi lud litewski, który czając się w gąszczach leśnych przyglądał się im. Spokojni jednak zupełnie, Niemcy nie byli, ani bezpiecznymi się nie czuli, chociaż prowadzili ich posłowie i wojownicy Mindowy. Tylko mistrz i brat Chrystyan odważnie jechali.

— Tak, tak, — mówił Andrzej do Chrystyana, —

wielka chwila może nadchodzi, gdyby się udało pozyskać dla chrześcijaństwa Mindowę, sprawa byłaby rychło rozstrzygniętą. Zanim Krzyżacy, ogniem i mieczem nawrócą Prusaków, Litwa ochrzczoną byłaby przez nas.

— I zgodą a miłością dokonalibyśmy wielkiego dzieła, — odrzekł zakonnik.

— Ja tam najwięcej wierzę w krwawy chrzest. — rubasznie roześmiał się Göetz von Durchlingen, okrutny rycerz krzyżacki — ten już raz na zawsze wiarę im daje, gdy wodą ci poganie po dwakroć się chrzczą. Jak Towciwiłł naprzykład, przyjął wiarę ruską, teraz ochrzcił się w Rydze, a pewno swoje zabobony odprawia.

Rozśmiali się Niemcy dokoła. Mistrz z Chrystyanem i biskupem Henrykiem dalej cicho rozmawiał i różne plany co do Litwy snuł.

IV.

Wspaniale przyjmował kunigas Litwy swych gości. Nie żałowali najbardziej nieufni, iż tu przybyli. Przy pierwszej zaraz biesiadzie, gdy rogi pełne miodu krążyć poczęły, kunigas pijąc do mistrza Andrzeja prosił, by z nim braterstwo zawrzeć chciał, a zdradliwych jego synowców odstąpił.

— Bogu wielkiemu oddaliśmy się w służbę — odrzekł Mistrz. — Jego wolę pełnimy nawracając do światła nieszczęsne ludy, które w pogaństwie zostają. Gdy więc synowcowie twoi, książę, przyszli

nas prosić o chrzest i wyznawcami Chrystusa się stali, pomoc im należało dać.

— Wszak wojny zaborczej nie prowadzimy — mówili komturzy. — To co czynimy jest obowiązkiem naszym.

Poczem mistrz zagadnął o Marti. Zwyczajem bowiem litewskim, księżna z kobietami nie zasiadała do uczty.

— Kędyż jest małżonka wasza? książe — pytał Andrzej, — sława jej piękności i dobroci doszła do nas, do Rygi. Miło by nam było poznać ją i synaczków waszych.

Mindowe posłał do żony, by się przysposobiła na przyjęcie gości.

Biesiadnicy zostali przy uczcie a mistrz z bratem Chrystyanem poszli pokłonić się pięknej Marti. Prowadził ich sam kunigas. Nikt może bardziej od księżnej nie cieszył się przybyciem Kawalerów Mieczowych i nadzieją zgody z nimi. Marti dobra i łagodna nie cierpiała rozlewu krwi. Nieraz siedząc przy kołowrotku marzyła o tem, jakie by to szczęście było, gdyby raz ustały walki.

— Mordują się ludzie, wciąż zabijają — myślała — a po co? Małoż ziemi i skarbów na niej wszelakich?...

I oto dziś życzenia jej spełniły się. Wielce była też radą odwiedzinom tym. A radość ta dodawała jej jeszcze krasy.

— Ludzie zazwyczaj za wiele mówią — rzekł dworsko, witając księżnę mistrz Andrzej — widzę jednak, iż tym razem mało mi rzekli. Małżonka

wasza książę, zaćmić może najpiękniejsze róże i lilije. Między Monarchinie Europy wejść by winna.

Ruklis i Repikus stali obok matki. Mistrz serdecznie ucałował Repikusa, Ruklis łukiem się zasłonił.

— Strzelę do ciebie, Niemcze — rzekł cofając się, a oczy mu zaświeciły.

Mistrz udał, że nie rozumie słów chłopca, a Mindowe surowym wzrokiem skarcił syna.

— Wybaczcie mu panie — szepnęła Marti, — głupie to jeszcze i nie wie co mówi. — Bała się gniewu Mindowy dla syna.

Mistrz uśmiechał się dobrotliwie.

— I cóż w tem dziwnego — rzekł — iż litewskie chłopię na Zakon rękę podnieść gotowe. Wszak niedawno walkę toczyliśmy.

— Da Bóg, że ostatnią — wtrącił Chrystyan. Mindowe znowu o przymierzu wspomniał.

— Kunigasie Litwy — tym razem już zupełnie otwarcie mówił mistrz — wszak zgoda jest w twem ręku. Zostań synem naszego kościoła, przyjm wiarę świętą, a Zakon bratem ci się stanie.

Pobladł Mindowe i czarną brodą targnął. Bogi stare rzucić ma?

— Małżonka wasza książe — mówił brat Chrystyan — chrześcijanką jest już w duszy. Bo kto tak gorąco jak księżna Marti pragnie pokoju, dla kogo przelew krwi wstrętnym jest, ten już łaską Boską tknięty być musi.

— Miałżebym jak Towciwiłł być zdrajcą mego narodu i bogów? — rzekł Mindowe.

— Nie książe — odparł mistrz — stałbyś się tylko zbawcą Litwy.

W tej chwili weszli słudzy mistrza niosąc dary dla Marti, dzieci i niewiast księżny.

Były to miękkie i lśniące tkaniny wełniane, białe jak śnieg litewski. Czółka z pereł, kobierce wzorzyste. Dla chłopców zabawki; łuki i mieczyki krótkie, dla niewiast naramienniki i pierścienie błyszczące.

Uprzejmość mistrza i bogate dary ujęły wszystkich. Mindowe tylko pozostał chmurny. Mówiono potem o łowach, na które nazajutrz wybierano się.

Brat Chrystyan wymówił się od tej rycerskiej rozrywki, prosząc by mu wolno było za to nazajutrz księżnę ponownie odwiedzić.

— Tak, tak kunigasie, — mówił następnego dnia mistrz do Mindowy, jadąc z nim na łowach — kraj twój wielki jest, potężnym jednak być nie może, jeśli doń światła nie wpuścisz i ludu twego nie ochrzcisz.

— Pomstę Bogów na siebie ściągnę — odrzekł kunigas.

Mistrz konia wstrzymał i Mindowie do oczu zajrzał.

— Książę — rzekł — mowa ta niegodna jest Mindowy. Mądrość wasza panie słynie w obcych krajach, a wy moglibyście wierzyć naprawdę w podłe bałwany? Czcić dęby i za bóstwa swe uważać nędzne gady? Chcecie — dodał — a tym toporem co go mam u pasa zetnę wasz święty dąb.

— Nie ważcie się — zawołał przerażony Mindowe. — Gościem na Litwie jesteście, ale gdybyście znieważyli bóstwo, nie ochroniłbym was od pomsty ludu.

Mistrz obejrzał się, czy nikt ich nie słucha, i po chwili mówił znowu:

— Zważcie panie, że i w sąsiedniej Polsce czczono bałwany, Mieczysław i Dąbrówka wiarę tę przyjęli, a drewniane bogi nic im złego nie wyrządziły.

— Lecz niemieckiej wiary Mieczysław nie przyjął — odciął się kunigas.

— Bóg chrześcijański jest zarówno czczony w Niemczech jak i w Polsce — rzekł mistrz — a pomyślcie jakiem dobrodziejstwem będzie przyjęcie wiary tej dla Litwy. Wyniesioną ona tem samem zostanie do rzędu państw, królestwem się stanie, a gdy złotą koroną Ojciec święty uwieńczy skroń wielkiego Mindowy, ustaną walki i waśnie, Litwa wielką i potężną jako najmłodsza córka kościoła zostanie. Wieki upłyną, a imię Mindowy z czcią wymawiać będą narody.

Tak uludnemi, a miłemi słowy zachęcał mistrz Andrzej kunigasa do przyjęcia wiary chrześcijańskiej.

Za przykładem mistrza i inni komturzy i biskupi, starali się jednać ku chrześcijaństwu pogańskich bajorasów. Uprzejme słowa i dary ujmowały wielu.

Jeden Lutawor był nieprzejednany. Na wyraźny rozkaz Mindowy bywał na łowach i ucztach do Niemców jednak się nie zbliżał, a zaczepiony zbywał ich krótko. Ofiary bogom palił też co dnia.

Za to brat Chrystyan nie wychodził prawie z pokojów księżnej.

Miękka dusza Marti lgnęła do nauki miłości

i dobroci, jaką jej tłumaczył zakonnik. Płakała jak dziecko, gdy Chrystyan mówił o Najświętszej Pannie.

Kawalerowie Mieczowi byli jednak ostrożni i jawnie wobec wszystkich z namową nie występowali.

Bawiono się, ucztowano, jeżdżono na łowy i tak schodziły dnie.

— Kunigasie! — zawołał raz wpadając do świetlicy Mindowy Lutawor — muszę z tobą mówić.

Mindowe sługi odprawił.

— Synu Ryngolga, — rzekł stary wojownik, — wypraw stąd Niemców. Wszak już dość długo tu bawią. Użyli łowów i uczt litewskich. Daj im dary i niech idą stąd precz.

— Czemużto mężny wódz mój — zapytał Mindowe — gości moich pędzić chce? Zaliż grzeczny mistrz Andrzej zasłużył na taką zniewagę.

— A więc Mindowe nie widzi, wzrok stracił chyba, — mówił porywczo Lutawor, — co się dzieje dokoła. Oto syn jego rodzony Ruklis z Bogów się naszych naśmiewa, a Repikus dzisiaj krzyżem jak Niemiec czoło swe znaczył.

Mindowe stał i patrzał na starego druha.

— Bogi litewskie, — rzekł — potęgi nie mają, nie lepiejże by dzieci nasze wzywały tego, który moc ma wielką.

Lutawor za głowę się chwycił.

— Więc już tak! — zawołał, — więc już do tego doszliśmy, że Niemcy nam bogów dają! Perkunasie!

I jak stał, tak padł do nóg Mindowy i siwą głową proch zamiatał.

— Mindowe, — wołał, — co ty zamierzasz co ty uczynić chcesz? W niewolę Niemcom Litwę oddajesz.

Mindowe skoczył.

— I ty mi to mówisz, — zawołał, — ty, przed którym jak przed ojcem tajników niema dusza moja. Wstań Lutaworze i powiedz kędyż zbawienie Litwy? Ruś idzie przeciw niej, Tatarzy wpaść w każdej chwili mogą. Gdy Niemców odtrącę, pójdą z Towciwiłłem i Ardwidem, a wtedy co? jak Prusy zginiemy.

— Bogi, — zawołał Lutawor, — dajcież mi umrzeć, a nie przepaść!

Mindowe westchnął.

— Z bogami przepadniemy, — rzekł.

— A z Niemcami co? — wołał Lutawor.

— Ha, my może zginiemy, — powtórzył kunigas, — lecz cóż to znaczy, jeśli Litwa żyć będzie.

Lutawor rwał siwe włosy, a Mindowe mówił znowu.

— Bogi, — umiłowana niewiasta, — dzieci, — ty Lutaworze, ja... czemże to jest powiedz sam wszystko, jeśli kraina będzie wielką i wolną?

Chrzest Mindowy, a z nim Litwy całej był już postanowiony.

Mistrz Andrzej odjeżdżał do Rygi, w Nowogródku pozostał tylko brat Chrystyan wraz z kilku innymi zakonnikami, by kunigasa i rodzinę jego pouczyć zasad prawdziwej wiary.

Biskup hełmiński Henryk wyjechał w poselstwie

do ojca świętego. Wespół z nim pojechało kilku komturów. Wysyłał ich mistrz z radosną nowiną, jako, że za sprawą Kawalerów Mieczowych i bez rozlewu krwi Litwa chrzci się. Mistrz Andrzej był szczerym wyznawcą Chrystusa, a chociaż z poganami wojował, nie rad patrzył na krwawe boje i prawdziwie cieszył się, iż udało mu się nawrócić Mindowę. O korzyściach dla Zakonu nie przepomniał. Zostawił te jednak czasowi.

Jednocześnie z biskupem Henrykiem i bracią zakonną Mindowe wysłał swych posłów z listem do papieża.

W liście tym kunigas litewski prosił ojca świętego, by go przyjął za syna kościoła rzymsko katolickiego, wraz z całą jego rodziną, a Litwę do rzędu królestw pozwolił zaliczyć. Biskupem litewskim prosił Mindowe, by został brat Chrystyan. Obiecywał też władca Litwy, cały swój lud skłonić do przyjęcia wiary świętej.

W Litwie zawrzało. Wieść o tem, iż Mindowe odstępuje starych bogów oburzyła wszystkich. Stary przyjaciel kunigasa Lutawor, prosił, by mu pozwolono wrócić do zamku swego, kędyś w nadniemeńskiej puszczy. Inni bojarowie tłumnie Nowogródek opuszczać zaczęli. Krewe i wajdeloci grozili karą bogów.

Z głębi Żmudzi przybył kunigas Trojnat siostrzan Mindowy. Wjechał do zamku i do księcia pospieszył.

Ucieszył się gościowi kunigas, lubił bowiem rycerskiego i śmiałego Trojnata i z radością chciał go ucztą przyjmować.

Ale Żmudzin porywczo zawołał:

— Nie na ucztę jam tu przybył i do stołu Mindowy nie zasiądę, aż wielki kunigas Litwy wespół ze mną bogom litewskim cześć złoży i do świętego dębu pójdzie.

— Od kiedyż to — zapytał dumnie Mindowe — kunigas Trojnat, rozkazy zaczął dawać panu swemu?

Ale Trojnat nie ustąpił.

— Panem mi nikt nie jest, — zawołał, — kogo za zwierzchnika sam nie uznaję. Połon ci dam stryju, jeśli nieprawdą jest, co mówią, żeś bogi nasze odtrącił, z Niemcami się wiążesz i wiarę niemiecką bierzesz.

— Już wziąłem, — rzekł Mindowe. — Bóg chrześcijan jest mym Bogiem i naród mój pójdzie za mną.

— Przekleństwo tobie i dzieciom twym! — groźnie krzyknął Trojnat — szczeźnij ty i plemię twe i niech przeklętą będzie na wieki pamięć twa, co pierwszy w niemiecką lud swój oddajesz niewolę.

I drżący gniewem i oburzeniem wybiegł książę żmudzki z zamku i z całym pocztem wrócił do swych borów.

W świetlicy zamknięty Mindowe ciskał się jak zwierz raniony. Wszyscy go przeklinali i uciekali od niego, a on wszak dla Litwy żyć pragnął, — dla niej wszystko poświęcał.

V.

Nadszedł dzień wielki. Dzień chrztu kunigasa i koronowania go na króla Litwy. Komnaty Nowo-

gródzkie jaśniały niebywałym przepychem. Cudownemi tkaninami obito drewniane ściany, a wspaniałe kobierce pokrywały podłogę. Dary to były mistrza Andrzeja. Jego też staraniem i kosztem urządzono na zamku kaplicę.

Papież poselstwo z radością przyjął. W liście swym nazwał Mindowę najmilszym synem kościoła. Pod opiekę swą państwo jego całe przyjmował. Biskupowi chełmińskiemu polecił, by koronację króla i królowej wyprawił jak najświetniej.

Przysłał też papież dwie korony dla króla i królowej ze złota zrobionie. Dla królowej Marti osobno przysłaną była przez Ojca św. róża złota, jako miły upominek za gorliwość z jaką sposobiła się do przyjęcia wiary świętej, oraz za usilne starania około nawrócenia swego otoczenia.

Ktokolwiek by zaś śmiał wystąpić przeciw królowi litewskiemu, wyklęty będzie przez papieża.

Zjechali się licznie Niemcy, przybył znowu mistrz Andrzej. Litwinów tylko było niewi elu.

Zadzwoniły dzwony od wczesnego ranka i w białych wełnianych szatach wprowadzono oboje księstwa do kaplicy. Mindowe szedł chmurny, czarne brwi mu się zsunęły, usta zacisnęły mocno. Za nim szła Marti jaśniejąca wdziękiem, a taka szczęśliwa jak nigdy może w życiu.

Obok niej były jej pacholęta, Ruklis i Repikus, jak aniołki w białych długich sukienkach z jasnemi włoskami i błękitnemi oczami.

I oni jak Marti kochali tego Boga miłości, któ-

rego dziś synami mieli się stać, tego malutkiego Jezusika, co to w żłóbku leżał i Matkę Jego.

Brat Chrystyan, już dziś biskup litewski ochrzcił Mindowę i Marti, oraz synów ich, a mistrz Andrzej chrzestnym ojcem im był.

Po chrzcie klęczący słuchali wszyscy mszy świętej.

Po mszy świętej, biskup Henryk, jako legat papieski, namaścił skronie Mindowy i Marti, a mistrz włożył im obojgu złote korony i na tron królewski, co stał przy ołtarzu, wprowadził pierwszego króla Litwy. Obok zasiadła królowa Marti. Podano miecz królowi. Wziął go do ręki Mindowe i dumnie spojrzał dokoła.

W kaplicy przeważnie byli Niemcy. Nielicznie stawili się Litwini, ci tylko, którzy zachęceni przykładem króla, lub ujęci darami zgodzili się przyjąć chrzest. Starych druhów, przyjaciół, nie było.

— Przyjdą — pomyślał sobie Mindowe — przyjdą gdy nadejdzie godzina.

I spojrzał w stronę Krzyżaków, a oczy błysnęły mu złowrogo.

Ha, jakże ciężkiemi ofiarami okupił on tę koronę. Ileż to już zamków poszło w ręce wroga...

Po koronacji Mindowe król, przyjmował wspaniałą ucztą przyjaciół Niemców i nowochrzczeńców Litwinów. Zajaśniały ogniem zamkowe komnaty.

W każdym rogu biesiadnej sali stało czterech, zaszytych w skórę Litwinów, trzymając gorejące sosny. By dym oczu nie gryzł, wysoko pod pułapem wywiercono otwory.

Wspaniałą była uczta. Stoły uginały się pod ciężarem pieczeni łosich, turzych, jelenich i niedźwiedzich. Piwo i miód roznoszono w rogach.

Mindowe gości raczył, do jadła i picia zachęcał. Sam pił też rad. Mistrz zato od napojów się wyprosił.

— Słaby jestem — mówił — i medycy nie dają mi pić.

Gdy wesołość ogarnęła biesiadników, mistrz króla od uczty odciągnął.

— Niech się bawią — mówił — i zdrowie Waszej Miłości wznoszą, my tymczasem królu o naszych sprawach pomówimy.

— O jakich? — spytał król — przecież mi swej przyjaźni nie odmawiacie.

— Cóż znowu? — rozśmiał się Andrzej, — A toć, że dziś Mindowe bratem naszym w Chrystusie się stał, a najmiłościwszym panem i władcą Litwy. Dziś my o przyjaźń twoją królu prosimy.

Mindowe dłoń swoją do mistrza wyciągnął.

— Bratem mi jesteś Andrzeju — rzekł.

Uścisnęli się, a Krzyżak tak znowu począł:

— Na usługi twe panie jesteśmy zawsze gotowi, Zakon jednak ubogi, zasiłku potrzebuje. — Tu wyciągnął z zanadrza papier.

— Ubogim zakonnikom król litewski nie poskąpi w dniu swej koronacyi skromnego daru. Drobiazg to, parę zamków, na Żmudzi i wolność handlu w stolicy naszej Rydze.

Mindowe z pod brwi krzaczastych błysnął groźnie okiem.

— Ubodzy Zakonnicy — rzekł — wkrótce króla z jego państwa wyrzucą. Małoż to zapisów wzięliście odemnie?

Ale mistrz słodkiemi i łagodnemi słowy nuże przedstawiać, jako Zakon zawsze w potrzebie na usługi króla pójdzie i wszędzie za nim i następcami jego obstawać będzie. Zresztą ziemie te granic Litwy nie uszczuplą, a za królewską koronę można chyba dać kawałek pogańskiej Żmudzi.

— Dobrze — rzekł w końcu Mindowe — dam Zakonowi połowę Rosien, połowę Betigoły i połowę Ławkowa. Drugą połową tych ziem obdarzę biskupa Litwy Chrystyana. Słuszną jest rzeczą, by pasterz litewski bliską opiekę miał wśród braci zakonnej.

Nie w smak poszedł mistrzowi ten rożdział, ale bał się króla drażnić i przystał na układ, poczem pod pozorem zdrowia pożegnał się i do swych komnat pośpieszył.

— I cóż? — pytali mistrza komturowie oczekujący już nań od paru chwil. — Cóż rzekł on poganin?

Mistrz rozmowę im swą powtórzył.

Splunął na tę darowiznę komtur Otto von Lickendorf, zajadły wróg Litwy, ale dwaj inni byli zadowoleni.

— Zbliży to nas do braci naszych — mówili — do rycerzy krzyżowych.

— Idąc ręka w rękę oba Zakony, najłatwiej zagarną Litwę.

— Za trzy dni wracamy do Rygi — rzekł mistrz.

— Wielki już czas potemu — rozśmiał się Otto — mam już dosyć tych uczt i przysmaków litewskich. Rzepy pieczonej i mleka z krwią wołową. Pogańskie te zwierzęta nawet wina nie mają.

— Ale łowy dobre — rzekł inny komtur.

Otto ramionami wzruszył.

— Najmilsze mi łowy — syknął — to na litewskich kunigasów i choć mistrz nasz cieszy się dzisiejszym chrztem tego poganina, jabym tam wołał jednak na czerwono go ochrzcić. Najpewniejszy to sakrament dla dusz pogańskich.

— Ale — rzekł komtur Bernard — mamy tu sojusznika.

— Kogo? — zapytał mistrz.

Serdecznego sługę i sojusznika jego królewskiej mości Mindowy I-go, Ostapa Konstantynowicza, bojarzyna ruskiego.

— Możesz to być? — zawołał mistrz — toć że to człowiek Mindowie oddany?

— Ha, ha oddany mu on, zarówno, jak i Waszej Miłości. Poznałem go bliżej — mówił komtur — i widzę, że polegać na nim można. Oddany on jest temu, kto lepiej płaci. A zrozumiał rychło, iż Zakon ma więcej złota niż jego ponas.

— Byłby to rzeczywiście nabytek dobry — mówił mistrz — zbliżony do króla, zna każdy jego krok. Zostaje wprawdzie tu brat Chrystyan.

Otto ręką machnął.

— Ten o królestwie niebieskiem tylko marzy. — Niedołęga!

. . . .

Noc była. Nadniemeńska puszcza spała. Po ciemnym błękicie nieba płynął duży księżyc. I on i gwiazdy spokojnie patrzyły na ziemię, na której toczyły się nieustanne walki, płynęły potoki krwi.

Niemcy w spokoju zostawiali obecnie Mindowę, wymuszając tylko od niego różne nadania i przywileje. Zato całą swą nienasyconą chciwość zwrócili na Żmudź. Tu wiara w stare bogi była niewzruszoną.

Palono stosy ofiarne u stóp starych dębów i czczono Perkunasa.

Miały więc oba zakony z kim wojować.

Zbudowali Niemcy nad Niemnem obronny zamek Karszowe.

Ale Żmudzini nie zlękli się, tylko po drugiej stronie rzeki swój zamek wzniesli i robiąc wycieczki niepokoili wciąż Niemców i nie dawali im iść w głąb kraju. Trwało to dłuższy czas. Ze szczytów wież zamkowych, rozdzieleni błękitnym Niemnem wygrażali sobie wzajem nieprzyjaciele,

I oto w nocy, — o której mówimy, cisza panowała dokoła. I ludzie i drzewa posnęli.

Wtem lekki szelest przeszedł głębie puszczy, zdawało się, że wąż sunie po zeschłym liściu.

Z miękkiego mchu podniósł się mąż wysoki i oczy wlepił w zarośla. Rozchyliły się gałęzie

krzewów i młody, smukły jak topola chłopak, stanął przed leżącym na mchu mężem.

— Jurgis — szepnął tamten — od Niemna przybywasz?

Przybyły skinął głową.

— W zamku śpią Niemcy. Naśpiewali się wczoraj, nabili w dzwony, a teraz snać śpią. Tylko straż czuwa na wałach.

— Skąd wiesz wszystko tak dokładnie? — spytał mąż.

Jurgis uśmiechnął się.

— Rysiem mię w domu przezwano, bo widzę o milę w ciemności — rzekł — a pływam jak ryba. Dziś dwa razy przepłynąłem Niemen.

— Dobrze, takich nam więcej. Wracaj do swoich i powiedz że kunigas Trojnat siły zbiera. Niemcy też nie śpią, inflandzki mistrz posłał do pruskiego po posiłki. Do Mindowy posłów też posłano. Pójdą wszyscy na nas, Kunigas Trojnat kapłanów o radę pytał, a bogi rzekli, że jak w domu źle Żmudzinom, to oni ich w lasach ukryją.

— Na razie jednak niech się nikt z zamku nie rusza. Ty wieczór na wały idź i patrz, jeśli zobaczysz dym nad głową starych sosen, zamek opuscić i w lasy iść. Do zamku Jurgis, ty wracaj.

Rozstali się i każden zinął w gąszczu leśnem.

. . . .

Na nowogródzki zamek zawitali goście. Zjechali co przedniejsi komturzy.

Mindowe kilku lat, które upynęły od koronacyi nie spędził naprózno, Wygnał on sporo kunigasów litewskich, którzy mu bruździli i powiększył swe państwo; z Towciwiłłem ułożył się, a od Danıły grody litewskie odebrał. Wojsiełka z niewoli uwolnił, pociechy zeń jednak nie miał, młody kunigas u Daniła w Haliczu zostając, przyjął wiarę ruską i z mnichami w klasztorze żył.

Mindowe więc od papieża pozwolenie dostał, by Rukli po nim królem litewskim był. Dogadzało to wszystkim. Nikt u dworu nie lubił ponurego i złego Wojsiełka. Rukli młodzieńczyk śmiały i rycerski, jak ojciec, wszystkich serca niewalał. Dobry był i serdeczny jak matka. Gorącego chrześcijanina i biskup Chrystyan popierał również na przyszłego króla Litwy.

Przybycie posłów niemieckich nie uradowało bardzo Mindowy.

Nigdy król ich nie kochał. Chciwość Zakonu wstrętną mu była, wszak on chciał Litwę mieć wielką i potężną, a oni darowizn ciągłych żądali. Ulegał im, bo musiał, ale wrzało wszystko w nim, gdy o tych zapisach przypominał.

Niemcy w zamian nic mu nie dawali, bo wszystkie wojny wiódł sam, obiecane posiłki nigdy w porę nie nadeszły. Spokoju tylko przestrzegali i z wrogami Litwy nie wiązali się.

Lecz Mindowe był Litwinem i gościnność wielką zachowywał.

Przyjął więc gości i ucztę wspaniałą wyprawił. Przy rogach pełnych litewskiego miodu, komtur Otto zagadnął.

— Miłościwy królu, z żalem wielkim w sercach przybyliśmy tutaj i zaraz musimy sprawę powierzoną nam przez mistrza wytłumaczyć.

— Czego żąda mistrz? — zapytał uprzejmie Mindowe.

— Oto ty miłościwy panie, znając ubóstwo Zakonu i jego wierność dla ciebie, darowałeś braciom naszym skrawki ziem na pogańskiej Żmudzi — mówił poseł. — Zbudowaliśmy tam zameczek Karszowe, boć że trudno żyć w puszczy ino. A oto podjudzeni przez Trojnata Żmudzini zbudowali na drugim brzegu rzeki Niemna zamek. Wybiegają stamtąd, a najeżdżając naszą krainę, krzywdzą spokojnych mieszkańców.

— I cóż chce mistrz, bym uczynił.

— Walka z poganami jest obowiązkiem chrześcijańskich monarchów — mówił komtur. — Wzywamy więc cię królu i prosimy o pomoc przeciw pogańskiej tej tłuszczy.

Mindowe postawił róg na stole,

— Dość mają sił Niemcy — rzekł — litewskie maczugi nie przydadzą się im.

— Więc to odmowa? — zawołał komtur. — Nie spodziewał się tego Zakon za tyle usług wyrządzonych królowi Litwy.

— I sowicie opłaconych — rzucił Mindowe.

— Zapominasz królu — porywczo mówił komtur — że ta korona złota, którą nosisz, łaską Zakonu darowaną ci jest.

Mindowe porwał się. Twarz miał purpurową, sine żyły wystąpiły mu na skronie.

— Nikt mi łaski i darowizny nie czynił — krzyknął — tem mniej Niemiec! Kunigas Litwy i dla Zakonu był nieraz straszny. Przyjąłem chrześcijanizm i tem samem królem został. A wy mi łask nie wymawiajcie!

Komtur wstał również od stołu.

— Więc posiłków nie uzyszczem? — zapytał.

— Nie, — rzekł krótko Mindowe. — Trojnata ziem najeżdżać nie będę.

— Biskupowi Liewskiemu pomoc jednak się należy — począł znowu Otto. — Brat Chrystyan uskarża się, że mu pogaństwo bydło zabiera, a dziesięcin nie płaci.

— Przypomnę wam komturze — rzekł Mindowe — słowa listu papieskiego, pisane do Zakonu, gdym królewską brał koronę. Wszak ojciec święty nakazał wam, byście z ludem tym tak się obchodzili, aby oni jarzma nie czuli, a ciemiężenia żadnego od was nie doznając, bardziej do wiary chrześcijańskiej i do was sercem jak dzieci do ojca lgnęli. A jakżeż Zakon postępuje z Prusami i Litwinami? Iluż to ludzi rocznie ginie przez was zamęczonych?

— Jadąc tu nie wiedziałem, iż takie przyjęcie znajdę — rzekł urażonym tonem komtur.

Ale Mindowe słów tych zdawało się nie słyszał.

— A nakaz papieża — mówił dalej — coście przy nowym swym mistrzu Burhardzie von Homhausen uzyskali, zabraniający Litwinom sprowadzania wszelkich zapasów z obcych krajów, czemże jest

jeśli nie nowym gwałtem? Ubogi kraj mój chcecie zniszczyć!...

Widząc, iż nic nie uzyskają posłowie opuścili Nowogródek. Z Ostapem jednak zdążył widzieć się komtur i upominek mu dał.

Nie długo po odjeździe Niemców nowy gość zatrąbił u bram zwodzonego mostu.

To Lutawor przybywał. Od lat wielu nie był tu. Na wyprawy chodził, do Nowogródka nigdy jednak nie wstępował.

Ucieszył się staremu druhowi Mindowe, a ten go prosił o rozmowę na osobności.

— Kunigas Pones — zawołał — jestże to prawdą, co ludzie mówią, że Niemcom Litwę już całą darował?

Mindowe porwał się.

— Coś rzekł? — zawołał. — Ja Litwę Niemcom?

— Tak — mówił Lutawor — wieść ta leci już po kraju. Posły Zakonu co tu byli, papiery owe pokazywali ludziom po drodze. Jako król Mindowe, gdyby bezdzietny umarł, to Litwę, kraj swój dziedziczny przekazuje Zakonowi. I od dziś Zakon na stały pobyt do Litwy sprowadza.

Mindowe po świetlicy biegał.

— Bezpotomnym nie umrę, — wołał, — trzech synów ma król litewski.

— Nierzadko się zdarza, że trzej bracia w jeden dzień umierają — rzucił Lutawor, — ziela złego dość rośnie w puszczy.

— Przekleństwo — ryknął Mindowe — toć

że oni w ten sposób serca mego ludu mi odbierają. A może i o śmierci mych synów zamyślają...

— I pieczęcie królewskie pokazywali — rzekł Lutawor.

— Kłamcy, oszuści — wołał król — pieczęcie podrobili, a pismo sfałszowali.

Miara przepełniła się. Tak Mindowe jak i Lutawor przekonani byli, że Niemcy z zemsty ten fałsz rozpowszechniali, by lud od króla odciągnąć. Gniew więc straszny opanował króla i o zerwaniu z Zakonem zamyślać począł. Tymczasem Trojnat sąsiedniemu kunigasowi, którego ziemie srogi głód nawiedził, ładowne wozy zboża posłał. Krzyżacy wozy owe przechwycili i mimo upomnień się Trojnata wydać nie chcieli. Wysłał więc Trojnat posłów do króla z temi słowy:

— „Stałeś się chrześcijaninem, by Litwę ocalić, jak mówiłeś, zawarłeś z nimi pokój i patrz, co oni robią, poznaj ich przyjaźń. Ludowi twemu chleb wydzierają“.

Mindowe jeszcze i to znosił, wysłał tylko posłów do Rygi prosząc by zboże oddano Żmudzinom, ale posły wrócili z niczem.

Trojnat lud wezwał i na włoście krzyżackie się rzucił. Buchnęły kłęby dymu ponad głowami starych jodeł i nadniemeński zamek opustoszał.

Do Rygi przybył poseł z wieścią, że król Mindowe posiłki Trojnatowi dał.

Mistrz inflandzki Burghardt von Hornhausen wezwał pomocy Krzyżaków. Stary osiwiały marszałek

Zakonu Henryk Bottel prowadził rycerstwo krzyżowe. W pomoc spieszyły wojska duńskie i szwedzkie.

— Na pogan, — na pogan — wołano wśród Niemców. — Starć na proch ich. Nie przepuścić kobietom i niemowlętom.

A komtur Otto cieszył się.

— Teraz ja im krwawy chrzest sprawię — wołał — nie odetchnę, aż but mój rozdepce ostatnią głowę pogańskiego gadu.

. . . .

Nad bystrą rzeką żmudzką Durbą dnia 13 lipca 1260 roku stanęły naprzeciw siebie dwa wojska. Potężnie i wspaniale wyglądały szyki krzyżackie. Silne, duże konie, a na nich olbrzymy w stal zakuci. Różnobarwnymi kolory biło słońce od ich złotych hełmów, na których powiewały pawie pióra. Była ich taka moc, iż zdawało się, że gdyby zdjęli ze siebie białe płaszcze i rozciągnęli je dokoła, to pokryliby het aż do morza tę piękną żmudzką ziemię.

Wojska Trojnata wyglądały, jak spędzona zewsząd bezładna drużyna. Każdy człek miał inną broń, ten kuszę, ten maczugę, tamten jakąś dzidę ten znów topór, inny procę, a nie rzadki przybył z sękatym drągiem.

Krzyżacy wysłali szpiegów i ci wieść przynieśli że króla Litwy w obozie nie było. Noc nie daiwała rozpocząć boju, czekano pierwszego brzasku słońca. Po północy do marszałka przyszli gońce z wieścią, iż Mindowe włoście kurońskie najechał,

mnóstwo jeńców zabrał i że z Trojnatem się złączył, oraz, że w obozie litewskim są dzieci i kobiety kurońskie, pobrane w niewolę. Kazał Henryk Bottel o tem milczeć i taić to przed Kurlandczykami.

Ale właśnie pachołek przybył z wiadomością, iż Kuroni całym tłumem zebrali się i stoją przed namiotem. Wyszedł więc do nich marszałek i czego żądają zapytał.

— W obozie litewskim — rzekli — są panie, żony i dzieci nasze, przyszliśmy więc prosić Dostojność Waszą, by nam dozwoliła stać w pierwszych szeregach. Rzucimy się na pogan i wydrzemy im nasze dzieci.

— Szyk bitwy już postanowiony — odparł marszałek — a chociaż uznaję słuszność żądania waszego, sam zadość uczynić mu nie mogę. — Na radę wzywam Mistrza Burghardta i komturów, co oni postanowią, tak będzie.

Zaraz też giermków posłał, by starszyznę na radę wezwali. — Gdy się zebrano w marszałkowskim namiocie, Henryk Bottel przedłożył prośbę Kuronów.

Pierwszy porwał się komtur Otto.

— Jakto zawołał — chcą marne chłopy te stanąć na czele wojsk naszych, prowadzić brać zakonną do boju? Cóż to my walczymy o garść bębnów kurońskich, lub w obronie brudnych ich bab?

— Nigdy zezwolić temu nie możemy.

— Obyśmy tylko Kuronów tem do siebie nie zrazili — rzekł roztropnie jeden z inflanckich komturów.

Otto wybuchnął grubym szyderczym śmiechem.

— Więc ich, może tych cuchnących chamów mamy się obawiać? W puszczach litewskich sporo jest gałęzi, a w wozach krzyżackich znajdują się powrozy. Urządzimy tu kilka owoców kurońskich i zobaczy Wasza Miłość, jakie będzie zaufanie i posłuch.

— Trzymam z bratem Ottonem — odezwał się krzyżacki komtur, Fryc von Lichtenstein, olbrzymiego wzrostu mąż. — Łupy zdobyte na nieprzyjacielu nie mogą być osobistą własnością, idą do ogólnego działu.

Stanęło więc na tem, iż kurońscy wojownicy staną na tyłach wojsk krzyżackich. Żony zaś i dzieci ich zagrabione przez Litwę nie będą im oddane, lecz rozdzielone między zwycięzców.

Głuchy pomruk, poszedł wśród Kuronów, gdy im to postanowienie ogłoszono.

A więc oni mają przelewać krew za Zakon, a dzieci ich i żony pójdą w jarzmo. Któż wie, czy nie lepiej im zostać w niewoli litewskiej?

Skoro tylko zajaśniały pierwsze brzaski jutrzenki oba obozy modłami gotowały się do walki.

Wajdeloci zapalili stos ofiarny, czynili wróżby i przepowiadali ludowi zwycięstwo. Czerwonymi chorągwiami błogosławili idących do boju.

A lud miał serce radosne nadziei pełne. Bogi największy znak dały. Mindowe Niemców opuścił, a choć sam nie przybył. Lutawor posiłki przywiódł. Któż zwalczy Perkunasa? Kto wydrze ziemię Żmudzinom?

Za to w obozie niemieckim, dziw się stał wielki

Wobec tej hołoty litewskiej, w skóry jak dzikie zwierzęta zaszytej, strach jakiś ogarniał serca rycerstwa.

I oto sam wódz niepokonany, osiwiały w trudach obozowych, rycerz Henryk Bottel, nagle spytał o radę, jak walczyć, bajorasa Maza, prusaka,

— Jeśli Wasza Dostojność o radę mnie pyta — rzekł chytry Mazo — to niech Bracia Zakonni słuchają onej. Zsiądźmy wszyscy z koni, a niech knechty je daleko odwiodą. Gdy nie będzie możności do ucieczki, najlękliwsi bić się będą zmuszeni.

Ale książę szwedzki Karol i dostojniejsi rycerze obruszyli się na tę radę.

— Jakto? szlachetni rycerze z koni mają zsiadać i za bary może brać się z tą hołotą pogańską?

— A tożby wstyd i pośmiewisko u świata całego.

Dano znak do boju. Padły na siebie dwa wojska z całą zaciekłością, jak nigdy dotąd może. Z jednej strony padła chciwość straszna i przemoc krzyżacka, z drugiej wielka dusza narodu walczyła o swą wolność, bogi i ziemię.

— Perkunasie daj umrzeć, a nie przepaść Żmudzi i Litwie! — wołano.

Kłóto się, bito maczugami, żelaznymi mieczami, walono sękatymi dębinami, chwytano za bary, za włosy. Pazurami wydzierano sobie oczy, gryziono zębami. Szala walki nie przechylała się jednak długo na żadną stronę. Raptem krzyk straszny rozległ się w szeregach Krzyżaków. Jak piorun z ja-



Padły na siebie dwa wojska z całą zaciekłością...

snego nieba spadający oślepia i ogłusza zarazem, tak spadła na barki krzyżackie przeraźliwa, niespodziana zasadzka. — Kuroni, oburzeni wczorajszem postanowieniem, obmyślili zdradę i zamiast wspierać Niemców, mordować ich poczęli.

Krzyk, gwałt, zgiełk, piekielne zamieszanie! Ugodzony kamieniem, puszczonym ze żmudzkiej procy, padł marszałek Zakonu, Henryk Bottel.

Hełm spadł mu z głowy, a siwe włosy zamiotły pole żmudzkie.

Powstał popłoch w szeregach krzyżackich, a Żmudź radosnym okrzykiem powitała śmierć wroga. Mistrz Burghardt zebrał co mógł rycerzy i z nowym zapałem rzucił się na pogan. Świsnął kamień wprawną ręką rzucony i znowu nie chybił. Padł mistrz, krwią brocząc. Krzyżactwo uciekać poczęło. Na karki im siadła Żmudź, gnając do rzeki, gdzie moc rycerzy śmierć znalazła.

Ośm godzin starczyło, by zgnieść siłę krzyżacką. Padło wielu dostojników Zakonu, książę Karol szwedzki i wielu — wielu innych.

Nazajutrz zapalono stos ofiarny i dawnym zwyczajem ośmiu krzyżackich rycerzy w zbroi i na koniach żywcem spalono na ofiarę bogom.

I w Nowogródku w świętym gaju zapłonęły ognie święte.

W białych szatach, w wieńcach zielonych śpiewali wajdeloci pieśni dziękczynne. Mindowe bogom litewskim cześć oddawał. A w zamkowej kaplicy, w szacie pokutniczej, leżała krzyżem królowa Marti, chrześcijańskiego Boga błagając o przebaczenie dla

męża i spokój dla kraju. Obok matki klęczeli kunigasowie Rukli i Repikas. Oni radziby byli walczyć z Niemcami, ale wraz z matką ukochali Chrystusa i biedne ich młode dusze walkę ze sobą toczyły.

. . . . , ...

Na zamek nowogródzki przysłał znowu Trojnat wezwanie.

— Kunigasie Litwy — wołał zwycięsca z nad Durby — Chwila wielka nadeszła, rogi żmudzkie radośnie grają po puszczach. Pójdź, stań na czele Litwy, Żmudzi, Kuronów i Jaćwieży, a wygonimy z ziemi naszej przybłędów niemieckich. Synu Ryngolda pokłon ci dajemy, prowadź nas na wroga.

— Bratnie Prusy błagają cię wraz z nami.

— Na piersi gadu niemieckiego teraz postaw nogę — wołał Lutawor. — Na Niemców nas prowadź.

I Mindowe rzekł posłom:

— Idę.

Zawrzała straszna walka, walka o życie i wolność. Prusy porwały się do boju. Zakon zadrżał w swych posadach. Na samo imię Mindowy zgrzytali zębami komturzy, a knechty ciskali przekleństwa. Do papieża i cesarza niemieckiego gnali gońce, donosząc o zdradzie króla Litwy i błagając o posiłki.

A kunigas Litwy, jak bóg wojny w którąkolwiek zwrócił się stronę, tam wszędzie zwyciężał.

Królowa Marti zamknięta w swej świetlicy smutne pędziła dnie. Z okien widziała dymy idące z gaju swiętego, gdzie Mindowe bogom składał

ofiary. Słyszała wojenne okrzyki. Obaj jej synowie wraz z ojcem szli na wyprawy przeciw chrześcijanom, a ona zapobiedz niczemu nie mogła.

— Marti — powiedział kunigas, gdy raz do nóg mu padła błagając, by z Zakonem wojny nie wiódł — tyś chyba nie Litwinka? Nie słyszyszże kobieto płaczu matek, którym Niemcy dzieci wydzierają? Nie żalże ci tej ziemi, po której płyną krwawe strugi krwi twego ludu?

Marti łamała ręce płacząc, a Mindowe mówił znów:

— Ukorzyłem się przed wrogiem, bogów ojca mego opuściłem i poszedłem ich Boga czcić. I cóż z tego? Przez dziesięć lat, com obrożę niemiecką nosił, oni krew litewską pili.

— Przecie nie wszyscy, przecieżeś sam mówił — szepnęła kobieta — że Andrzej to mężny i zacny rycerz, że Chrystyana szanujesz.

— Tak — odrzekł kunigas — ale za to Andrzej w Zakonie być nie mógł, rzucił mistrzostwo i za morze odjechał, bo zbójem nie był, a Chrystyan siedzi w puszczach naszych. Gdyby Zakon podobnych miał mężów, jak ci dwaj, nie rzuciłbym wiary chrześcijan, a powoli i ludby ją przyjął, ale tak, jak jest, — nie płacz Marti, wojna być musi i to sroga. Mindowe miłował bardzo małżonkę, bojaźliwa i cicha Marti wpływ miała na gwałtownego króla, krzywdy jednak Litwy były tak wielkie, iż i królowa obronić Zakonu nie mogła.

VI.

Zdawało się, iż moc wielka ogarnęła całą ziemię, tyle lat uciskaną przez srogiego wroga. Powstały Prusy i szła walka wielka i potężna. Dawne bogi wróciły i potęgą swą osłaniały lud, a kunigasów dłonie wiązała przyjaźń i braterstwo.

Lecz gad nędzny krył się na nowogródzkim zamku, przy boku Mindowy stał podły najmita Zakonu.

Krzyżacy nie tylko walczyli orężem, nie gardzili oni i inną bronią i w Litwie całej pełno było szpiegów. Komtur Bernard w dzień koronacyi Mindowy pozyskał niezawodnego sługę dla Zakonu. Ostap Konstantynowicz wiernie służył Niemcom. Ciągle przy boku Mindowy, wiedział o wszelkich zamysłach króla i skrzętnie donosił o nich Zakonowi.

Powierzono mu rozerwanie zgody Mindowy z Trojnatem. To jedno mogło Zakon ocalić; a trudnem nie było, bo dumny i wyniosły król Litwy nie przepomniał Trojnatowi owego przekleństwa, a dziki i okrutny Żmudzin pamiętał o odstępstwie Mindowy. Miłowania więc nie było między kunigasami. Walczyli wspólnie, bo w pojedynkę żadenby Niemcom nie zdzierżył. Sny młodzieńcze nie opuszczały też siwej głowy kunigasa Litwy. Marzył wciąż o zawojowaniu Rusi.

Dlatego też z Trojnatem się wiązał, od Niemców chciał się uwolnić, a potem za Dniepr iść

siny, kniaziów ujarzmić, Tatarów wygnać i Litwę do morza Czarnego dowieść.

Nieraz też późną nocą, leżąc na niedźwiedziej skórze przed ogniskiem, głośno mówił do siebie król:

— Jeden jest tylko wróg, co mię więzi i iść nie daje, to Zakon! jego zgnieść...

— Tak — szepnął głos jakiś w ciemności — Zakon, lecz gdy go zgnieciesz panie, któż wie, czy drugi wróg się nie zjawi?

— Kto jest? — wołał kunigas — mów, kto jest ów wróg?

Od progu, przy którym leżał, przyczołgał się Ostap i nogi kunigasa objął.

— O, panie — mówił — małoż to zawistnych ludzi dokoła? Wszak korona złota niejednego oczy ciągnie?

— Nieprawda — wołał Mindowe — ty wiesz... mów mi zaraz. Każe ci król! mów!

Ostap klął się na ojca, na matkę, że nie zna nikogo, że rzekł to z miłości dla kunigasa, z obawy by zbytnio ludziom nie ufał.

Powtarzał jednak nieraz swe obawy, aż w końcu Mindowe za maczugę porwał i zawołał, iż głowę mu rozsadzi, jeśli milczeć będzie. — Szepnął więc drżący:

— Trojnat, panie, to wróg twój największy, śmiertelny. On kunigasem Litwy chce być, on ludu serca skarbi, kapłanom schlebia. Z bajorasami zmowę przeciw tobie tworzy.

Mindowe był nieufnym, słowa zausznika za-

padły mu w duszę. A właśnie z Trojnatem byli na wyprawie przeciw Niemcom.

Nagle nocą kunigas Litwy wojska swe zebrał i z nad Dźwiny do dom powrócił. Zima była sroga i lody rzekę pokryły. Trojnat opuszczony, co rychlej musiał na Żmudź wracać, gdy go Niemcy na rzece napadli.

Noc była jasna. Świecił miesiąc blady, gdy bój się rozpoczął.

O czemuż odszedł kunigas Litwy? Na lodach Dźwiny padłby był może Zakon cały. Nędznego zdrajcy słowa to sprawiły! Zimowe słońce zobaczyło śnieg krwią, zlany, ośmiu komturów zabitych. Na krze lodowej legł Lutawor, co braci nie odstąpił. Trojnat swoich zabrał i do puszczy się schronił. Mindowie srogą zemstę poprzysiągł on tej nocy.

A tymczasem w Nowogródku lud się zbiegł z płaczem i biadaniem.

Grzebano królowę Marti, umierając męża zaklinała, by do Boga prawdziwego nawrócił się.

Chowano królowę po chrześcijańsku, za trumną matki szli Rukli i Repikus i przysłani z Rygi posłowie Mistrza. Z okien zamkowych żegnał kunigas ukochaną żonę. Dobra, słodka Marti odeszła i żałobę zostawiła po sobie.

Po pogrzebie Niemcy odjechali zaraz. Ostap odprowadził ich daleko za gród.

Na stypę pogrzebową zjechano się tłumnie przybył Doumund naleszczański kniaź z żoną swą, piękną Aldoną, cioteczną siostrą Marti.

Piękna księżna płakać miała po siostrze, ale nie szło to jej, bo coraz to śmiechem srebrnym rozlegały się zamkowe komnaty. Piękną była, jak Marti za młodu, lecz jakże inną? Zmarła, płakać i smętne tylko pieśni śpiewać umiała, ta śmiała się i bawiła wciąż rada. To też Doumunda kunigas dłużej zatrzymywał, niż innych gości. Aldony śpiew i śmiechy rozweselały stare zamczysko. I Rukli i Repikus do ciotki przylgnęli. Doumund jednak do domu jechać napierał się.

— Smutno i martwo będzie jutro w zamku, gdy goście odjadą — mówił kunigas w nocy do miłego sobie Ostapa. Śmierć zda się chodzić po komnatach. Źle bez niewiasty dom wygląda.

Uśmiechnął się sługa i z poufałością do ucha pana się nachylił, a słowa zdradne szeptać począł.

Nie byłże Mindowe panem i władcą, nie miałże prawa i siły, by niewiasta ta została?

Nazajutrz Doumund odjechał sam zły i wściekły, pomstę za zniewagę przysięgając.

Zamknięta w świetlicy Aldona gorzko płakała.

Nie długo po wyjeździe Doumunda, z nową wyprawą szedł na Ruś kunigas stary, synów ze sobą i Ostapa miłego brał.

W puszczach ciemnych rozłożono się obozem na noc. Kunigas z synami na skórach niedźwiedzich spocząć legł w namiocie.

Przed namiotem straże stały.

Już pierwsze kury zapiały, gdy do namiotu kunigasa podeszli Trojnat i Doumund. Trzymający

straż wojownicy wpuścić kunigasów do pana nie chcieli.

Doumund ani Trojnat z wyprawą nie szli, a gniew Mindowy straszny był dla wszystkich.

Wtem cicho odchyliła się zasłona namiotu i Ostap wyszedł trzymając w ręku pierścień złoty.

— Kunigas czeka — rzekł i znak straży pokazał.

Weszli obaj, a Ostap przy drzwiach stanął.

Krótko zabawili kniaziowie w namiocie Mindowy. — Wyszli i znikli kędyś.

Nazajutrz krzyk straszny rozległ się po puszczy.

— Kunigas wielki, Mindowe król, zamordowany nocą,

Rukli i Repikus, spleceni bratnim uściskiem, spali również snem wiecznym.

Ostap znikł bez śladu. Mówiono potem, że w Rydze wśród Niemców przebywał.

Do Nowogródka odwieziono ciało Mindowy i na górze zamkowej na stosie spalili je Wajdeloci.

Ciężka żałoba pokryła Litwę.

I.

Skrył się blady księżyc, zgasła różowa jutrzenka a pierwsze gońce boskiego słoneczka, złote promyki strzeliły do góry, gdy cichy bór litewski zbudził się nagle.

Zadudniało dokoła, hen tam ponad Wiliją, i bystrą Wilejką. Zabrzmiały rogi, i rozległy się nawoływania naganiaczy. Zagrały w dolinie psy, a głosy ich szły wciąż w górę, coraz to donośniejsze, coraz weselsze.

— Na łowy śpieszmy, — wołają pierwsze smycze.

— Na łowy, — na łowy kniaziowe idziemy idziemy — wesoło odpowiadają ogary.

Zbudziło się ptactwo dzikie i spłoszone kryje się wśród gąszczy leśnej. Wilgi, trznadle, szczygły i inne drobne ptaki przytuliły się do liści drzew. Czarnemi oczkami świdrują dokoła. Kukułka kukać przestała, dzięcioł nie stuka w drzewo. Taki gwar taki trzask po borze idzie.

— Cóż to?

I zwierz leśny się podniósł, borsuk wpadł głęboko w jamę, ryś przyczaił się na drzewie. Jeleń

wstrząsnął potężną głową, chrząknął i cwałem szedł przez las. Zbudził się czarny niedźwiedź i ryknął gniewnie:

— Kto zacz jest ten, co sen mi przerywać tak rychło śmie?

A tam z dołu od Wilii szła pieśń naganiaczy i grała psiarnia.

Aż naraz zajęczała ziemia dokoła. Łamiąc w biegu drzewa, rozrzucając racicami piasek, pędził borem ogromny potężny tur.

Zgarbił się, rogatą głowę pochylił i z rozwichrzoną grzywą pędził przed siebie.

Ogary tuż, tuż za nim. Jeszcze chwilę, a dogonią go, do nóg mu dopadną i białe kły wpiją w cielsko.

Już, już są przy nim.

Nagle olbrzym gwałtownym ruchem skoczył w bok. Podniósł potężny łeb. Z pyska szła mu piana, oczy zaszły krwią. Straszny... Lecz chęć walki strach zwycięża. Rozwścieczona sfora psów śmiało rzuca się na potwora. Stanął, rozszerzył chrapy i jednem uderzeniem rogów rozpłatał brzuch najśmielszemu z napastników. Przeraźliwy skowyt poszedł borem, rozpierzchła się przerażona sfora psia. A tur pomknął dalej.

Na białym jak śnieg koniu, wyjechał z boru mąż zbrojny, stanął i strzałę puścił z łuku.

Zafurczała w powietrzu. Zwierz ryknął przerażony i poszedł dalej, strzałę niosąc na karku.

Jak wicher gnał za nim śnieżno-grzywy rumak. Jeździec i koń zda się zrośli ze sobą. Co pomyślał jeden, to zrobił drugi. I znowu śmignęła

strzała. Ryknął tur. Krew buchnęła mu z nozdrzy. Zwrócił się — i do skoku gotował.

Ale nieprzyjaciel znikł mu z oczu.

Tur stanął, krwią zabiegłemi oczyma toczył dokoła. Nigdzie i śladu... Stanął i kopać zaczął piasek dokoła. Granie psów znowu przybliżało się, słychać było nawoływanie naganiaczy.

Potwór podniósł głowę, chrapy rozszerzył i poszedł pod górę, brocząc krwią.

Spokojny jak z żelaza wykuty, stał w dolinie Swentoroga u podnóża góry, mąż, ten sam, co przed chwilą mknął na białym rumaku.

Stał i czekał.

Kuszę naciągał, a wzrok sokoli w dal słał. Niedługo czekał. — Zadrżała ziemia dokoła. — Szedł tur.

Świsnęła strzała puszczona z kuszy i ryk przeraźliwy poszedł po dolinie.

Myśliwiec porwał topór i drogę zwierzęciu zaszedł. Zmierzyli się wzrokiem.

Na głowę tura padło potężne uderzenie żelaza, aż zachwiał się i padł, łamiąc drzewa dokoła. Charczał jeszcze. Zachwiał się i myśliwiec, odskoczył jednak wczas w bok, a widząc, iż z pod śmiertelnego ciosu zwierz się nie podniesie, wziął róg wiszący u boku i zagrał. Kunigas to Litwy, Gedymin grał pieśń tryumfu. Bogi znak dały. U nóg jego leży zabity tur...

Nim noce dwie upłyną, na Ruś pójdzie wyprawa litewska. Kniaź drużynę swą powiedzie nad siny Dniepr. Pokłon mu dadzą kniazie ruscy, za-

drży srogi Tatarzyn. U starego Kijowa bram stanie Litwa zwycięzka. Bogi znak dają. —

Jak legł tur, tak padnie wróg.

I rozległa się echem wielkim po czarnej puszczy pieśń zwycięska. Śpiewały ją święte dęby i stare jodły. Płynęła doliną Swentoroga do brzegów Wilii, poniosły ją srebrne fale do starego Niemna. Szła krajem całym i głosiła zwycięstwo.

— Spiesz Litwo, spiesz, słysz, chwałę ci głosi pieśń.

W jednej chwili zapełniła się dolina. Na głos rogu zbiegli się myśliwi, naganiacze, psy.

— Garbie (chwała), garbie kunigasowi Litwy! — wołano dokoła.

Prześliczny młodzieńczyk z jasnymi, błyszczącymi oczyma nadjechał na małym, cisawym żmudzkim koniku, skoczył zeń, rzucił uzdę pacholęciu, co stało obok i do Gedymina podbiegł.

— Tiewele (ojczulku) — zawołał, za nogi go obejmując — garbie ci. Jako potężnego tura zwaliła twa ręka, tak i bramy grodów ruskich otworzy ona jednem pchnięciem.

Miękkim ruchem, położył kniaź rękę na jasnej głowie syna.

— Kiejstucie mój, — uśmiechnął się, — wróżem mi bądź. — A kędyż Olgierd?

Młodzieńczyk podniósł na ojca wesołe, iskrzące się oczy.

— Olgierd pognał za hyżym jeleniem, w dół nad Wilejkę, on zwycięzcą też chce dziś być — rzekł.

Uśmiechnął się kunigas i do dworzan odwrócił. A właśnie nadjechali kapłani wróżbici.

— Nim stos się zapali — rzekł — i wróżby rozpoczną, rad chwilę pod drzewem legnę. A ty, Kiejstucie? — zapytał syna.

— Naprzeciw brata Olgierda wybiegnę i tu go sprowadzę — odrzekł młody kunigas.

Pod zieloną jodłą, na miękkim mchu spał kunigas. Słońce już dawno z południa zeszło, a on spał. I nikt z drużyny przerwać mu snu nie śmiał. Nadjechali Olgierd z Kiejstutem. Starszy Gedymowicz jelenia położył. Kiejstut zręcznością brata się cieszył. Obaj młodzieńcy kochali się bardzo, a Kiejstut jak bóstwo czcił starszego brata. Po ojcu dla niego miał posłuch największy.

Siedzieli myśliwi przy ogniu, czekając rychło li kunigas nadejdzie. Kapłani stos ofiarny już przysposobili. A kniazia widać nie było. Nagle krótkie wołanie rogu rozległo się.

Pacholę, co na usługach książęcych było, wskok rzuciło się ku miejscu, kędy legł kunigas.

Wróciło za chwilę i starego wróża pozwało do księcia, nakazując, by nikt więcej iść nie śmiał.

Po chwili jednak wezwano i innych wróżbitów. Niepokój ogarniał myśliwych.

— Wszak bogi znak dały, ręką księcia zabity potężny tur, cóż zacz za wróżby jeszcze być mogą? Pacholę przybieżało po raz trzeci. Młodych kunigasów i wodza Gastolda wzywało teraz do pana.

— Strudzony łowami pod drzewem ległem — mówił do zebranych kunigas, — sen jednak po-

wiek mych skleić nie mógł. Gdym w końcu zasnął, bogi straszny obraz mi zesłały. Zdało mi się, że pod górą gdziem tura zmógł, stał wilk potężny. W żelazo, jak mnich krzyżacki zakuty był cały — Zdrętwiałem. — Bo we wnętrzu zwierza sto wilków innych wyło.

— Szło straszne, przeraźliwe wycie po dolinie i puszczy, lęk siejąc dokoła.

— Zbudziłem się...

— A dusza ma przerażona jest snem i pytam was wróże, co znaczy on? Mówcie. Grozi co Litwie? Ostrzeżenie to bogów? Mówcie.

Lecz nikt słowa nie zdołał wymówić. Lęk padł na serca obecnych, snu wyjaśnić nie umiano.

— Niktże z was bogów zapytać nie śmie? — pytał Gedymin. — Jakież wyroki gotują Litwie?

— O panie nasz, — szepnął stary siwy wróż, — wybacz ty nam, ale tajników snu owego strasznego my nieświadomi. Niegodne my robaki i bogi nam swej mądrości nie odkrywają.

I nic więcej się od was nie dowiem?

— Po Krewę posłać należy, wszak świątynia Perkunasa w pobliżu, — rzekł znowu siwy wróż — mądry Lizdejko jeden chyba zdoła wyroki bogów ogłosić.

— Wodzu Gastoldzie po Krewe-Krewejtę z pocztem pospieszcie, — mówił Gedymin, — proście go, by chciał tu przyjść, a wolę, czy nakaz bogów dany w śnie nam, wszystkim tu objawić.

Romowe Litewskie było obecnie wśród gór nad brzegiem Wilii.



Zdało mi się, że pod górą gdziem tura zmógł,
stał wilk potężny.

Józefa Kmudek[illegible]

Władysław

Krópa

Po zniszczeniu najpierwszej świątyni w Prusach tu Znicz święty palili Wajdeloci, tu też mieszkał Krewe-Krewejte.

A był nim w owe czasy mądry i święty mąż Lizdejko. Dawno, dawno temu, poprzednik Gedymina kunigas Witenas, polując raz w puszczy nadniemeńskiej, znalazł w gnieździe orła, chłopię małe. Orlica dziecięciem się opiekowała, ona wraz z orłem karmiła je. Mężny Witenas zabrał dziecię na dwór swój i chował je jak syna. Wojownikiem go mieć zamierzał. Nazwano chłopca Lizdejko — od słowa Lizdos (gniazdo), jako, że w gnieździe znalezionym był.

Rosło szczęśliwie orle chłopię na książęcym dworze, pięknością i mądrością wszystkich zachwycało. Ale łuku i maczugi nie imało się. Lizdejko wpatrywał się nocami w bieg gwiazd na niebie, wsłuchiwał się w szum liści drzew, w głosy ptasząt. W dzień biegł do kapłanów i u nóg ich mądrości się uczył.

Zabrano go do Romowe, by Znicza pilnował. Rychło zasłynął tu mądrością i nauką wielką i Krewe-Krewejtą został. Za syna bogów uważano go ogólnie i czczono wielce.

Gdy na wezwanie Gedymina przybył, niesiony przez Wajdelotów siwowłosy mędrzec, — kunigas wraz z synami pospieszył na powitanie i sen mu swój opowiedział.

— Mądrość twoja tylko, ojcze — kończył kunigas, — może rozjaśnić tajnę straszną owego

snu. Z lękiem i drżeniem serca prosimy cię, objaw nam wolę bogów.

Słońce w tę porę zachodziło już, ostatnie błyski jego oświetlały jeszcze dolinę i złociły górę. Od rzeki szły białe mgły i osłaniały obłokiem ziemię.

Krewe-Krewejte w stronę słońca zwrócił twarz, ręce podniósł do góry i wysoki, biały, z śnieżną głową stał długo wpatrzony w niebo.

Milczenie zaległo dolinę. Słychać można było bicie serc ludzkich.

— Słuchaj mię wielki Gedyminie! Słuchajcie Litwini, — zabrzmiał głos kapłana. — Słuchaj mię ludu cały.

— Oto niosę wam wieść wielką, a radosną. Sen twój, kunigasie, to sen potęgi i chwały. Ten wilk w żelazo zakuty, to gród potężny, który bogi każą ci wystawić, tu u podnóża tej góry, którą Turzą zwać macie po wsze czasy. Stąd pójdzie chwała Litwy. Jak wycie stu wilków, zamkniętych we wnętrzu jednego rozlegało się po dolinie, tak szeroko z tego grodu rozejdzie się chwała i potęga Litwy. Aż lęk ogarnie wrogów dokoła! I prochem padną obcy przed synami Gedymina.

— Garbie Litwie! — zakończył wróż głosem potężnym. — Chwała po wsze czasy ziemi tej!

Lud padł na twarz, a Gedymin wzniósł ręce w górę i zawołał:

— Bogi, dzięki wam! Na Ruś spieszmy, a gdy złote wrota Kijowa otworzą się przed nami, tu nad Wilją stanie gród wielki, a potężny.

Wesoło szły szeregi Litwy na Ruś. Kraj bogaty otworem stał. Tatarzy od wieku całego już tu gospodarzyli. Ziemie ruskie, podzielone na małe księstwa ulegały dziczy, bo nikt nie umiał i sił nie miał, by walczyć z nią. Płacili kniaziowie ruscy daninę chanom tatarskim, czołem im bijąc. A kłócąc się ze sobą, wzywali nierzadko pomocy tatarskiej i przez to jeszcze bardziej kraj swój osłabiali.

Widział to przed laty Mindowe i marzył o zawojowaniu Rusi. Dziś Gedymin tegoż usilnie pragnął. W stolicy swej Trokach, w zamku przez jeńców krzyżackich na zielonem jeziorze zbudowanym, zostawił Kiejstuta. Młody był jeszcze kunigas, lecz już odwagą w Litwie słynął. Niemców nienawidził i w stronę ich miał zawsze zwrócone oczy.

Starszy Olgierd jak ojciec na Ruś patrzył.

— Próżneby były nasze na zachód zapędy — mówił nieraz młody książę — nie wstrzymamy Krzyżactwa. Nie puszczą oni nas nigdzie. Na wschód iść Litwie należy. Nad Dniepr, wygnać dzikich Tatarów za Wołgę, a Ruś złączyć z Litwą. Toż to będzie państwo dopiero.

— Tak — odpowiadał Kiejstut — ale o Niemcach też myśleć należy. My na zachód pójdziemy. a Biały płaszcz, jak śmiertelna mara, sunąć będzie za nami. Daremne byłyby nasze wysiłki. Krwią będziemy zdobywali ziemię, a Niemiec nam ją wydrze. Na dwie strony dzielić się musimy.

I Gedymin, uznając słuszność Kiejstutowych słów, mimo, iż pokój był zawarty z Krzyżakami, część wojska zostawił w Trokach pod wodzą Kiejstuta.

Olgierd z ojcem pociągnął.

Wszelkie wróżby zapowiadały pomyślność Litwie. Wszak sam Gedymin bez niczyjej pomocy, zabił potężnego tura. A ów cudowny sen?

Mimo to kapłani odprawiali ofiary, a potem wojownikom dali pociętą w pasy skórę turzą. Kto się takim pasem opasał i przez cały czas wyprawy nie zdjął go ze siebie, ten z pewnością wroga zwycięży. Kopyta też jelenia, zabitego przez Olgierda, spalono, a zebrany z nich popiół zabrał ze sobą młody kunigas.

Tym bowiem popiołem należało osypać wojska nieprzyjacielskie, a stracą odwagę odrazu.

Oprócz czarów, pomyślał też Gedymin o tem, by wojsko mieć silne. A nie były już to spędzane dzikie drużyny w skóry zaszyte, jakie walczyły pod Mindową.

W wojnach toczonych z Polską, przeważnie zaś z Krzyżactwem, nauczyli się dużo Litwini. Mieli już inną broń, inaczej nacierali na wroga i nie przerażali ich ludzie zakuci w żelazo, hełm już obecnie niejeden przywdziewał, a nie wierzono, jak kiedyś za ojców, iż Krzyżacy mają głowy żelazne.

Szło to wojsko litewskie na południe, na Wołyń. Kraj stał otworem, wieśniacy uciekali w bory i lasy, kryli się w błotach, obrony nijakiej nie mając. Dopiero w pobliżu stołecznego grodu Wołynia, pod Włodzimierzem wołyńskim, zaszedł hufcom Gedymina drogę sam kniaź, Włodzimierz Włodzimierzowicz.

I tu pokazało się że Litwa jest lepiej uzbrojoną od Rusinów. Wydobyli wojacy Gedymina wielkie, drewniane tarcze, obciągnięte skórami zwierząt i zakryci niemi, rzucili się na Wołyńców.

Przerażeni Rusini, nie widząc ludzi, tylko mur jakiś na siebie nacierający, uciekać zaczęli. Próżno mężny kniaź Włodzimierz Włodzimierzowicz, walczył jak bohater i nawoływał i błagał, by nie uciekali, lecz wroga starali się złamać; Wołyńcy nie słuchając go, zmykali i dopiero tuż pod murami miasta opamiętali się. Rozpoczęła się zażarta bitwa. Na mury grodu wysypała się ludność, starcy, kobiety i dzieci. Zachęcali swoich do walki i obrony ognisk domowych, a na Litwę miotali kto czem mógł: wodą gorącą, kamieniami, piaskiem. I zdawało się, że grodu nie zdobędzie Gedymin i mimo wszystko od miasta odejść będzie musiał. Wtem maczuga litewska rozpłatała głowę ruskiemu kniaziowi. Padł martwy, a lęk objął serca Wołyńców. Tłumnie rzucili się do bramy grodu, za nimi wpadli Litwini i miasto zajęli.

Gedymin na zamku zostawił załogę litewską i pospieszył dalej. Na drodze mu stał Łuck.

— Tam cięższa będzie praca — mówił Gedymin do Olgierda, — tam mury silniejsze, z jednej strony grodu płyną rzeki, z drugiej bagna nieprzebyte. Zabawimy się tam chyba dłużej.

— A i opasać miasta ze wszech stron niepodobna — odrzekł Olgierd — bo od rzeki dostęp wolny.

— To dziw tylko — mówił dalej Gedymin —

iż nigdzie wojsk nie widać, wszak przestrzeń niedaleka i kniaź Lew wie już chyba o Włodzimierzu.

— Byle zasadzki gdzie w lesie nie było — rzucił ktoś ze starszyzny — i nas z dwóch stron nie napadli.

Ale ku zdumieniu, przed zamkiem spostrzegli stojący tłum ludzi bezbronnych. Zamkowe wrota szeroko otwarte były.

Gdy Litwini zbliżyli się o parę stajań, bojarowie ruscy wystąpili naprzód, szli pieszo z odkrytemi głowami, niosąc na złotych misach chleb i sól. Za nimi szedł wielki poczet ludu.

— Wielki kniaziu Gedyminie — zaczął najstarszy siwowłosy bojarzyn. — Wstąp we wrota naszego grodu, a panem nam bądź. Kniaź nasz, Lew Jurewicz, opuścił nas, uszedł sromotnie nas sieroty bezbronne zostawiając. Łaski twej, kniaziu, żebrzemy. Weź mienie nasze, bogactwo wszelakie, lecz życia nam nie bierz, ani nam, ani dzieciom naszym. Myż służyć tobie wiernie będziemy. — I mówiąc to, padł twarzą na ziemię i przed koniem kunigasa czołem bił. Inni też klęczeli dokoła, błagając o życie.

Gedymin pochylił się z konia, przyjął chleb i sól i otoczony starszyzną łucką, wjechał do zamku.

Wjeżdżając we wrota, mieczem w nie uderzył, na znak, iż w posiadanie Łuck obejmuje.

Szli za nim drżący bojarowie. Któż wie, co Litwin zamyśla? może gdy wejdzie do miasta, mieszkańców wyciąć każe.

A Gedymin jechał milczący, do Olgierda, tylko parę razy się zwrócił.

Gdy na zamku stanęli, kazał bojarom, by lud cały na podwórze zebrali, a on im wolę swą obwieści.

Uderzono w dzwony i przerażony lud zbiegł się.

Wyszedł kunigas litewski wraz z synem i słowa te do zebranych wyrzekł:

„Bojarzy i władycy i ty starszyzno łucka! niech każdy z was będzie spokojny o swoje i swoich życie. Nikt krzywdy nie dozna. Łuck, tak jak i sąsiedni Włodzimierz bierzemy pod swą władzę i z ojczystą Litwą łączymy. Ojcem tu chcemy być i ani zabijać, ani mordować, ani grabić poddanych naszych nie damy. Przeciwnie, strzedz was będziemy. Prawa swe i zwyczaje zachowacie nadal, a chociaż święty Znicz nasz zapalimy tu, wy boga swego szanować macie i świątyń ruskich żaden Litwin znieważać nie ma. Daninę i ludzi zbrojnych, tak, jak i ziemie litewskie i wy dacie".*)

— Sława, sława — zawołali bojarzy i starszyzna, padając twarzą przed Gedyminem. — Ty nam żyj, ty nam panuj wielki kniaziu nasz, ojcze ty nasz rodzony!

Tak bez boju zdobywszy Łuck, Gedymin dalej pociągnął. Szedł wciąż krajem ruskim, coraz to większe obszary zagarniając. Żytomierz jednak nie poszedł w ślady Włodzimierza i Łucka i przed kunigasem zawarł swe wrota. Po dłuższym szturmie otwarła je Litwa, a mieszkańcy poszli w niewolę.

---

*) Historyczne.

Droga stała otworem ku głównemu grodowi Rusi Kijowowi, co nad sinym Dnieprem, na zielonych wzgórzach stał. Położyli na tem pięknem i bogatem mieście ciężką dłoń swą Tatarzy. Kniaź kijowski Światosław do Ordy złotej jeździł, daninę chanowi płacił, nogi mu całować musiał, a pokłony bić. Zasłyszawszy, iż kunigas litewski idzie na stolicę jego, co rychlej po posiłki do Tatarów posłał. Z pomocą też mu pospieszyli się książęta inni, a między innemi Oleg z Perejasławia i Lew, ten sam, który zbiegł z Łucka.

W pobliżu Kijowa, nad rzeką Irpeniem, spotkały się dwa wojska. Rusini mieli ludzi dużo, a już i Tatarzy nadciągnęli. Nie przerażało to jednak Gedymina. I on i Olgierd wierzyli, iż bogi ich wspierają.

W półkole ustawił swą konnicę Gedymin, a wśród niej rozrzucił ludzi pieszych z lancami, procą i włóczniami. Gdy jazda na siebie nacierała, piechury z boku napadali, puszczali chmury strzał, lub rzucali kamienie z procy.

Mężnie nacierali Rusini, ale Litwa i Żmudź murem stała. Gdy się obie strony rozżarły i ludzie zapamiętali się w boju, Gedymin, stojący dotąd w oddali, oddział porwał i na boki Rusi rzucił. Wziął ją więc tym sposobem z dwu stron. Światosław zachwiał się a Litwa coraz to bardziej nacierała. Tatarzy i obcy książęta uciekać zaczęli.

Zostali tylko Oleg i Lew, chcieli oni w wojsku swem ład zaprowadzić i powstrzymać od ucieczki, ale niedługo padli obaj. Widząc zabitych wodzów

Rusini rozbiegli się. Światosław uciekł też. Bogate namioty, śliczne konie i różne bogactwa wpadły w ręce Gedymina. Kunigas zdobycz rozdzielił i do Kijowa poszedł.

Dwa miesiące broniła się stara stolica Rusi. Czekali mieszkańcy pomocy od swego kniazia Światosława, liczyli, iż on zbiera posiłki, wezwie Tatarów bodaj i przyjdzie bronić swego grodu. Dzień za dniem upływał, a odsiecz nie przychodziła. Dolatywały tylko wieści, jak w Łucku i Włodzimierzu poczynał szlachetnie kniaź litewski. Opowiadano, iż teraz pod Kijowem leżąc obozem, krzywdy ludowi nie czynił. Żadnych rozboi, mordów nie dozwalał.

— Cóż przyjdzie nam z czekania dłuższego. Żywności wkrótce zabraknie. Kniazia nie widać, albo zginął w ucieczce? albo mocy nie czuje nijakiej, gdy nie przybywa. I cóż lepszego spotka nas, gdy Tatarzy tu przyjdą? Litewski kniaź w Łucku i Włodzimierzu nikogo nie mordował, a chan dzieci w kołysce zabija.

I tak rozmyślając wysłała w końcu starszyzna posłów do Gedymina prosząc go, by miasto pod swą opiekę objął.

Otworzyły się szeroko wrota Kijowa. Na mury wylegli ludzie, by obaczyć kunigasa. I wjechał na swym śnieżno białym koniu władca Litwy do stolicy Rusi. Biły głośno dzwony, wyszło duchowieństwo w bogatych szatach, bojarowie, mieszczanie, lud, powiewały krasne chorągwie. Klęcząc, na złotej tacy podawali Rusini chleb i sól swemu no-

wemu panu, składali dary, a on obiecywał ich od napadu Tatarstwa strzedz jak dzieci swe. Wiarę, obyczaje i mowę ruską przyrzekał szanować i bogów litewskich do swiątyń ruskich nie wprowadzać.*)

I wielką była powaga oręża Gedymina, gdy zuchwały chan, co kniaziom ruskim stryczek za nieposłuszeństwo posyłał, milcząco zgodził się na odstąpienie bogatego Kijowa, a potem i innych grodów ruskich. Wierny swej obietnicy Gedymin przed powrotem do Litwy dał Kijowowi za księcia Mindowsa, który już wiarę ruską przyjął, a Łuck oddał synowi Lwa, Jerzemu. Obaj mieli mu hołd składać jako władcy, daninę płacić i w potrzebie stawać do pomocy.

Zawrzało nowe życie w Litwie, z podbojem Rusi zwiększyły się bogactwa, rozwinął handel. Kraina rosła w potęgę.

W dolinie Swentoroga zapanowało nowe życie. Wycięto starą puszczę i budowano gród. Jeńców w Litwie było sporo, bo granice Polski stały otworem, wpadano tam nieraz i lud zabierano w niewolę. Niewolnicy polscy budowali zamek księciu. Kobiety pracowały wraz z mężami, nosiły piasek. rozrabiały glinę, podawały cegłę. Wśród mrowia ludu pracującego pod nadzorem Litwinów, kręciła się smukła dziewczynka, młodziutka a zręczna; wyglądała na dziecko niemal, mimo to pracowitość jej była zdumiewającą, nosiła cegłę, woziła piasek w wózku, stawała do każdej pracy chętnie, a gdy

*) Historyczne.

starsze i silniejsze kobiety usuwały się od cięższego zajęcia, ona brała każde z radością w oczach.

Schylona nad wykopanym dołem rozrabiała glinę i niewidziała, jak wysoki, silny mąż stanął poza nią, uważnie przypatrując się jej robocie. Obejrzała się wtedy dopiero, gdy rękę położył na jej ramieniu.

—Ktoś ty? — zapytał po litewsku.

Dzieweczka czarne oczy zwróciła na pytającego, nie ulękła się orlego jego wzroku.

— Laszką jestem, — odrzekła spokojnie, patrząc mu w oczy.

— Dlaczego tu jesteś? — pytał nieznajomy dalej, — wszak to praca nie dla dziecka, któż cię tu postawił?

— Branką wojenną jestem, — odrzekła dziewczynka, — z matką mą przygnano mię z daleka, z Polski.

W tej chwili nadbiegł zdyszany dozorca i do nóg nieznajomego się pochylił.

— Kunigas ponas, — mówił, — ta dziewczynka sama dobrowolnie do roboty tu przyszła, nikt jej nie nakazywał. Matka jej w chacie ostała, a ona poszła.

— Zakazałem przecie, — odparł Gedymin, — do ciężkiej pracy brać dziatwę.

— A dlaczego matka twa nie pracuje? — zwrócił się do dziewczęcia.

— Matka moja, panie, — odpowiedziała dziewczynka, — słabą jest, pracować nie może, pozwólcież, że ja ją zastąpię.

Kunigas patrzył na wątłą postać dziewczynki, jej małe szczupłe rączyny i uśmiech łagodny rozjaśnił mu lica.

— Kochasz tak bardzo swą matkę? — spytał.

Małej brance oczy zapałały.

— Nad życie — rzekła — i proszę was panie, niech ona nie pracuje, ja wszystkiemu podołam. Całe rano nosiłam cegły na górę, tam, — i wskazała szczyt Turzej góry, gdzie już murarze wznosili fundamenta zamku.

Gedymin przesunął ręką po ciemnej główce dziewczyny.

— Nie, — rzekł, — pracować tu i nosić cegły nadal nie będziesz, to praca nie dla dzieci.

— Ależ panie, — zawołała dziewczynka ze strachem — matka moja naprawdę chora, ona nie może pracować. Nie wie nawet, że ja ją wyręczam, taki żar ją pali.

— Dawno jesteście w Litwie? — pytał znowu kunigas.

— Od dwóch lat, — odrzekła dziewczynka. — Byłyśmy wpierw w Grodnie, a teraz, kiedy ten zamek zaczęto murować, przygnano nas tu wraz z innymi. Matuś z trudów i żałości zaniemogła.

— Zostaw tę robotę, — rzekł Gedymin, — idź do matki, pielęgnuj ją, a gdy sił nabierze, do Trok cię wezmę. Powiedz mi swe imię?

— Halszka, córka Jana z Kościeńca, — szepnęła dziewczynka. — Ale panie, jakże ja rzucę matkę? O, nie rozłączajcie nas! — i padła do kolan kunigasa.

— Nie obawiaj się Halszko, — powiedział dobrotliwie, — zabiorę was obie. Będziesz tam z córkami memi. I macierz twa będzie razem. A teraz idź.

Nie dała już sobie tego powtórzyć dziewczynka i w podskokach pobiegła do numy, w której leżała chora matka.

Gedymin patrzał za nią.

— Dobra to będzie dworka dla Aldony — myślał — przy zabawie najprędzej nauczy się polskiej mowy.

I poszedł wzdłuż wznoszących się murów.

Wielkie dumy śnił kunigas Litwy, oglądając dokoła swój przyszły zamek.

— A więc się spełnia proroczy sen, stanie rychło zamek potężny, stolica to będzie Litwy, stąd pójdzie chwała ziemi ojczystej.

I patrzał w dal na dolinę Swentoroga, gdzie palił się Znicz święty i mówił sobie w duszy.

— Stare bogi ustąpić muszą. Póty Litwa potężną nie będzie, aż tu przyjdzie Bóg chrześcijan. Tylko wiara w niego uchroni Litwę od zguby. Inaczej zniszczą ją Niemce.

. . . .

Do Trok, obecnej stolicy Litwy, zjeżdżali często goście ze stron dalekich. Najczęstszymi bywali tu posłowie arcybiskupa z Rygi, przyjaznego Litwie, a wroga Krzyżaków, zaglądali też duchowni z Polski. Książę uprzejmie gości podejmował, zamiarów swych nikomu jednak nie wyjawiał.

Spokojny tylko, a rozważny zawsze Olgierd i żywy, rycerski Kiejstut dopuszczani byli niekiedy do tajemnic ojcowskich. Poza tem kilku z wybranych wśród starszych kunigasów.

Najmniej ze wszystkich wiedzieli kapłani. Ofiary do świątyni posyłał Gedymin, dary bogom bogate dawał, lecz i przed Krewe-Krewejtą duszy nie otwierał. Jak orzeł skalny samotnym lubił być.

Krzyżacy tymczasem coraz to częstsze urządzali wycieczki do Litwy.

Bronił mężnie granic Litwy zięć Gedymina, Dawid, codziennie jednak walka stawała się cięższą. Bo choć zwycięstwo zostawało przy Litwie, Krzyżacy tyle za każdym napadem zniszczyli kraju, taką rzeź robili po drodze, iż kraj rok rocznie pustoszał.

Wezwał więc Gedymin z Polski Franciszkanów, założył im klasztory: w Nowogródku i budującem się Wilnie. Potem rozesłał posłów, by lud obcy na Litwę sprowadzali. Wszelkiego stanu ludzi sprowadzano i osiedlano, dawano im ziemię, pozwolono wieść handel, zajmować się rzemiosłem.

Kunigas Litwy zabezpieczał prawa tych osadników, dając im zupełną swobodę, mogli oni osiąść w Litwie z żonami i dziećmi, niewolnikami przez to niczyjemi nie będąc. Wolno im też było w każdej chwili Litwę opuścić.

Prawa swe, wiarę i obyczaje mogli zachowywać, co pismem książęcem zaręczone zostało.

Gedymin wzywał księży i zakonników, zastrze-

gając tylko, by to nie byli przedajni i chciwi mnisi. Tak zawsze nazywał Krzyżaków.

I znowu, jak za Mindowy, pojechało poselstwo do Rzymu. Pisał Gedymin do papieża o wszystkich zbrodniach krzyżackich, prosił go o sprawiedliwość i o opiekę, zaznaczając, iż tylko dlatego Litwa za Mindowy chrześcijańską nie została, iż Zakon okrucieństwami swemi wszystkich odstraszył. „My z chrześcijanami nie wojujem — pisał Gedymin — abyśmy wiarę ich prześladowali, lecz byśmy sobie krzywdy wyrządzić nie dali, a Tobie Ojcze święty gotowi jesteśmy we wszystkiem być posłuszni i wiarę chrześcijańską przyjąć, bylebyśmy tym ciemięzcom, to jest mistrzowi i braciom w niczem nie ulegali".

Tak pisał władca Litwy do papieża i byłaby wówczas Litwa chrześcijaństwo przyjęła, gdyby nie zabiegi Krzyżaków. Jak za Mindowy, tak i dziś nie pragnęli oni nawrócenia Litwy, szło im o zawojowanie ziemi, a ludzi woleli wymordować zupełnie.

To też, gdy w roku 1323 papież kazał im odnowić przymierze z Litwą, a gdyby Gedymin wiarę przyjął, wojny z nim żadnej nie prowadzić, zawrzało w Zakonie. Zanim posłowie do Litwy wrócili, Krzyżacy ponowili napady swe, do narodów chrześcijańskich wysłali posłów, na wojnę przeciw poganom wzywając.

Poruszyła się stara Litwa, i tu również zawrzało.

— Jakto — wołano — mamy bogów swych

rzucać, iść w niewolę Boga niemieckiego. Kapłani lud podburzali, czynili wróżby, pokazywali jawne znaki gniewu Perkunasa.

Nadjechało poselstwo papieskie. Papież zalecał Krzyżakom pokój i zgodę. Ale Litwę oddawał władzy Zakonu, wszak przez Mindowę jemu ona zapisaną była.

Z takim listem od papieża przybył do Gedymina poseł Bernard. Wstąpił on po drodze do Malborga i tam go mistrz i komturzy przysposobili.

Już w wileńskim zamku przyjął posła Gedymin.

Pełno było w zamkowej sali wezwanych kunigasów i bajorasów litewskich.

Gdy list papieski odczytano, zawrzał słusznym gniewem Gedymin. A więc w ten sposób wytłumaczono jego posłuszeństwo ojcu świętemu. Oddawano go w moc krzyżacką.

Pohamował się jednak w oburzeniu swem. Nie rzucił się z gniewem na posłów, lecz spokojnie odpowiedział, iż wdzięczen jest za dobre słowa i chęci papieża, wiary ojców jednak nie odstąpi i bogom litewskim ofiary składać będzie. Próżne też były starania arcybiskupa ryskiego i zabiegi posłów papieskich.

Książę Litwy niewolnikiem być nie mógł i by lud swój uspokoić, odrazu dwie wyprawy na chrześcijan rzucił. Sam poszedł ku Inflantom, a Dawid pustoszył Mazowsze i nowych jeńców polskich do Litwy prowadził.

Z trudem wielkim po miesiącach pobytu w Litwie poseł papieża potrafił skłonić oburzonego ku-

nigasa do zawarcia przymierza z Zakonem na lat cztery.

. . . .

W komnatach wileńskiego zamku, pod okiem księżny, małżonki Gedymina, rosły piękne księżniczki litewskie. Starsze już zamężne były. Jedna w Grodnie za Dawidem, kunigasem najdzielniejszym w Litwie, druga na Ruś wydaną była. Pięć młodszych rozweselało jeszcze książęcy zamek. Pełno tu było śmiechu i wesela. Rozlegały się często śpiewy, bo najstarsza z dziewcząt, Aldona, bez pieśni żyć nie mogła.

Gedymin dbały o naukę synów, do których nauczycieli z Niemiec i od Krzyżaków sprowadzał, o córkach też pamiętał.

Matkę Halszki, panią z Kościeńca, ochmistrzynią córek swych zrobił. Polska matrona uczyła księżniczki robót potrzebnych kobietom, oraz przystojnego zachowania się, jak na księżniczki przystało.

Czarnowłosa Halszka ukochaną towarzyszką została Aldony. Były jednolatkami, cicha i nieśmiała córka Gedymina pokochała wesołą, żywą i dzielną Laszkę, — najszczęśliwszą też była, gdy mogła siedzieć obok Halszki i słuchać jej opowiadań o Polsce i pięknych dzielnych jej rycerzach. Halszka śpiewała pieśni polskie, a jasnowłosa Gedyminówna brała wtedy swe gęśliczki i grała to, co tamta śpiewała.

Zaglądali czasem do komnat niewieścich bracia Aldony, Olgierd i Kiejstut, ile razy który z nich przebywał w Wilnie.

Przychodził tu nieraz i sam kunigas i czasem pieśni lackiej słuchał, z córkami rozmawiał, a Halszkę dobrem słowem darzył.

Halszka niewolnicą nie czuła się tu wcale, chodziła swobodna po całym zamku. Widywała jeńców polskich i o ich położeniu nieraz mówiła Aldonie. Obie starały się ulgę im nieść. Pobyt więc dwóch polek w zamku Gedymina błogosławieństwem był dla ich rodaków, bo i pani z Kościeńca nie jedną łaskę uzyskała im często.

Piękny był letni poranek, gdy obie dziewczyny wyjrzały wczas przez okno zamkowe. Dudniło coś w podwórzu. Spuszczono most zwodzony na dolnym zamku.

Halszka w ręce uderzyła.

— Boże wielki — zawołała — sen-że to? czy jawa?... toć, że nasi tu jadą... Nasi rycerze! patrz, patrz, tylko — wołała, ściskając Aldonę za rękę.

Wychyliła się Gedyminówna i krzyknęła z zachwytu. Na most zwodzony wjeżdżali męże w złotej lśniącej broni. U ramion mieli skrzydła wielkie, błyszczące w porannem słońcu. Na głowach przyłbice. Na czele orszaku jechało dwóch mężów starszych w płaszczach bogatych. Za nimi na wspaniałych koniach rycerski orszak.

U bram zamku, szeroko otwartych czekała starszyzna litewska.

— Nasi, nasi przyjechali — wołała głośno Halszka, aż się pani Elżbieta zbudziła i przyszła

zobaczyć co się stało. — I ona, jak córka stanęła zdumiona.

— Aldono — wołała Halszka — widzisz rycerzy polskich, widzisz, jacy są nasi ojcowie i bracia — mówiła — oni tu przyszli, więc chyba i my wolne będziemy, — Matko wołała wrócimy do dom. nad Wisłę, do ojca i braci! — i rzuciła się matce na szyję.

Aldona wybuchnęła płaczem.

— Odjedziecie nas — mówiła, tuląc się do pani Elżbiety, — rzucicie mnie, a ja tu za wami tęsknić będę.

— Uspokojcie się, księżniczko — rzekła matka Halszki — radości Halszki nie dziwujcie się i nie bierzcie jej za złe. Dzięki dobroci ojca waszego dobrze tu nam, kochamy was obie. Ależ tam wszyscy nasi. Rozdzieleni, cierpimy straszną tęsknicę.

W południe do matki i sióstr wpadł Kiejstut, który z Trok, w których obecnie mieszkał, nadjechał. Aldona go o rycerzy polskich zagadnęła.

— O siostrzyczko — roześmiał się młody kunigas — ciekawość niewieścia już męczy cię. A Kiejstut jednak nic nie powie, bo mu mówić nie wolno. Cierp dziewczynko, a niedługo dowiesz się.

I mimo próśb siostry nic więcej nie rzekł.

Halszka tylko zasłyszała od dworzan, iż posłowie to byli króla polskiego Władysława Łokietka i z Krakowa tu przybyli.

W pięknej komnacie zamkowej, z której okien

roztaczał się szeroki widok na rzekę Wilję i dolinę Swentoroga, na bogatym książęcym stolcu zasiadł kunigas Litwy, Gedymin. Obok niego siedzieli: Kiejstut, namiestnik Wilna Gastold i zięć, waleczny Dawid grodzieński. Prócz nich kilku jeszcze ze starszyzny litewskiej.

Komnata książęca bogato była przystrojona w kobierce ruskie i tkaniny wschodnie, na podłodze leżały skóry dzikiego zwierza, a na ścianach wisiała broń droga i rogi zwierzęce.

Przez wąskie okna wpadały jasne promienie letniego słońca.

Weszli posłowie polscy i pozdrowili kunigasa Litwy.

Najstarszy z panów polskich, mądry Krystyn z Ostrowca w te słowa przemówił:

— Wielki kunigasie Litwy i Rusi, król polski najmiłościwiej nam panujący Władysław, przesyła ci przez nas braterskie pozdrowienia. Przyjaźń ci swą i przymierze ofiaruje na wsze czasy.

— Miłą mi i drogą jest przyjaźń króla polskiego — odrzekł Gedymin — ale czemuż ją przypisać mamy?

— Miłościwy książę — mówił dalej poseł polski — szczerą i jasną będzie mowa nasza, jak szczerymi są zamiary i serce tego, co nas tu przysłał. Oto oba kraje i twoja, wielki Gedyminie, Litwa i nasza ziemia polska jednego mają wroga. A tym jest chytry i obłudny Krzyżak. Król polski Władysław ofiaruje Litwie przymierze, by razem zwalczać Niemców.

— Jak bracia stańmy — mówi — razem do boju i zgniećmy Zakon. Inaczej ni Polsce, ni Litwie żyć spokojnie nie da ten wróg. Na znak zaś szczerych chęci dla ciebie i Litwy prosi król polski o rękę córki twej, księżniczki Aldony, dla syna swego, królewicza Kazimierza.

— Przyjaźń i przymierze króla Władysława — odrzekł kunigas — wdzięcznem sercem przyjmuję, co zaś do córki naszej postanowienia, to choć zaszczyt to niemały dla ubożuchnej Litwinki zasiąść na królewskim stolcu w Krakowie, jednak odpowiedź na to zostawiamy do jutra. Wszak losem córki i matka rządzi, małżonki więc naszej rady zasięgnąć musimy. Tymczasem zaś miłych gości prosimy na ucztę.

I biesiada wielka odbyła się w wileńskim zamku. Wytoczono beczki litewskiego miodu i wina, które z Niemiec do Litwy sprowadzono. Dla czeladzi i ludu stawiano stągwie czarnego piwa.

Nazajutrz do świetlicy niewieściej poprowadził posłów Gedymin i Aldona zaswataną została Kazimierzowi.

Do Gedymina wpadło kilku bajorasów litewskich.

— Kunigasie — wołali — cóż powiedzą kapłani, co lud rzecze, gdy twa córa bogów swych wiarę opuści?

Gedymin głowę podniósł.

— Tam — mówił silnym głosem, wskazując ku pruskiej stronie — tam ongi Wajdewutis dziewkę swą, Żywilę, bogom na ofiarę za ziemię swą oddał. Dziś na mnie przyszła kolej. I ja dziecko me od-

daję obcym ludziom, obcemu Bogu, — za szczęście Litwy.

— Idźcie i słowa te odnieście kapłanom i ludowi memu.

Halszka szalała z radości, księżniczka pojedzie do Polski, a ona z nią, wróci do kraju, do ojca.

— Królową polską będziesz — mówiła — na złote włosy twe włożą koronę, drogimi kamieniami wysadzaną. Zobaczysz cudny zamek w Krakowie, tam żyć będziesz. Szczęśliwa!

Ale Aldona nie radowała się.

— Halszko — mówiła — boję się strasznie, boję i tego króla waszego i królewicza. O czemuż nie mogę zostać tu ze swymi, na Litwie.

— Zobaczysz — uspakajała ją Halszka — jak ci tam dobrze będzie, tak wesoło, że rychło o Litwie zapomnisz.

Aldona potrząsnęła głową.

— Oj, milszy mi mój ruciany wianek — mówiła — niż ta złota korona. Toć niewolnicą tam będę, sama wśród obcych.

I próżno uspokajała ją Halszka, próżno i pani Elżbieta i matka pocieszały biedaczkę, zalewała się ona gorzkiemi łzami na jedno wspomnienie Polski i tylko śpiew i granie na gęśliczkach uspakajały książęcą dzieweczkę.

Przygotowania do odjazdu Aldony szły spiesznie. Niedługo już było do końca rozejmu z Krzyżakami i lud litewski mógł wzburzyć się. Gedymin chciał więc corychlej córkę wyprawić. W Krakowie

miała być ochrzczoną i tam miał się odbyć ślub jej z królewiczem.

Pani z Kościeńca miała odwieźć do Krakowa księżniczkę, a dwaj bracia Kiejstut i Lubart towarzyszyli jej, ile że w Krakowie miało być zawarte przymierze Polski z Litwą.

— Jakiejże oprawy, jakiego posagu żąda za mą dziewką król Władysław? — pytał posłów Gedymin. Wszak złota i srebra nie ma Litwa uboga.

— Kunigasie potężny — rzekł Krystyn z Ostrowca. — Złota i srebra nie pragnie Polska, żelaza mamy również dość. Ale prosimy cię panie, niech zaślubiny twej córki swobodę przyniosą braciom naszym, jeńcom twym panie.

Rozesłał więc Gedymin posłów po całej Litwie, by wszystkich jeńców polskich do Wilna ściągnięto.

Zebrało się 24 tysiące ludu. Byli tam i starcy i rycerze, młodzi, kobiety i dzieci.

Radość była ogólna, błogosławiono piękną królewnę, co jak dobroczynna wróżka wiodła ich wszystkich do rodzinnej ziemi.

— Królowo nasza pozdrowioną bądź — wołano, gdy Aldona, otoczona braćmi, stanęła na czele orszaku już w drodze do Polski.

I po raz pierwszy, widząc radość, otaczających ją Polaków, rozjaśniła się smutna twarzyczka litewskiej księżniczki. Pochyliła się do staruszki, co kraj jej płaszcza całowała, objęła ją i tuląc się w jej ramiona, szepnęła:

— Miłujcie wy mnie.

Przymierze zawarte z Polską nowej siły dodało Litwie. Dwóch wielkich wojowników i zawziętych nieprzyjaciół Krzyżactwa: Gedymin i Władysław Łokietek, wspierało się odtąd wzajem. Z pomocą idąc Polsce, doszła Litwa aż do Frankfurtu nad Odrą. Wojska litewskie wiódł sam Olgierd. I słusznie zrobił Gedymin, szląc w te odległe kraje starszego syna. Rozważny i mądry, w wojnie tej nabył Olgierd sztuki wojowania, nieznanej dotąd w Litwie, walki w otwartem polu.

Poznał kraje bogate. I z ogromnemi łupami wrócił do puszcz litewskich. Krzyżacy nie ustawali w walce. Przed papieżem wymyślali na Łokietka, że się z poganami brata, a w całej Europie zbierali posiłki przeciw pogaństwu.

I szły potężne zastępy rycerstwa na Litwę i Żmudź, spustoszenie roznosząc po całym kraju.

Z Gedyminem jednak walka była trudna. Miał on już wojsko, miał mężnych i posłusznych sobie dowódców. Nie było już w Litwie, jak ongi za czasów Mindowy, mniejszych kunigasów, którzy z obcymi łącząc się, kraj własny zdradzali. Władza cała była w ręku Gedymina. Bajorasi, lud, kapłani, wszyscy jednego słuchać musieli.

Dzielni synowie pierwsi ulegali powadze ojca.

Olgierd siedział w Witebsku i Ruś bronił od Tatarów. Narymund, drugi syn Gedymina, wiarę ruską przyjął i w Nowogrodzie Wielkim, gdzie kniazia lud nad sobą nie miał, bo rzeczpospolita

tam była, przez lud sam, wodzem tejże rzeczypospolitej wybrany został.

Kiejstut mieszkał w Trokach, a inni synowie po różnych dzielnicach osadzeni byli. Córki za mąż poszły, jak Aldona, do obcych krajów. W zamku wileńskim żyła młoda księżna Ewa, którą po śmierci matki Aldony, księżny Julianny, z Rusi przywiózł Gedymin i syn najmłodszy Jawnuta.

Legł w grobie serdeczny i szczery druh kunigasa Litwy, król polski Łokietek, młodemu królowi Polski Kazimierzowi grozili wojną Krzyżacy. Na pomoc zięciowi pociągnął z wojskiem i synami Gedymin.

Tego tylko chcieli Krzyżacy. Jak chmura szarańczy spadli teraz na Litwę. Syn cesarza Niemiec Ludwik brandenburski, hrabia Hennenberg, świetne rycerstwo Austrji i Francji ruszyło na wojnę krzyżową. Sam mistrz prowadził wyprawę.

Zima była silna. Mrozy ścięły bagna i trzęsawiska i Krzyżacy zapuścili się w głąb kraju.

Wśród potężnej i nieprzebytej niemal puszczy, leżał stary gród litewski Pilleny. Ukryty w puszczy, otoczony głębokim rowem, a zbudowany z grubych kłód, gród zdawał się być niezdobytą warownią

Na wieść więc o zbliżającym się wrogu, tłumy okolicznego ludu zabierały swe mienie i uciekały do Pillen.

Kunigas Margier, co władcą tu był, słynął niesłychaną odwagą. Siedział on w warowni swej zdala od dworu Gedyminowego. Litewskie bogi tylko czcił. W Pillenach płonął Znicz święty,

a przy nim siedziała stara Wajdelotka. Obcy ludzie, obce bogi wstępu do Pillen nie mieli.

Gdy wieść do zamku przyszła, że krzyżactwo idzie, Margier do boju gotować się począł.

— Margierze, mężu i panie — prosiła młoda jego żona — w lasy idźmy lepiej, w puszcze głębokie.

— Niewiasto — odrzekł wódz litewski — chcesz, żebym, jak zając krył się przed wrogiem, nie wstydziłabyś się męża, co uciekł, a lud swój na rzeź niemiecką porzucił?

Baniuta ręce łamała.

— Ale gdy przyjdą tu i zamek zdobędą — mówiła — czeka nas niewola, hańba.

— Nie bój się, najmilsza — odrzekł rycerz — żywym Margiera nikt nie weźmie. Zginę, ale niewolnikiem nie będę, na brodę Perkunasa klnę się ja tobie!

Baniuta przypadła mu do nóg.

— A więc na wielką Lietuę, tę, co strzeże wolnych, przysięgnij mi, że zanim zginiesz, miecz twój przebije mą pierś — wołała. — Nie daj mnie iść w niewolę niemiecką.

Margier żonę do piersi przycisnął.

— Przysięgam ci — rzekł — i przysięgi zdzierżę.

Otarła łzy Baniuta i spokojnie na przygotowania do walki patrzała.

Margier oglądał ściany warowni, wzmacniał ją, żywność ściągał, a stara wajdelotka Znicz święty paliła i wojowników do boju zagrzewała. Mówiła im o krzywdach Litwy, o okrucieństwie Niemców,

śpiewała pieśni o dawnych czasach, o kunigasach co nie znali lęku. O duchach ojców, którzy tam na Anafielas (niebie), czekają synów zwycięzkich, czekają, by wieść ich na bój wielki, łowy wspaniałe.

I słuchając słów i pieśni wajdelotki, rosło serce ludu. Czekano Niemców niecierpliwie. Do boju, do walki tęskniono.

Aż przyszły ogromne zastępy Białych płaszczy. Na wprost bram zamkowych stanął wspaniały namiot Wielkiego Mistrza.

Niemcy rzucili się do ścian warowni.

Margier czekał ich. Piaskiem, gorącym popiołem, wrzątkiem powitano napastników. Starcy, kobiety i dzieci walczyły tą bronią. Wojownicy z wałów puszczali chmarę strzał i kamienie z procy. Odparto Niemców. Znicz jasnym płomieniem wystrzelił do góry.

Ale wróg nie odszedł. Otoczył on ze wszech stron warownię i w ściany jej bić zaczął potężnemi machinami. Pękały grube kłody, ściany zamczyska drżały.

Margier na wszystko dawał baczenie. Dziury w ścianach, wyłomy zabijano w jednej chwili i zasypywano piaskiem. Dzień i noc kunigas obiegał warownię, ciągłą walkę tocząc z wrogiem.

Baniuta wielką pomocnicą była mężowi. Wespół z innemi kobietami pracowała, sypiąc popiół i lejąc gorącą wodę na wroga. Do pracy zachęcała wszystkich. — Ha, kto wie — mówiła — może bogi pomoc nam nadeszlą.

Mijały dnie i noce, tygodnie całe, lecz o od-

sieczy słychać nie było. Ale Margier nie ugiął się. Widział pogruchotane ściany warowni, czuł, że lada chwila upadną, ustąpić jednak nie myślał.

W obozie krzyżackim natomiast zwątpiono o zdobyciu Pillen.

— Miesiące tu leżeć będziemy — mówili komturzy — i kurnika tego nie zdobędziemy. Czary jakieś naprawdę ma Margier, czy ta stara wiedźma, co na wały co dnia wychodzi i gusła swe robiąc, przekleństwa na nas miota.

Inni radzili, czasu na zdobywanie grodu nie tracić, a iść w głąb kraju.

Wtem śmiechem strasznym wybuchnął ogromny rycerz krzyżacki Krzysztof Randorf.

— Niech Wasza Miłość — rzekł, zwracając się do mistrza — mnie zleci zdobycie warowni. Jutro zaśpiewamy tam hymn triumfu.

Zgodzono się bez wahania. Krzysztof trąbić do odwrotu kazał.

Zdziwili się oblężeni. Czyżby Krzyżacy odstępowali?

Na wieży zamku, przez wąskie okno śledził nieprzyjaciół Margier.

Straszny widok uderzył jego oczy.

Setki łuczników ustawiało się pod warownią i setki płonących strzał padło jednocześnie na słomiany dach grodu.

Chwila śmierci nadeszła.

Zabrzmiał róg Margiera i lud cały zbiegł się. Ogień obejmował warownię, a łoskot machin oblę-

żniczych, uderzających ze wszech stron, silnym hukiem rozległ się ponownie dokoła.

— Ludu Litwy — zawołał Margier — ostatnia godzina wybiła, wybieraj śmierć lub niewolę. Margier już dawno wybór uczynił. On wolny pójdzie do ojców.

— I my z tobą Margierze, — zawołano do koła — wolnymi umrzemy!

A już wajdelotka stos układała, rzucono się jej ku pomocy.

— Przed śmiercią spalić wszystko, niech zgliszcza i piopioły weźmie wróg.

Znoszono co rychlej wszystko, co kto miał, aż stanął stos olbrzymi, niewidzialny dotąd nigdy przez nikogo. Złoto, drogie kobierce, wszystkie sprzęty domowe rzucono tu. Wkońcu matki dzieci swe przyniosły i wraz z niemi na śmierć szły. Wojownicy zabijają się sami, towarzysze ciała ich układają na stosie i idą w ich ślady.

Huk straszny rozległ się. Padła główna ściana warowni. Niemcy wpadli do grodu i stanęli zdziwieni, nikt im wstępu nie broni, jedynie dym straszny wyjada oczy. Byłażby to zasadzka?

W ciasnem przejściu stoi tylko jeden wojownik, zasłaniają go tarczami słudzy, a on potężnym uderzeniem miecza kładzie Niemców.

Przerażeni, cofnęli się, ale rychło spostrzegli, że prócz Margiera, niema nikogo.

Miecz krzyżacki ciął ramię Litwina.

Oblany krwią, cofnął się bohater litewski do podziemi. Wszak jeszcze nie wszystko spełnione.

Baniuta zabiegła mu drogę.

Niemca i dotknięty ognistym pociskiem padł wielki kunigas Litwy. Dojrzał to Kiejstut i do ojca przypadł. Olgierd tymczasem, bojąc się przerażenia, swoich do walki zagrzewał i nowe hufce na Niemców rzucał.

Z Wielony wypadli wojownicy. Bito, tratowano Niemców.

Żal, ból nad śmiercią kunigasa siły Litwy wzmogły.

Wieczór już był, gdy do starego dębu, w cieniu którego złożono śmiertelnie rannego Gedymina, nadjechał Olgierd. Znużony był całodzienną walką, tarczę miał potrzaskaną, odzież w nieładzie.

Spojrzał nań umierający i szepnął z cicha:

— Wielona?...

Olgierd z konia zeskoczył i do nóg ojca się pochylił.

— Zwyciężyliśmy — szepnął, a łzy miał w oczach.

Rozjaśniła się twarz kunigasa, z miłością spojrzał na synów.

Podniósł rękę.

— Litwo — szepnął — i z tem słowem duch wielkiego kunigasa uleciał do krainy ojców.

DWAJ BRACIA

I.

W miejscu, gdzie Wilejka wpada do Wilji, u stóp góry Turzej, na dolinie Swentoroga płonął stos wielki. Otaczali go kapłani w białych szatach z zielonymi wieńcami na głowie, a wśród nich stał w spiczastej czapie, z krzywą laską w ręku, Krewe-Krewejte. Dalej za nimi żałobnicy i płaczkowie. A poza całym tym pogrzebowym orszakiem uwijali się na koniach z maczugami i brzeszczotami w ręku młodzi wojownicy i brzęcząc, a stukając bronią wołali:

— Gej, gej, begejte Pokole! (precz, precz ustąpcie duchy złe, siły nieczyste).

Na szczycie stosu wysłane było łoże ze słomy, a na niem leżały zwłoki wielkiego kunigasa Litwy, Gedymina.

Synowie przywieźli ciało jego z pod Wielony. I oto na tymże niemal miejscu, gdzie przed latami położył kniaź potężnego tura, kędy miał sen proroczy, duch jego żegnał się z rodzinną ziemią i szedł do ojców na Anafielas (niebo, raj u Litwinów).

Poważnie szumiał stary litewski bór, gdy zaja-

— Na białym koniu, co wraz z nim spłonął, z sokołem na dłoni, z orężem u boku, wzniósł się kunigas Litwy na Anafielas. Poszedł do bogów i ojców. Tam z nimi walczyć z Niemcami będzie a Litwy rodzonej od wroga strzedz. Garbie, garbie mu! Chwała, chwała mu!

Śpiewał Krewe, a z nim chór kapłanów.

A na zamku wileńskim szła tymczasem stypa książęca. Synowie Gedymina bojarów i lud ugaszczali.

Gedymin najmłodszego z synów Jawnutę kunigasem wielkim chciał widzieć. Starsi bracia, głośni już w świecie wojownicy Olgierd i Kiejstut, szanując rodzica wolę, pierwsi mu pokłon dali.

I oto Jawnuta w książęcej czapce za stołem siedział. On gości podejmował. A lubiał i sam dzbanem zabawiać się, słodkie miody kowieńskie miłe mu były.

Otaczali go bojarowie ci wszyscy, dla których jadło i napój miłymi były. Ukochany syn Gedymina podobnym ojcu nie był. Do łowów nie tęsknił, a wojny rad unikał. Próżno stary ojciec wzywał go ze sobą na bój, macierz, ostatnia żona Gedymina, księżna Ewa, wypraszała zazwyczaj syna i rad nie rad zostawiał go kunigas w domu. Jawnuta chętnie wśród niewiast siedział, śpiewu ich słuchał, lub dzbanem się zabawiał.

Kiejstut i Olgierd zdala od brata siedzieli, między starszyzną, omawiając różne sprawy krajowe. Surowy i poważny Olgierd nie pił nigdy nic, prócz wody źródlanej, słowa swoje ważył, z namysłem

wielkim wszystko poczynając. W ruskiej ziemi, bo w Witebsku żył wciąż, a słynne były wyprawy jego do Moskwy i Carogrodu, skąd skarby wielkie szły do Litwy.

Młodszy o lat kilka Kiejstut, nad życie kochał Olgierda, mądrość jego szanując bardzo. O ile kniaź witebski spokojny był, rozważny i małomówny, o tyle kunigas trocki serce miał na ustach. Wesoły, żywy jak iskra, waleczny jak ojciec, śmiałym był do zuchwalstwa. Nie było dlań postrachu żadnego, ni nijakiej przeszkody na świecie. „Białych płaszczy“ nienawidził, a Litwę miłował nadewszystko. Władzy niechciwy, bolał jednak nad wywyższeniem Jawnuty. On w Wilnie chciał widzieć tylko Olgierda.

I teraz drżał cały z oburzenia patrząc, jak na stypie wielkiego kunigasa pijany syn jego błaznuje śmiejąc się z wesołków, którzy przed nim różne niemądre figle i psoty wyprawiali, a w poważnych naradach starszyzny udziału nie bierze.

— Onże to ma Litwy bronić, — szepnął do Olgierda, — chyba z dzbanem pojedzie ten kunigas na wroga, lecz nie z orężem!

— Kiejstutis, bracie miły — spokojnie łagodził go Olgierd, — pomnij na wolę Gedymina; słuchać go winniśmy...

— Tak — odrzekł młodszy — ale nie ze szkodą ziemi, za którą poległ rodzic. Cóż będzie, gdy zimą zajrzą do Litwy Niemcy?

— Staniemy my dwaj, ja ruszę z Witebska, ty z Trok — i Litwę zasłonimy piersiami naszemi — odparł starszy.

Wtem wszedł sługa i oznajmił, iż nadbiegł goniec od kunigasa Ordmanowicza, co chcąc pomścić śmierć Gedymina, na Krzyżaków wyruszył z dużym pocztem.

Porwał się krewki Kiejstut i nie czekając rozkazu wielkiego kunigasa, gońca wołać kazał.

I Olgierd wstał od uczty, a że był chromy, wsparł się na pacholęciu i za bratem szedł.

Wszedł okryty krwią i kurzem olbrzymi Litwin i do Jawnuty, co się ledwo od stołu ruszał, do nóg przypadł, pokłon mu dając.

— Pozdrowiony bądź mężny kunigasie, — mówił klęcząc, — a rozjaśnij oblicze swe śmiercią ojca twego zasępione. Oto pomszczony jest zgon Gedymina.

— Mów dalej, — wołał Kiejstut, — czy pobici są Niemcy?

— Wielki wódz, panie, kunigas Ordmanowicz zbił Białe płaszcze pod Ragniedą.

— Garbie mu, — zawołał Kiejstut.

— Od Ragniedy — mówił dalej goniec — wysłał Ordmanowicz część wojsk w głąb niemieckiej ziemi i tam kraj spalony, a ludność wycięta. Niemcy prosili o rozejm.

Radość ogarnęła zebranych.

— Ugośćcie gońca, co nam wieść tę przyniósł radosną, — nakazywał Jawnuta, — ze skarbca dać mu jaką chce nagrodę, ze stajni rumaka.

— Cześć ci i dzięki, synu Gedymina — zawołał Litwin — panuj szczęśliwie. — I pokłon mu dał.

Olgierd i Kiejstut zabrali do siebie posła, rozpytując go o wszelkie szczegóły wyprawy.

W parę tygodni po pogrzebie Gedymia nadeszła wieść o śmierci księcia Bolesława mazowieckiego, a męża córki jego Maryi. Władał on Rusią Czerwoną, zmarł bezdzietny, a król polski Kazimierz Wielki, ten, co miał za żonę Aldonę Gedyminównę, zagarnął Ruś i Lwów, jako własność żony.

Za późno wieść o tem doszła do Litwy. Zgodzili się książęta, a może i rozwaga Olgierda głównie wpłynęła na to, by sprawę polubownie z szwagrem zakończyć. Wraz z młodszymi braćmi wyjechał do króla polskiego Kiejstut i ułożył się, iż Kazimierz zatrzyma Ruś Czerwoną i Lwów, a Litwa dostanie za to Włodzimierz, Łuck, Bełz, Chełm i Brześć.

Jakiś czas spokój zawitał do kraju, lecz naraz niepokojące wieści przyszły do Trok, gdzie czuwał sokół Kiejstut. Oto Jawnuta z Niemcami się brata, z wrogiem układy wiedzie.

— Dość tego — zawołał dzielny Gedyminowicz — wolę ojca uszanowaliśmy, zostawiliśmy mu naczelną władzę, ale nie po to, by on ziemię w niewolę, a nas na pohańbienie oddawał.

Goniec pognał do Krewa, litewskiego zamku Olgierda. Kunigas tam na łowach był właśnie. A nocą wyruszył z Trok do Wilna zbrojny hufiec.

Spano jeszcze na zamku wileńskim, gdy Kiejstut zawołał na straże, by most zwodzony spuścili.

Strażnik wyjrzał przez otwór w murze, a widząc hufiec zbrojnych, do pana pognał. Jawnuta

nie namyślał się. Bosy, w koszuli, bez zbroi, podziemnem wyjściem wybiegł z zamku, do którego wjeżdżał brat. Bez walki objął Kiejstut zamek. Za Jawnutą wysłał gońców. Przywiedziono go w kilka godzin drżącego ze strachu i zimna.

— Bracie — rzekł Kiejstut, — nie na życie twe nastaję, skarbów i władzy jam niechciwy. Ale Litwie trzeba innego pana, jej trzeba obrońcy.

W tej chwili zagrały rogi u wrót zamku.

— Olgierdowy to róg — zawołał książę trocki. — Garbie Olgierdowi, jemu kunigasem Litwy być.

Silną dłonią ujął Olgierd władzę na Litwie. On jeden miał tu być panem, jeden miał rządzić. Pierwszy Kiejstut myśl tę mu podsunął.

— Kiejstutis miły bracie — mówił Olgierd, gdy wieczorem w świetlicy zamkowej, na skórach rysich i niedźwiedzich przy ognisku obaj legli — jeśli już tak ma być, że wolę ojca pomijając Jawnutę od książęcego stolca usuwamy...

— On się sam usunął — zawołał z żywością Kiejstut — nie dość, że dnie i noce na próżniactwie i opilstwie trawił, ale jeszcze i z wrogami się łączył. Nie kunigasem mu być, mówiłem to zrazu.

— I słusznie bratku mówiłeś — przytwierdził Olgierd — otóż dziś władzę tę rozdzielić nam wypada.

— A to po co? — obruszył się młodszy brat. — Któż sprosta tobie Olgierdis ponas miły. Jeden dział prowadzi ze sobą i drugi i trzeci.

A zawdy największy ład tam, gdzie jeden jest gospodarz. Już to praojciec Wajdewutis dobrze to rozumiał. Prusom kazał brać przykład z pszczół, co jednego króla mają i on ładu a porządku w państwie pilnuje: a nakazu jego słuchają wszyscy. Tobie bracie miły, takim Bojeterosem (królem pszczół) w Litwie być, a nam wszystkim ciebie słuchać należy.

Zamilkli obaj, cisza zaległa świetlicę. Na kominie dopalał się ogień. Olgierd podniósł się i dorzucił łuczywa. Buchnął jasny płomień.

— Ciężkie dnie idą dla Litwy — mówił po chwili starszy Gedyminowicz. — Na trzy strony trzeba mieć oczy zwrócone, na trzy strony miecz sięgać musi. Polska, Ruś, Niemcy opasują nas.

— Najgorsze są Białe płaszcze — żachnął się Kiejstut. — Od nich, jak od komarów na wiosnę, bronić się należy. Bo nikt nie wie, ani skąd przyjdą, ani kędy wlezą.

— Ciężkie czasy — westchnął Olgierd.

— Tak i dlatego trzeba silnej i żelaznej ręki — zawołał Kiejstut. — Tu trzeba oczu, coby wszystko widziały, trzeba myślenia wielkiego i odwagi gotowej na wszystko. A takim tylko mężem jest na Litwie Olgierd. To nie o naszą chwałę, tu nie o nasze rody chodzi, tu idzie o Litwę.

— Tak — powtórzył starszy brat — o Litwę.

— I dlatego — przerwał Kiejstut — musi być władza w najsilniejszym ręku. A więc w twoim. Gdzie zgody nie ma, tam i siły być nie może.

— Kiejstutis — rzekł Olgierd — między nami wszak zgoda będzie zawsze?

Na Perkunasa brodę i na Lietuę, co wolności strzeże — zawołał młodszy hrat — klnę się, że ci wiernym do śmierci będę i woli twej posłusznym.

Tak myśl o dobro Litwy zrobiła Olgierda pierwszym kunigasem Litwy. Nie opierał się temu nikt, bo syn Gedymina powagę miał nie tylko w kraju, lecz już i u obcych.

Jawnuta dostał księstwo Zasławskie. Słaby książę jednak nie mógł pogodzić się ze swoim losem. Do obcych zbiegł, do Rusi, szukając przeciw braciom pomocy.

W Moskwie chrzcił się i starych bogów wyrzekając się, wrogów na Litwę zbierał. Jeszcze jednak nie namyślili się kniazie ruscy co tu począć, gdy do Nowogrodu Wielkiego przybiegli posły z wieścią, że kunigas Litwy z dużem wojskiem ciągnie i grody ruskie po drodze zabiera.

Zebrała się starszyzna Nowogrodzka, wygnano Jawnutę, a do Olgierda wysłano posłów, prosząc o pokój.

— Dobrze — rzekł kunigas — pokój wam dam i zgodę z wami zrobię, lecz musicie mi przysiądz, iż gdy was wezwę, pójdziecie ze mną na Niemców.

Zadumali się Nowogrodzianie, ale nie było wyboru i zgoda zawartą została.

A przekonali się nie długo, że i im należało Niemców się strzedz, bo oto Białe Płaszcze z Inflant idąc do Pskowa doszli, gdyby nie Litwa, zdobyliby bogaty i potężny gród. Kniazia tam nie było,

tak jak i w Nowogrodzie żadnego. Lud sam rządził. Starszyzna o pomoc Olgierda błagała.

Litewskie piersi broniły ruskiego grodu. Przybyli obaj Gedyminowicze, a Olgierd wziął ze sobą syna swego Andrzeja.

Ciężkie były dnie, aż Litwini wroga odparli. Radość zapanowała w Pskowie.

Naradę odbyła starszyna. Jak podziękować kunigasowi Litwy? Dary mu drogie złożono: srebra i szaty bogate, a posłowie oddając je prosili:

— Wielki kniaziu Litwy, oto my z wieków kniazia nie mamy, prosimy ciebie hosudarem a ojcem nam bądź, wiarę świętą przyjmij i tu z nami po wieki zostań.

— Jakże mi z wami zostać — mówił Olgierd — cóż wart jest ten, co własnej matki się wyrzeka. Wy macie swego Boga, a ja Perkuna rzucić nie mogę. Z Litwą zostać i z bogami mymi jam powinien.

A gdy go prosili, by ich nie rzucał, dodał:

— Opieki swej wam nie odbieram. Syna wam daję na kniazia, jemu i wam ojcem będę w każdej przygodzie.

Młody Andrzej został więc kniaziem na Pskowie i wiarę ruską przyjął. A Psków łączył się z Nowogrodem do wspólnej od Niemców obrony.

Słusznie jednak mówił Olgierd, że ciężkie czasy szły dla Litwy. Wrogowie grozili jej ze wszech stron. — Kazimierz Wielki, król polski, jak się tylko skończył rozejm zawarty niedługo po śmierci Gedymina, z wojskiem licznem wybrał się na Wo-

łyń, Brześć i Chełm do Polski przyłączył. Wyciągnął przeciw Polakom Kiejstut, ale dowiedziawszy się o sile wojska polskiego i o tem, iż Krzyżacy mają przyjść z pomocą rychło opatrzył się, że nie podoła.

Zamknął się w swym namiocie Gedyminowicz, aż w końcu wpadł na fortel. Śmiały mu się niebieskie oczy, gdy posłów wołał do siebie i im w tajemnicy powierzał poselstwo do szwagra.

— Nie obawiajcie się — mówił następnie książę Trocki do swych bajorasów — bogi mi radę dały, z ich pomocą zwyciężym wrogów. Łowy tymczasem urządzimy, a do wyprawy wielkiej bądźcie gotowi. Ucieszymy króla polskiego. A najbardziej to już Białe Płaszcze.

Jakoż w Krakowie zawrzało. Dziki Liwin, poganin zawzięty, chrztu żąda. Prosi króla polskiego, by go na łono prawdziwej wiary nawrócił. Pognali posły od króla do Awinionu, do papieża z tą wieścią radosną. A w Krakowie grały radośnie dzwony. Litwa ochrzczona, a więc wroga niema, ustaną najazdy. Łuny pożarów nie będą ludzi budzić po nocach. — Papież list dziękczynny słał do króla polskiego. I do Kiejstuta pisał, synem miłym i królem Litwy go mianując, o ile wiarę świętą przyjmie.

Wtem straszny krzyk rozległ się po Rusi.

— Litwa, Litwa idzie. — Jak piorun z jasnego nieba spadł Kiejstut i zamki i grody zabierał. Do Lwowa doszły zastępy ludu zaszytego w skóry. — Zamczysko jednak było mocne i zdobyć go nie udało się Litwinom. Inne tylko grody pozabierał Kiejstut i do Litwy je przyłączył.

A tymczasem i Olgierd w pole wyruszył. Podole, sąsiednia Wołyniowi ziemia, od czasów Gedymina rządzoną była przez kniaziów litewskich. Szanując wedle nakazów wielkiego Kunigasa wiarę i obyczaje ludu, kniaziowie nie gnębili go, przeciwnie otaczali swą opieką. A właśnie straszny wróg groził żyznej podolskiej ziemi. Postrach wszystkich ludów dokoła. Tatarzy.

Jedna Litwa nie bała się dzikich najeźdźców. Ona tylko zwyciężała ich. I teraz Olgierd zebrał wojsko i wyciągnął na pomoc kniaziowi Korjatowiczowi.

Nad rzeką Siniuchą przyszło do boju. Trzech carzyków tatarskich prowadziło bój ze strony dziczy. Hadżybej, Kutłubuk i Dymitr. Spokojny i rozważny Olgierd sam kierował bitwą. Zwycięstwo i tym razem otrzymała Litwa.

Tatarzy poszli w rozsypkę, ale Olgierd na tem nie przestał. Rozrzucił szeroko swe zastępy i gnał Tatarów pustynią dziką daleko, aż do Krymu.

Tam padli mu do nóg carzykowie, prosząc o pokój. Wodę lali przez miecze przysięgając na Ałłacha, z Litwą nie wojować. Ale Olgierdowi tego było za mało. Musieli mu hołd składać, wielki okup dać i przysiądz, że na wezwanie przyjdą mu ku pomocy.

Poczem z łupami ogromnymi wracał do Litwy kunigas, a po drodze wybiegała przeciw niemu ludność, witając go jako zbawcę swego.

II.

Dzień był gorący lipcowy. Słońce prażyło z góry, a zdawało się, że biały piasek morski żarem bucha. Czarna puszcza stała milcząca, cicha. Pozaszywały się kędyś ptaki, znużone upałem, dziki zwierz nie wysuwał się z gąszczy leśnej. Cicho dokoła.

I morze duże, szumiące zazwyczaj, stało ciche w blaskach słonecznych całe. Czasami tylko mała rybka przemknęła w wodnej głębinie, a wtedy lekko zmarszczyła się powierzchnia morska. Zamigotały łuszczki fali i zajaśniały srebrem i rubinami, a potem znowu wszystko się wyjaśniało i cisza szła dokoła.

Wtem w puszczy zadudniało, coraz bliżej ku morzu szedł tupot końskich kopyt, szczęk oręża i pogwar ludzkich głosów. Męże zbrojni jechali przez puszczę, od niemieckiej strony kędyś.

Małą ścieżyną ponad brzegiem morza szła dzieweczka młoda. Smukła i zręczna, nie zważając na południową spiekę szła prędko, lekkie jej stopy zdawały się nie dotykać ziemi. Ubraną była jak wszystkie w owe czasy litewskie dziewczyny, w lnianą koszulę, krótką spodniczkę domowej roboty, również lnianą, a tkaną w białe i niebieskie pasy, na szyi miała śliczne naszyjniki z bursztynu, a na głowie zielony wieniec ruciany. W ręku niosła kobiałkę.

Usłyszała tętent i zatrzymała się.

— Perkunasie — szepnęła — nie Niemcyż to przecie?

Jeźdźcy zbliżali się coraz bliżej.

Jak leśna sarna spłoszona stała dzieweczka nasłuchując.

— Garbie ci, Dejwo moja — szepnęła — słyszę litewską mowę, toż nasi.

A właśnie orszak wysunął się z lasu. — Na czele jechał mąż młody jeszcze, choć młodzieńcem już dawno przestał być. Drobny był i szczupły, a pod nim był koń niewielki, cisawy, z grzywą, co mu aż do kolan spadała, z jasnym, płowym ogonem.

Ubiór rycerza, zbroja jego, bogatsze było, niż towarzyszy. Na piersiach miał blachę, na głowie nie szłyk ze skór zwierzęcych zrobiony, lecz hełm, jaki nosili zamorscy rycerze. Wypuścił konia i jechał przodem przed innymi. Nagle zoczył idącą dzieweczkę.

— Mergajte (dziewczynko) — zawołał, zbliżając się ku niej, — co tam niesiesz w koszyku?

I wstrzymał konia.

Dziewczyna stanęła również. Nie obawiała się już, wszak to byli swoi. A niebieskie oczy kunigasa groźnymi nie były.

— Obiad braciom mym niosę, panie — rzekła, spokojnie. Oni dziś siecie mają zapuszczać wieczorem. Strawę więc im dam.

— Wodę masz? — pytał kunigas.

— Mam — odrzekła.

— A to daj mi się napić, bracia twoi kędyś w puszczy śpią w chłodzie, a my z daleka jedziemy. Spieka taka.

— Pijcie, panie — mówiła dziewczyna, po-

dając mu wodę — niedaleko stąd krynica, pójdę i braciom przyniosę. Niech was pokrzepi.

Kunigas wodę pił, a na dziewczynę patrzył.

— Czyjaś ty? — spytał. — Gdzież numa twa?

— Widymuntowa jam dziewka — rzekła. — W numie u ojca nie mieszkam, bo od roku strzegę ognia świętego Paurimy wielkiej. — Birutą mię zwą.

— I słusznie — rzekł z uśmiechem kunigas — bo włosy twe ciemne, jak skrzydła krucze. Graże Biruta (Piękna Ciemnowłosa) — mówił, uśmiechając się do niej.

Biruta zaczerwieniła się.

— Darujcie panie — powiedziała — że pójdę moją drogą, tam bracia czekają.

— Posłuchaj Biruto — mówił kunigas — jam Kiejstut, jedź ze mną do Trok. Na zamku mym ognia strzedz mi będziesz.

— Kunigas ponas — zawołała dziewczyna — jam przecie Wajdelotka.

I zanim Kiejstut słowo rzekł, wpadła do lasu i pognała chyżo.

Kiejstut pogonił za nią wzrokiem.

— Nie pojedziemy dziś dalej — rzekł nagle, zwracając się do swej drużyny. — Tu w puszczy odetchniemy.

I skręcił do boru.

Rozbito namioty w ciemnym borze i kunigas został tu na noc. Orszak jego był nieduży. Wracali z wyprawy na Niemców. Pobito wroga i juczne wozy wraz z jeńcami odesłał kunigas do Trok krótszą drogą, sam z niewielką drużyną skręcił ponad morze.

Dlaczego to zrobił, sam nie wiedział dobrze. Chciał tę część ziemi litewskiej zobaczyć. I teraz zapragnął tu w pobliżu morza odpocząć.

Na niedźwiedziej burce leżał w noc jasną i patrzył na złote gwiazdy.

Dumał, a zdala przy ogniu siedzący rycerze myśleli, że on śni o nowej wyprawie na Niemców. Porwie się może za chwilę, za róg chwyci, miecz przypasze i w bój ich powiedzie.

Ale kunigas na gwiazdy złote patrzał i o Niemcach — zapomniał.

On myślał, że tam w pięknym zamku jego, nad zielonym jeziorem, nikt na niego nie czeka. Rycerze jego wrócą do żon, do dziatek, witać ich będą swoi. Tylko on sam będzie w swej świetlicy zamkowej. Nikt nie wyjdzie go powitać. Nikt mu nóg nie umyje, nikt pieśni nie zaśpiewa.

— Brat Olgierd już drugą żonę wziął, kniaziównę ruską. Wesoło w wileńskim zamku. Niewiasty śpiewają pieśni, dzieci się bawią. A on wciąż sam.

Olgierd namawiał go, by swaty słał na Ruś, kniaziówen tam dużo.

Ale Kiejstut obcej niewiasty nie chciał. Obca kobieta, obca mowa i obyczaj obcy, a on bogom swym wierzy.

I czemu ta dziewczyna co ją dziś spotkał Wajdelotką jest? Gniewałażby się Praurima, gdyby jej jedną służkę wziął? Tyle ich ma. Dałby jej zresztą skarby i dziewice inne. — A w Trokach nie byłoby tak pusto.

— Ale co Litwa powie?

— Nikt wiedzieć nie powinien prócz druhów wiernych — pomyślał.

— Swarno — szepnął z cicha.

Stary Litwin do pana się przysunął.

— Niech zaraz konie kulbaczą i w drogę — do Trok wracajcie. Ty prowadź.

— Kunigas pones — szepnął stary, dalej się pytać bał.

— Zostanę tu, a Jawnutis i Ruklis ze mną. A wy, byle kur zapiał, w drogę.

To rzekłszy legł i oczy zamknął.

Zajaśniała jutrzenka na niebie i przejrzała się w morzu. Ponad ziemię wzleciał szary ptaszek i zadzwonił piosnkę swą.

Zakukała kukułka w lesie i zbudziła wajdelotki w świątyni. Rozbiegły się dokoła, ta w las po zioła, inne po wodę kryniczną.

W świątyni na głazie palił się ogień, a przy nim stała jedna tylko Widymuntowa córka. Nocna jej służba już się kończyła. Rzucała wonne kwiecie na stos i śpiewała:

— Błogosławioną bądź nocy za to, żeś tuliła skrzydły swymi i ludzi i zwierzęta, ptaki i rośliny...

— Błogosławioną bądź nocy, coś niosła ukojenie tym wszystkim, których zmęczył znój dnia...

— Słońce wielkie, potężne, cześć ci — wstań, blaski twymi oświeć ziemię, niech promyki twe rozniosą wszędzie światło, niech ogrzeją zziębniętych, rozweselą smutnych. Słońce wielkie i potężne, miłujące, cześć ci.

— Oto jutrzenka zapala już twe ognisko, wstań jasne i potężne słońce, a promyki twe poślij po wszystkich krańcach Litwy.

— Praurimo, obronicielko Litwy, weź nas pod swą opiekę i spuszczaj łaski swe na ziemię tę.

U wnijścia świątyni zaszeleściały gałęzie.

— To pewno tamte wracają — myśli Biruta. śpiewając dalej przy ogniu.

Bucha on snopem wielkim,

Wajdelotka odwróciła głowę. W drzwiach stał ten sam kunigas, któremu wczoraj wodę podawała. Zsiadł z konia i wszedł cicho.

Na plecach miał burkę niedźwiedzią, na piersiach złotą blachę. W ręku trzymał hełm.

— Widymuntowa córko — mówi kunigas — pusto w trockim mym zamku, pójdź, księżną a żoną mą zostań.

Załamała dłonie dziewczyna.

— Wajdelotką jestem — szepnęła — nie wolno mi stąd iść. Praurima gniewać się będzie.

— Idźcie stąd panie! Perkunas grom rzucić może...

Ale on już ją wpół złapał, burką otulił i na konia wskoczył.

— Wielka Dejwa — mówi — przebaczy, dwunastu Niemców jej dam na ofiarę. Nie płacz, dziewczyno.

I pognał jak wicher. Ziemia dudni pod kopytami konia. Biruta woła na pomoc ojca i braci, ale głosu jej nikt nie słyszy.

Była w mocy najśmielszego kunigasa.

Wiózł ją do zamku swego i słodkiemi słowy uspakajał, że bogi mu ją dali, by samotny nie był.

. . . .

Z dalekiej swej wyprawy wracał Olgierd do Wilna. Spieszno mu było, aż o Cherson się oparł, gnając tatarskich chanów. Takich bogactw jak tam, nigdy jeszcze litewskie oko nie widziało.

Cudne kobierce w kwiaty krasne szyte, złote rozstruchany, drogie materje, naszyjniki z korali i pereł, wszystko to oko nęciło. To też okup duży kazał dać sobie kunigas Litwy, drużynę hojnie obdarzył. A najpiękniejsze dary wiózł żonie, księżnej Juliannie, co na zamku wileńskim małe dziatki chowała.

Piękną była księżna i mądrą. Dobra żona, jak Olgierd ziemią, tak ona domem rządziła, dzielna gospodyni domu o świcie już wstawała, ładu wszędzie pilnując, i w izbie dziecinnej i w czeladnej świetlicy, gdzie pełno dziewcząt pod jej okiem przędło cienkie nici lub tkało płótna i tkaniny, szyło bogate szaty srebrem i złotem. Starsi synowie Olgierda z pierwszej żony już na własnych stolicach zasiadali, lub z ojcem szli na wyprawy. Na wileńskim zamku, pod okiem matki chowali się młodsi i córki. Księżna Julianna czułą opieką otaczała całą gromadkę. Sprowadzono z za morza nauczycieli i jak przystało na wielkich książąt, kształcono ich pilnie. Księżniczki zaprawiono do robót i pracy odpowiedniej kobiecie.

U zwodzonego mostu na Wilji, stanął kniaź Olgierd i w róg uderzył. Raz, drugi i trzeci.

Otworzyły się żelazne wrota, spuszczono most, a kunigas spojrzał do góry. Na wałach wysokiego zamku nie było nikogo. Spochmurniało oblicze pana.

— Księżna? — spytał krótko starego smerdę co straż nad zamczyskiem trzymał.

— Zdrowa i radosna, kunigasie wielki, małżonka twa gościa nowego przyjmuje — brzmiała odpowiedź.

Olgierd spojrzał bystro.

— Kunigas nowy nam zawitał. Olgierdowy ród nie zaginie — rzekł z poufałością stary sługa.

Kunigas już nie pytał. W żelaznym hełmie, w szubie i zbroi po schodach gnał.

U progu świetlicy spotkała go żona.

Na ręku trzymała niemowlę.

— Pozdrowiony bądź kniaziu Litwy — rzekła, pochylając się nisko. — Syn twój pokłon ci daje.

Olgierd porwał oboje w objęcia.

— Najmilszy to mój synaczek będzie — mówił. — On tu kiedyś w Wilnie zasiądzie na stolcu, on kunigasem Litwy zostanie! Nazwę go Jagajeł, on będzie Jegiu (zwycięzca) co wszystkich zmoże.

Weszli do świetlicy. Olgierd przyglądał się niemowlęciu. Chłopak był silny, smagławy, na porośniętej bujnym czarnym włosem głowie dzieciny kunigas złożył dłoń.

— Jegiu mój, gdy starego ojca nie stanie, ty rządy dzierżyć będziesz i Litwę potężną uczynisz.

Pachole, które zwykle przy księciu było, stało przy drzwiach. Olgierd posłał je, by tu dary dla księżnej znoszono.

Założono też całą izbę dywanami, szubami drogiemi i złocistemi szatami. Sznur korali, jak krew czerwonych i drugi białych pereł zawiązał sam Juliannie na szyi. A gdy rozradowana dziękowała mu, rzekł:

— Cóż znaczą te drobnostki wobec twego daru, sześciu mam już synów, a ten chyba syn twój najmilszym mi będzie.

W tem dano znak że Krewe-Krewejte przybył i w pilnej sprawie chce widzieć kunigasa.

Stary siwobrody starzec pokłon dał panu.

— Ze złą wieścią przybywam — mówił cichym drżącym głosem — skargę zanoszę na kunigasa trockiego.

— Na brata mego — zapytał Olgierd, a surowa twarz jego spochmurniała. — Cóż on wam zawinił?

— Bogom zniewagę uczynił. Od ołtarza wielkiej Praurimy porwał dziewicę poświęconą.

— Wajdelotkę na zamku swym ma. Bogi mię tu wysyłają do ciebie, kunigasie wielki, ty bratu każ, niech wajdelotkę odda, a bogom ofiary złoży i przebłaga ich. Jam Perkunasa sługa i on mię tu posyła. Źle się w Litwie dzieje, gdy ci co dzierżą władzę, bogów nie szanują. Perkunas grom rzuci i winny padnie. Biada mu!

— Nie groź — zawołał Olgierd — nie rzucaj przekleństw na tego, co piersią swą bogów osłania.

Starzec już nic nie rzekł i zasępiony wyszedł z zamku.

. . . .

Na trockim zamku cicho płynęło życie. Nie było tu ani przepychu, ani bogactwa, jakiem jaśniał zamek wileński. Z okien zamkowych patrzał Kiejstut na zieloną wodę swego jeziora, co dokoła otaczała zbudowane na wyspie zamczysko. Wzniósł je ojciec Gedymin, a budowali jeńcy krzyżaccy. Dumni Niemcy, idąc z wyprawą na Litwę, zabrali ze sobą powrozy trokami zwane, by nimi kunigasa i Litwinów wiązać. Za to Gedymin zamek wzniesiony niemieckiemi rękami, Trokami nazwał. A potem młodszemu synowi darował.

Wiosną w maju pełno tu było w kniejach krzakach słowików i kunigas rad ich śpiewu słuchał. Dziś jednak milszy śpiew rozlegał się w wysokich komnatach zamkowych.

Wajdelotka Biruta uwierzyła słowom kunigasa, co od ognia świętego ją porwał.

— Bogów wolą było, by żoną jego, a księżną trocką została. Nie u Praurimy ołtarza, lecz tu w zamku, na jeziorze ognia świętego strzedz miała.

I żoną została Kiejstuta. A w żadnym zamku, na dworze żadnego kunigasa nie czczono tak starych bogów, jak tu. I mowa i obyczaj litewski tu był. Biruta wianek ruciany zdjęła z głowy, bo już syna dwuletniego miała. Witołd z ojcem na Niemców wybierał się wciąż z wyprawą. Kiejstut drewniany mieczyk synowi wystrugał, chłopczyna biegał z nim po zamkowem podwórzu i gdzie tylko ujrzał pokrzywę lub zły chwast, rzucał się nań i ciął zawzięcie.

— Co tak ścinasz to ziele? — zapytał raz stary Jawnutis dzieciaka.

— To Niemiec zły, — odparł Witołd, — ojcaszek mówił, że te chwasty, jak Niemcy ziemię litewską zabierają i za to je ścinam.

Ale chwastów było dużo, a mały wojak słabe miał nóżki, zamachnął się raz, drugi i stała się rzecz straszna, zatoczył się i wpadł w same pokrzywy. Stary smerda skoczył go dobywać. Poparzył się chłopak mocno, łzy nabiegły mu do oczu. Zacisnął jednak tylko zęby, a potem rzekł do Jawnutisa:

— Teraz i ja mam rany takie, jak ojcaszek, gdy z Niemcami wojował.

I dalejże znowu ścinać chwasty. A starzy słudzy patrząc na tę zawziętość chłopczyny, mówili:

— Nie zaginie Litwa, gdy bogi Birucie takiego syna dali.

Księżna trocka i w ubiorze chowała dawny obyczaj. Szat drogich zamorskich nie wkładała nigdy. I dziś, jak wtedy, gdy wajdelotką była, w płótnie własnej roboty chodziła. Na głowie jako żona i matka nosiła biały zawój, a na szyi naszyjniki z bursztynu.

Na skórze niedźwiedziej przy ognisku leżał Kiejstut; syn bawił się obok niego, a Biruta śpiewała do snu malutkiej córeczce Danucie, gdy wbiegł sługa i oznajmił, że kunigas wielki Olgierd u mostu zwodzonego stoi. Do brata w gościnę przybywa. Porwał się Kiejstut i żywo zbiegł ze schodów, a właśnie brat starszy wjeżdżał w podwórze, kunigas trocki za strzemię konia pochwycił i bratu zejść pomógł.

Weszli do świetlicy. Kiejstut radosny, a Olgierd chmurny.

— Bracie — rzekł, gdy za stołem na ławie usiedli. — Krewe-Krewejte ze skargą na ciebie był u mnie. Żąda, byś wajdelotkę bogom oddał. Praurima tego chce, znieważyłeś bogi.

Rozśmiały się oczy trockiego kunigasa.

— Chodź — rzekł, biorąc brata za rękę — i zobacz. Biruta nie wajdelotką, lecz żoną mą jest, matką moich dzieci.

I pchnął drzwi świetlicy, gdzie Biruta z dziećmi siedziała.

— Sam Perkunas mi ją dał — mówił, kładąc dłoń na ramieniu żony. — On mi kazał wziąć drogę na Połogę. On mi ją na drodze postawił. Praurimie dary posłałem. Poślę i Krewemu, przebłagam bogi. A zresztą — dodał, podnosząc syna z ziemi — gdyby bogi klątwę na mnie rzucały nie dałyby mi mego Witołda. Patrz, to obrońca Litwy.

Jasnowłosy chłopak ręce do stryja wyciągnął za szyję go ułapił.

— Obaj mamy synów — rzekł miękko Olgierd — ty Witołda, ja Jagiełłę, rosną obrońcy ziemi.

— Garbie Perkunasowi za to — powiedział Kiejstut. — A Krewe niech mi da spokój. Życie moje, krew, daję Litwie i bogom. Zapłaty za to żadnej nie żądam, władzy, bogactw Kiejstut nie chciwy. Niechże mu jego niewiastę zostawią. To jedno moje szczęście i tych dziatek drobnych dwoje.

I Olgierd zabył gróźb kapłana. Noc zeszła na

serdecznej braterskiej rozmowie, wyjeżdżając rano kunigas wielki rzekł do brata i bratowej:

— Jak my z Kiejstutem, tak się niech potem Witołd z Jagiełłą kochają.

— I razem Litwy strzegą — dokończył Kiejstut.

III.

Przeszło lat kilka.

Na obszernym dziedzińcu wileńskiego zamku, tuż koło brzegów Wilii, bawiło się troje chłopiąt. Dzień był jasny, pogodny, słońce grzało u góry, a puszcza czarna szumiała dokoła. Na Turzej górze stał zamek Gedymina i górował ponad tym grodem całym, co u nóg jego legł pokornie. — Poniżej od zamku w dolinie Swentoroga, nad Wilią wznosiło się nowe Romowe siedziba Krewe-Krewejty. — Tam płonął wieczny Znicz, bogom litewskim poświęcony. Tuż obok zamku, połączona jakby kurytarzem z nim, była cerkiew ruska. Tu małżonka Olgierdowa, wielka księżna Julianna przychodziła ze swemi kobietami modlić się do Chrystusa i Jego Matki. Księżna była chrześcijanką obrządku greckiego, dzieci jej jednak w pogaństwie rosły. Bolało to pobożną matkę, ale próżno błagała męża, by pozwolił im poznać prawdziwego Boga. Powolny zawsze żonie Olgierd, nieubłaganym tu był. Do cerkwi córkom pozwalał iść z matką, synom wstęp tam był wzbroniony. Matka mogła tylko w zamkniętej świetlicy mówić im o Bogu.

— Więcej uczynić nie mogę, niewiasto, — mówił kunigas do błagającej go żony. — Czuję to, idą inne czasy. Krzyż zetrze Perkunasa. Może już żaden syn mój Znicza palić Prauzimasowi nie będzie. Dla szczęścia Litwy, dla dobra ziemi tej stanie się to może kiedyś, dziś jednak niepodobna. Powstaliby kapłani, Krewe ludby na nas zburzył. A z tego mieliby tylko korzyść „Białe płaszcze". Nie czas jeszcze, nie. —

I kunigas miał słuszność. Podczas jednej z jego wypraw, mnich księżny Nestor, zaczął, korzystając z nieobecności kunigasa, nawracać na wiarę świętą starszyznę zamkową. Rychło dowiedzieli się o tem kapłani. Powstał lud wołając, że bogom urągają, że Litwę gubią i w niewolę obcym ją oddają. — Zmuszano trzech Litwinów, którzy wiarę chrześcijańską przyjęli, by Perkunasowi ofiary złożyli, gdy tego uczynić nie chcieli zamordowano wszystkich trzech. Olgierd, potężny władca Litwy i Rusi, przed którym drżał chan tatarski w Krymie, ustąpić musiał przed Krewe-Krewejtą.

I księżna już się potem nie opierała. W tajemnicy tylko, zamknięta w świetlicy swej z dziećmi mówiła im o wielkim Bogu chrześcijan.

Oprócz cerkwi księżny, stał już w Wilnie kościół Najświętszej Panny Maryi, zbudowany przez Franciszkanów, co z Polski tu przyszli.

Na wieże cerkiewne i kościelne, na krzyże, co się wznosiły nad litewską ziemią, niechętnie patrzyli wajdeloci, Wiara prawdziwa jednak, jak słońca promień przenikała coraz to bardziej przez ciemne

puszcze Litwy. I księżna matka żyła nadzieją, że synowie jej pogaństwo porzucą.

Na dziedzińcu zamkowym gwarno było. Trzech tylko chłopaków bawiło się tu, ale hałasu robili dużo.

Przywódcą był Witołd, Kiejstutów syn. Ojcowie pragnęli, by się chłopcy ze sobą kochali i Kiejstut syna często do Wilna posyłał. Starszy trochę od Jagiełły, żywszy i śmielszy Kiejstutowicz rej tu wodził.

— Szańce budować — wołał po litewsku.

Bawiono się bowiem, jak na rycerzyków przystało, w wojnę.

— Kamienie noś — zwrócił się do stojącego obok niego chłopca. — A nuże.

— A czemu ty sam tego nie robisz? — zapytał ten z głupowatą miną, nie ruszając się wcale.

— Jam kunigas ponas — zawołał Witołd — a ty rab, niewolnik. Twoja rzecz słuchać.

— Ja będę nosił — odezwał się drobny, smagławy chopczyk — chodź Wojdyłło ze mną,

— Ani się waż — krzyczał, podnosząc drewniany mieczyk Witołd. — Ty masz stać tu. Dowódcą jesteś zamku. Ja kunigasem, a on — mówił wskazując ręką na tamtego — niewolnikiem. On ma nosić kamienie, budować szańce.

— Ani mi się śni — zawołał Wojdyłło. — Wy będziecie dowodzić, a ja wciąż mam słuchać, dlaczegoż to?

— Dobrze — rzekł Jagiełło. — Ja będę nosił kamienie, a ty bądź dowódcą.

I podał mu swą maczugę drewnianą, która władzy miała być dowodem.

— Jakto — zawołał Witołd — ty będziesz niewolnikiem... nie on?

— Wojdyłło jest moim druhem — odrzekł Jagiełło. — Dlaczego ty zawsze chcesz go mieć sługą, niewolnikiem.

— A bo on nie rab? — odparł Witołd — przecie i ty i ja synami kunigasów jesteśmy, a ojciec jego tylko prosty Rusin, przecie czołem przed wielkim kunigasem bije i pokłony mu daje, to i Wojdyłło sługą tylko być może.

— No, dalej — wołał — do roboty — i pochwycił w rękę proporzec. — Widzicie tam, ot tam, jak Niemcy idą. O Białe płaszcze, ileż ich jest. Naprzód Litwa. Żemajtys niech idzie z nami. Sypać gruzy na wroga.

I usiadłszy na drewniany kij wywijał mieczykiem, potrząsał proporcem i gonił w kółko.

Jagiełło również nie próżnował, rzucał kamieniami i piaskiem w prawo, w lewo na niewidzialnego wroga. Piszczał przytem przeraźliwie, chcąc krzykiem swym Niemców odstraszyć.

Wojdyłło oparty na kiju, stał z boku i drwiąc śmiał się z Witołda.

— Jak kogut lata, woła, krzyczy i wojska udaje, — mówił — bo prócz piołunu i pokrzywy żadnego tu wroga niema, a gdyby się jaki Niemiec pokazał, tożby dopiero zmykał. Piętami by się zaraz nakrył, ha, ha, ha.

Witołd rzucił się na Rusina.

— Jak śmiesz — zawołał — jak smiesz tak mówić na mnie, ty niewolniku! Jabym miał się bać Niemca. Choćby ich stu tu przyszło, to syn Kiejstuta poradziłby z niemi. A ty z kunigasa swego nie drwij.

I chociaż mniejszy i drobniejszy od dużego rosłego chłopaka, wpadł nań, zaciskając pięści.

— O teraz to będzie wojna prawdziwa, — śmiał się Jagiełło.

A tamci walczyli zawzięcie. Drobniejszy Litwin zgrabniejszym był za to w ruchach i ciężki Wojdyłło poradzić sobie z nim długo nie mógł, w końcu jednak zwyciężyła siła. Mały kunigas padł na ziemię, a tamten złapał go za gardło.

— A to co? Cóż to za zuchwalec śmie bić mi syna — zagrzmiał nad nimi głos i silna dłoń ujęła płócienny kołnierz Wojdyłły.

Witołd podniósł się z ziemi cały w piasku, podrapany i pobity. Oczy mu pałały gniewem. Wstydził się swej porażki.

Kiejstut rzucił chłopcem na ziemię.

— Niech raz zobaczę, że rękę podnosisz na książęcą dziecko — rzekł — to zginiesz w lochu. Do psiarni ci niewolniku!

Poszedł ku krużgankowi. Witołd i Jagiełło odbiegli. Wojdyłło został jeden tylko w podwórzu, widząc, że kunigas odszedł, pokazał odchodzącemu język i grożąc pięścią, mruczał:

— Odpłacę ja wam za to kunigasy trockie. Do psiarni pójdzie niewolnik, ale kunigas może trafi do lochu! Poczekajcie!

Szczęściem nikt tych pogróżek bezsilnego chłopca nie słyszał, inaczej oćwiczonoby go. Wieczorem tylko zrobił Kiejstut zarzut bratu, że z niewolników dziećmi chowa swego syna.

— Małoż młodych bajorasów jest w litewskich grodach, pocóż obcy i to jeszcze lichego rodu chłopak.

— Zapominasz, bracie — rzekł Olgierd — że rodzic nasz, wielki Gedymin wszystkie narody łączył pod swą opieką. Wszystkim zarówno był ojcem. Dlaczegóż nie mam iść w jego ślady. Wszak i Jagiełły matka z Rusi tu przyszła.

— Tak — rzekł porywczy Kiejstut — i mowę i obyczaj wniosła ruski.

— Kiejstutis — miękko uspokajał starszy. — Na zachód my nie pójdziemy. Białe płaszcze nie puszczą nas. Ale Ruś naszą być musi. Należy więc nam i jej zwyczaje brać. Łacniej potem zbliżymy się z tamtym ludem.

W pracy i walkach szybko płynęły lata. A kunigas trocki życia w próżniactwie nie marnował. Krzyżacy zresztą nie dawali mu gnuśnieć w domu. Jedne po drugiej szły wyprawy niemieckie na Litwę i Żmudź i Kiejstut prawie, że zbroi nie zdejmował ze siebie. A dziatwa rosła. Jasnowłosej Danuty nie było już na trockim zamku. Swaty po nią przysłał książę Mazowsza Janusz, a choć dziewczątko było młode, choć matka płakała i prosiła, by jej z domu i do obcych nie dawać, Kiejstut swatów przyjął i Danuta ochrzczona jako Anna, została żoną księcia Janusza.

— Taki to los dziewek — mówił Kiejstut — i zmienić go nie można. Chłopak krew swą i życie daje własnej ziemi, sprawiedliwem jest, by i dziewka coś dla tejże ziemi robiła. Tak uczynił ojciec nasz Gedymin, gdy Aldonę słał do Polski, tak i ja czynię. Danuta, jak i siostra nasza, wroga Litwy zamieni w wiernego druha.

I Biruta ustąpić musiała.

Nie długo po weselu młodej pary Kiejstut z Olgierdem wybrali się na łowy. W puszczach litewskich żyła wielka moc zwierza wszelkiego a obaj bracia myśliwcami byli zawołanymi. Liczna drużyna była z książętami na łowach. Dwa tygodnie szły łowy, nabito zwierza co niemiara, gdy raz świtem zadudniało coś w puszczy.

Porwali się Litwini. Obcy byli w puszczy. Olgierd pacholęciu, co przy nim było zawsze, kazał wleźć na wysoką jodłę.

— Wejdź tam na szczyt sam, Gerdo — mówił przezorny zawsze kunigas — i sokolem okiem rozejrzyj się dokoła.

Jak młody ryś skoczył chłopak ku drzewu i w jednej chwili już był na wierzchołku. Zaraz też rozległ się krzyk puszczyka.

— Niemcy w puszczy! — zawołał Kiejstut i na konia wskoczył. — Musimy przebić się przez wroga, bo siła tego będzie, skoro Gerdo wciąż woła. Nie podołamy im z taką garścią.

Gerdo z jodły zeskoczył i stał przy koniu Olgierda.

— Kunigas pones — wołał — chmara ich tu przyszła, idą ze wszech stron.

Rozpoczęła się bitwa. Nierówne były siły, bo Krzyżaków było trzy razy więcej. Zwiedzieli się oni o łowach książęcych i urządzili wyprawę. Strach ogarniał Litwinów, nie przygotowani do walki, nie mieli nawet dostatecznej i odpowiedniej broni. Daremnie Kiejstut do walki zagrzewał, daremno sam walczył za trzech.

Litwini padali zabici lub brano ich w niewolę.

— Kniaziu Kiejstucie — zawołał olbrzymi rycerz, zbliżając się do miotającego się na wszystkie strony kunigasa — wyzywam cię na rękę.

— Wyzwanie przyjmuję — odrzekł Litwin i natarł na olbrzyma z całej siły. Ale ten siedział jak przykuty na swym ogromnym koniu. Uderzenie jednak było tak silne, że kunigas trocki zachwiał się na siodle, skorzystał z tego Niemiec i drzewcem włóczni odparł cios. Kiejstut padł z konia. Zawyła radośnie tłuszcza, obstąpiono w jednej chwili leżącego Kiejstuta.

Porwał się z ziemi wprawdzie, ale był bezbronny, padając bowiem wypuścił z rąk miecz swój.

Rzucił się ku pomocy bratu Olgierd, biegli i inni, Niemcy stanęli ławą.

I ani sposobu nie było odbicia go z ich rąk. Zarzucono mu powrozy na nogi i ręce i obezwładniono zupełnie. Bili się Litwini jeszcze jakiś czas, w końcu Olgierd widząc że nie podoła, przerżnął się przez szeregi wrogów i znikł w głębi puszczy ciemnej.

Ranny, skrępowany Kiejstut wieziony był szybko do Malborga.

Niemcy cieszyli się jeńcem swym ogromnie. Obawiali się pogoni, pościgu Olgierda, więc bez wytchnienia pędzili.

Radość ogarnęła Białe płaszcze. Bito w dzwony, w całem państwie odprawiano dziękczynne nabożeństwa.

Dowódca oddziału, Henryk z Kregnifeldu przedmiotem był czci wszystkich rycerzy.

— Największa głowa pogańskiej hydry — mówił wielki mistrz Winrych von Kniprode — w naszej jest obecnie mocy. Pan pogrążył niewiernych.

Otaczano jednak kunigasa należytym mu szacunkiem.

Ściany więzienne pokryto bogatymi kobiercami, jadło przynoszono mu ze stołu wielkiego mistrza. Ale czemże to było dla dzielnego obrońcy Litwy wobec niewoli i troski o Litwę? Jak zwierz dziki szamotał się w więzieniu. Nie jadł, nie spał wcale, słowa jednego nie przemówił do nikogo.

A jednak dwóch rycerzy niemieckich nie wychodziło z jego komnaty. Towarzystwa mieli mu niby dotrzymywać, w gruncie rzeczy pilnowali go by nie umknął. Nocą zasuwano rygle, u drzwi stawiano straże.

W ślad za Krzyżakami wiozącymi jeńca, przybyło poselstwo od Olgierda.

Wielki kunigas okup ogromny dawał za brata, obiecywał uwolnić wszystkich Niemców, jacy w niewoli litewskiej byli. Wielki mistrz posłów uprzejmie

przyjął, zaprosił ich na ucztę, ale wydania Kiejstuta odmówił.

— Za miłego brata winien mi dać Olgierd — mówił — połowę przynajmniej Litwy, nie zaś szuby i bursztyn. — Wstyd to księciu wymienionym być za prostych knechtów. Wracajcie z tą odpowiedzią do Wilna, a zapewnijcie kunigasa swego, że Kiejstut zdrów i na niczem mu tu nie zbywa.

Poselstwo odjechało.

Olgierd najchętniej zebrałby ludu moc i orężem szedłby brata odbijać, rozważny jednak zawsze bał się by wtedy Niemcy przez zemstę nie zamordowali Kiejstuta.

Słał więc drugie poselstwo.

Ale wszystko napróżno. Mistrz jeńca uwolnić nie chciał.

Doniesiono wielkiemu mistrzowi, że więzień nic nie je, do nikogo słowa nie mówi, że z każdym dniem słabszy.

Winrych von Kniprode zafrasował się, wcale nie życzył sobie, by mówiono, iż kunigasa litewskiego zamordował w więzieniu. Nie rycerska to rzecz. A zresztą pragnął Zakon, by on żył, bo za żyjącego Olgierd w końcu da okup sowity. Może Żmudź całą, może nawet i więcej. Niechby ci Litwini na wschód szli. A tu ziemie oddali Zakonowi, potem i tamby się do nich poszło. Ale teraz co za chwała dla Krzyżowców.

— Gdyby słowo wymódz na tym żbiku litewskim — poganin ci on, ale rycerskie słowo dla niego święte. Gdyby raz je dał, możnaby go pu-

ścić. A śmierć Kiejstuta w więzieniu. To nowa wojna dla Zakonu.

Tak myślał wielki mistrz, aż w dłonie klasnął i ulubieńca swego Adolfa wołać do siebie kazał.

Przed laty, podczas wypraw wojennych, dziecko małe porwali Krzyżacy. Gdy łup oglądano już na miejscu w Malborgu, Winrych spostrzegł chłopca. Podobał mu się i na dwór swój go zabrał.

Chłopak był zdolny, pojętny i wielki mistrz przywiązał się do Litwina. Adolf również do opiekuna swego przylgnął, dziecinne serce jego potrzebowało kochać, więc się do Niemca przywiązał i sługą mu był wiernym, o Litwie, jej bogach zapomniał. — Mowę tylko ojczystą znał.

Wieczorem tegoż dnia kunigas trocki leżał na łożu. Słaby był. Obezwładniła go niewola, mowa niemiecka i twarze rycerzy, co stąd przed chwilą wyszli, do rozpaczy doprowadzały. Wszak on tu siedzi miesiące już całe. A ratunek nie przychodzi? Nie wie nawet, czy brat, miły Olgierd żyje. — Żadnej wieści ze świata.

Niemcy przecie prawdy mu nie powiedzą.

Zazgrzytały rygle, ciężkie drzwi otworzyły się, do więziennej izby wszedł ktoś!

— Kunigas ponas — przemówił obcy, stawiając kaganek na stole — jadło wam świeże przyniosłem. Głos był miękki, cichy, mowa śpiewna, ojczysta.

Kiejstut w jednej chwili był na nogach.

— Ktoś ty? — zapytał, chwytając tamtego za ramię — ktoś jest?

— Sługa Chrystusa i wielkiego mistrza, Adolf —

odrzekł obcy — pan mój mnie do was z wieczerzą przysyła.

— A więc obcy! — jeknął Kiejstut i dłoń opadła mu.

— Chciejcie spocząć, panie — mówił znowu Adolf — i posilić się nieco, źle tak siły swe niszczyć. Gdy ciało osłabnie i duch mdłoście ogarną. I mówiąc to, podsunął mu dzban z miodem i misę z jadłem.

Ale Kiejstut o jadle nie myślał, obudziła go z bezwładu mowa ojczysta. Wziął kaganek i przysunął go do twarzy Adolfa, uważnie się weń wpatrując.

— Słuchaj — rzekł — tyś chyba nie Niemiec? włosy masz jasne i wzrok dziecka litewskiego.

Chłopak ramionami wzruszył.

— Ani ojca, ani matki nie znam — rzekł — wielki mistrz mi wszystkiem. On sierotę przygarnął, on dobrym dla mnie jest.

— Tak — ponuro rzucił Kiejstut — porwał szczenię od matki, by potem ono tę rodzoną macierz zdławiło. Mądry zaiste jest twój pan i opiekun! Jadło zabierz, precz mi stąd! Samemu umrzeć pozwólcie.

Ale tamten nie ruszał się.

A kunigas chodził dużymi krokami po więziennej izbie.

— Czego tu stoisz? — zapytał w końcu — nie słyszałeś, com rzekł. Precz stąd!

— Ponas — rzekł, pochylając się do nóg jego chłopak — nie wyganiajcie mię. Nakłońcie łaska-

wie do mnie ucha, pozwólcie rzec mi słowo — prosił miękko, serdecznie.

I Kiejstut który miesiące całe nie słyszał mowy litewskiej, a stęskniony był do niej, jak dziecko do matki, ręką skinął.

Chłopak rozniecił ogień w kominie.

Kunigas burkę swą przed ogień rzucił i wyciągnął się na niej. U nóg jego siadł Adolf i cichym szeptem mówić począł o dobroci Zakonu, łaskawości wielkiego mistrza.

— Rycerz to przecie wielki, potężny. Na jedno słowo jego, Ojciec święty liczne wojska przysłać może, ze wszech stron świata monarchowie przyjdą mu z pomocą. Ale on walki nie pragnie, on chciałby żyć w zgodzie ze wszystkiemi, a tylko wiarę świętą krzewić i Chrystusowi dusze ludzkie zdobywać. Największem szczęściem byłoby dla niego, wielkiego mistrza, pozyskanie dla wiary świętej tak potężnego kunigasa, jak Kiejstut. Rozlewem krwi, wojną, mordem, brzydzi się Winrych von Kniprode. Walczy z Litwą bo bronić się musi.

Tak długo w noc mówił chłopak litewski kunigasowi. A tamten leżał i słuchał.

Nagle Adolf podniósł głowę i baczniej spojrzał w twarz Kiejstuta. Zadrżał.

Z przymkniętych oczu kunigasa trockiego po zoranej troską twarzy, płynęły łzy. Byłżeby dziki Litwin tak wzruszony jego słowy?

Chłopak podniósł się i cicho wysunął z więzienia.

Dźwignął się Kiejstut z ziemi i ręce wzniósł w górę.

— Perkunasie potężny — szepnął — kędyż jest moc twa? gdzie gromy, które ciskasz na nędznych? Tyś Bóg nasz, tyś ojciec, a Niemiec ci dzieci wykrada, kłamstwem i obłudą zatruwa ich dusze! A ty milczysz?... Lecz, drżyjcie Niemcy, bo Kiejstut jeszcze żyje!

Nazajutrz spostrzeżono zmianę w więźniu, zażądał sam jadła. Z rycerzami, którzy do niego jak zazwyczaj przyszli, rozmawiał uprzejmie, śmiał się i żartował.

Wieczorem przyszedł Adolf i kunigas przyjął go znowu łaskawie, przy ogniu obaj usiedli.

I tak płynęły dnie w więzieniu malborskiem.

Mistrz ręce zacierał.

Ale teraz Kiejstut opowiadał, a chłopak słuchał.

— Tak — mówił raz nocą Kiejstut do chłopaka — przyszli oni tu z dalekich stron, ziemi własnej nie mieli, więc na pruską wleźli. Mordowali Prusaków strasznie. Lata całe w krwi ich kąpali się. Nie przepuszczano niewiastom i dzieciom. Za nóżki brano niemowlęta i główki ich rozbijano o mury, o drzewa w puszczy. Gdy Prusów nie stało, poszli dalej, na litewską ziemię nastając, naród nasz tak samo jak tamten mordują. I ty wierzysz im? Mówisz mi o dobroci ich Boga, co śmierć sam za ludzi poniósł, mówisz o Matce Jego, co matką i opiekunką jest wszystkich sierót. Mówisz, że oni tego Boga kochają. Bajki wierutne, bajki to, którymi otumaniły cię Białe płaszcze. Nie byłeś nigdy na żadnej wyprawie niemieckiej, nie widziałeś, jak oni męczą, jak mordują, bezbronny lud, to

i wierzyrz tym bajdom. Pójdź i zobacz, a wtedy sam poznasz, że Niemiec ani w swego Chrystusa, ani w Matkę Jego nie wierzy. Ziemi naszej pragnie on, a nie tego, byśmy w krzyż uwierzyli. Ochrzcił się i Mindowe i ojciec nasz Gedymin chciał przyjąć chrzest, ale mnichom to potrzebnem nie było.

Tak długo nocą mówił nieraz Kiejstut, a wychowanek wielkiego mistrza słuchał go chciwie.

Aż raz pod płaszczem Alf, jak go litewskiem mianem zwał kunigas, przyniósł tasak żelazny. Odsłonięto kobierce, którymi ściany były przykryte i rozpoczęła się robota.

Alf wypadkiem wiedział, która ściana, była słabszą. Pracowali usilnie obaj.

Nad ranem zakrywano otwór kobiercami. Kiejstut padał znużony na łoże, a Alf pod ubraniem wynosił gruzy.

I znowu szły dnie, ale już teraz Kiejstut bezwładny na łożu, nie leżał. Rozmawiał wesoło z rycerzami, pytał ich o wiarę chrześcijańską i mistrz wierzyć poczynał, że hart litewskiej duszy łamie się. Jeszcze chwila, a padnie do nóg Zakonowi i Litwę mu da.

Pewnego wieczoru, po dłuższej niż zazwyczaj rozmowie, wyszli od więźnia rycerze, a zaledwo za nimi zawarły się drzwi, gdy wpadł Alf.

Blady był, oczy mu się tylko iskrzyły.

— Czas — rzekł — w drogę nam, noc ciemna zapada, burza idzie, pora najlepsza.

I z pod płaszcza wydobył ubranie dla Kiejstuta.

Płaszcz komtura z czarnym krzyżem.

Kunigas nie namyślał się, w jednej chwili już był przebrany. Spuścił przyłbicę na twarz, hełm już poprzednio był przyniesiony, płaszcz zakrył go całego.

— Wielki mistrzu — zawołał Litwin. — Czemuż mię ujrzeć nie możesz, teraz uradowałaby się twa dusza.

— Na Boga wielkiego panie, bądźcie cicho — szepnął Alf. — Uśpiłem wprawdzie strażnika, lecz o nieszczęście nie trudno.

Mówiąc to odsłonił otwór w ścianie.

Wypełzli obaj na więzienne podwórze. I czołgając się doszli do miejsca, gdzie pod murem stały dwa konie.

Najlepsze rumaki ze stajni w. mistrza.

Noc czarna pokrywała ziemię dokoła. O dwa kroki nic widzieć nie można było, Alf jednak znał drogę i on prowadził, za nim zawinięty w płaszcz z przyłbicą opuszczoną na twarz jechał Kiejstut.

— Kto idzie? — zawołały straże u bram. Alf hasło rzucił i za chwilę byli już za murami.

Ognista błyskawica rozdarła ciemności nocne i jednocześnie padł grom.

— Perkunie ojcze — zawołał Kiejstut — nie bij w Litwina, ale bij w Niemca psa rudego! — Było to zaklęcie, zwykłe Litwinom.

Gnali z wichrem noc całą, o świtaniu byli już daleko od Malborga.

— Spocząć trzeba — rzekł Alf, konie znużone, a i dniem niebezpiecznie tak jechać.

Zeskoczyli z koni i weszli w głąb puszczy

ciemnej. Tu już kunigas objął rządy. Obeznany z kniejami, wiedział gdzie najlepiej wynaleźć schronisko. Po burzy nocnej dzień wstawał jasny, słoneczny. Jesień to była, ale ciepła i pogodna.

— Wielki mistrz już tam chyba wie, że mu Kiejstut chłopca i konie porwał — mówił wyciągając się na miękkiej trawie kunigas. Chciałbym widzieć owo przebudzenie.

— Może już i pościg wysłany za nami — rzekł Alf — kto wie, czy nie należałoby umykać. Ale Kiejstut głową potrząsnął.

— Niepodobna, musimy nocy czekać, dniem łatwiej o biedę. Tyle dni, tyle miesięcy trzymali mię Niemcy w niewoli — mówił dalej — wszak dopiero drzewa puszczały, gdyśmy z bratem na łowy jechali, a oto dziś już liść z drzewa opadł. O zapłacicie mi za to Niemcy!

Jesienne dnie krótkie są, to też po kilkugodzinnym wypoczynku ruszono w drogę.

Jechano puszczą ciemną, aż naraz na zakręcie, stanął przed zbiegami konny rycerz. Skryć się już niepodobna było, w ciemności wśród drzew nie dojrzeli go bowiem wprzód. Kiejstut więc śmiało zwrócił się ku niemu.

Widząc biały płaszcz, nieznajomy ściągnął cugle koniowi.

— Pozdrowiony bądź, dostojny panie — mówił usuwając się z drogi.

— Pan niech prowadzi cię, miły bracie — odrzekł spokojnie po niemiecku kunigas trocki, a patrząc w twarz rycerza zapytał:

— Wszak do Malborga spieszycie?

— Tak — odrzekł zagadnięty — jadę z granic ziemi naszej, wielkiemu mistrzowi wiozę wieści o poganach.

— Czy Litwa ruszyła się? — pytał Kiejstut.

— Wylewy nie dozwalają pogańskiej tłuszczy ruszyć się w obecnej porze — odpowiedział rycerz — szpiegi nasze zapowiadają wielką wyprawę z Wilna, skoro błota zamarzną. Olgierd sam się po brata wybiera.

— Nowina to ważna, mój bracie — rzekł Kiejstut — spiesz z nią co sił do Malborga. A gdy tam przybędziesz, pozdrowienie braterskie złóż odemnie walecznemu Winrychowi von Kniprode. I nam w drogę pora.

Mówiąc to spiął konia i zanim tamten się obejrzał ci już byli daleko.

Tak w końcu dotarto do miasta Liebstadtu. Tu Alf zdumiał się. Kunigas trocki kazał mu wyszukać człowieka, któryby konie wielkiemu mistrzowi do Malborga odprowadził.

— Niech nikt nie mówi — rzekł — że Kiejstut po cudzą rzecz rękę wyciągnął.

— Lecz cóż bez koni poczniemy — pytał Alf. Wszak droga daleka.

— Pieszo nam iść będzie bezpieczniej, musimy przedzierać się przez bagna i rojsty, konie nam będą tylko ciężarem. Odeszlemy je i płaszcz ten mistrzowi.

I Alf musiał spełnić rozkaz.

Szli odtąd pieszo, a coraz to uciążliwszą mieli

drogę. Zapasów wziętych przez Alfa z Malborga już nie było, a i do grodów wstępować niebezpiecznie było, Niemcy wszędzie już rozesłali pogoń.

W niedostępnych więc gąszczach, w błotach nieprzebytych, całe dnie siedzieli nieraz, a nocą szli.

Naraz drogę znaleźli zamkniętą. Przyszli nad rzekę i ani rusz dostać się na drugą stronę nie mogli.

Alf chciał iść szukać jakiejś chałupy, gdzieby łódź dostać można było.

Ale kunigas trocki potrząsnął głową.

— Na toż uszli z niewoli, przebyli tyle, by oto na ostatku wpaść w niemieckie ręce. Wszak tu pewno już knechty gdzieś się kryją.

— A więc czekajmy — mówił chłopak — aż się rybak jaki ukaże.

Zeszli nad Drwęcę, tak się zwała ta rzeka i wśród zarośli ukryli się.

Zimno przenikało ich do kości, dzień był chmurny, mżył drobny deszcz.

Alf czuł jak ogarnia go senność, a siły opuszczają. Usypiał.

Naraz Kiejstut chwycił go za ramię.

— Niemcy idą — wołał — słyszę tętent.

— Uciekajmy — zawołał Alf.

— Tak, ale w wodę — krzyknął Kiejstut — ona nas jedna ocali.

I rzucając zbroję, w jednej chwili był już w rzece. Alf bez namysłu poszedł za jego przykładem. Szczęściem rzeka choć głęboka, szeroką nie była.

Gdy Niemcy nadbiegli, miecze tylko na brzegu znaleźli. Zbiegi już byli bezpieczni.

Kiejstut stał na Mazowieckiej ziemi.

Tegoż jeszcze wieczoru Danuta ze łzami radości witała ojca.

Nie poznała go na razie, gdy obdarty, bosy, w podartej zabłoconej odzieży stanął przed nią.

W parę tygodni potem goniec z Trok do Malborga jechał. Niemiec to był, dawny jeniec Kiejstuta. Słał go kunigas z podziękowaniem do wielkiego mistrza i rycerzy, co go tak gościnnie w Malborgu przyjmowali.

— W odwiedziny do was — pisał — wybieramy się niedługo z podziękowaniem za gościnę — a gdy Perkunas, którego potęgę ocenić możecie, i wielka Lietua, którego z was dostojni panowie w ręce me dadzą, wierzcie, że również gościnnie podejmować was będę w ubogim mym grodzie. Mury jednak litewskie nie wypuszczą tak łatwo dostojnych gości.

Niedługo za posłem, przybył i sam kunigas do Niemców. Spadł jak piorun na potężny gród niemiecki Johannisburg i w perzynę go zamienił. Niemcy poszli w dyby. Potem jak wicher gnali Litwini dalej i znowu gród Eckersberg zdobyli. Jeńców do Litwy wysłał Kiejstut, a sam szedł dalej. Ale i Krzyżacy już się zebrali, przyszło do bitwy. Kunigas padł z konia, niemiecki miecz ciął go w rękę. Nie zważając na ból skoczył na pień drzewa i bronił się zawzięcie. Ogromny Niemiec zamierzył się weń.

— Przestań — zawołał Kunigas — jam Kiejstut, puść mnie, a złoto dostaniesz.

Tamten zaśmiał się dziko.

— Złota twego nie chcę, panowie moi dadzą mi więcej w jednej godzinie, niż ty przez całe swe życie. — I znowu miecz podniósł.

Ale już Kiejstut siedział na koniu, którego mu podał jakiś młodzieńczyk litewski. Uchodzili co sił, przebijając się przez knechtów.

Nagle młodzieńczyk jęknął i zachwiał się na siodle. Kiejstut skoczył mu z pomocą i mieczem go od razów niemieckich zasłonił.

— Kunigas ponas uciekaj, zostaw mnie — wołał tamten.

— Kiejstut dziecka litewskiego nie rzuci — odparł, nacierając na Niemców, ale było ich tak wielu, że otoczono go i rozbrojono w jednej chwili.

I znowu więzienie. — Ale tym razem nie długo trwało. Pewnego ranka, gdy straż przyniosła jadło, więźnia w celi nie znalazła. Kto, kiedy i jak wyprowadził go poza mury grodu, nikt powiedzieć nie umiał.

— Czarownik to chyba — mówili Krzyżacy. — A straż poszła do ciemnicy.

III.

Z potężnem wojskiem z całego świata zebranem ciągnęli Krzyżacy na Żmudź. Sam Winrych von Kniprode, wielki mistrz, prowadził.

— Na świętego Jerzego, patrona rycerzy — mówił dumny Niemiec — przysięgam, że zetnę łeb pogańskiej hydrze. Nie ujdzie mi już więcej zdradziecki ów pies — tak Kiejstuta zwał — choćbym sam miał go dniem i nocą pilnować.

Marszałek Schindenkopf, zacięty wróg Litwy rozśmiał się na te słowa.

— I pocóż tyle zachodu robić z jednym poganinem — rzekł — skoro w ręce nasze wpadnie, ochrzcić go krwią własną i spokój będzie. Gdy Kiejstuta nie stanie, Olgierd na Ruś się wybierze.

Tak mówili Niemcy idąc z wyprawą. A pewn byli zwycięstwa. Szpiegi dali im znać, że w Kownie nie Kiejstut, lecz syn jego Wojdat siedzi na zamku, przynieśli też wieść o grubości murów grodu i o ilości wojowników, zamkniętych w nim.

— Choć żywności mają poddostatkiem i broni i zapasów wszelkich również nie brak im — mówili — jednak napadu nie przeczuwają i łatwo ich będzie ubiec.

I wielki mistrz nakazał ścisłą tajemnicę. Wszedłszy w kraje litewskie, Niemcy ogniem i mieczem pustoszyli je dokoła, nie przepuszczając kobietom i dzieciom, by głos żaden do Wilna lub Trok nie zaleciał. Szli więc drogą, zalaną krwią żmudzką. Wielki mistrz rozdzielił swe wojska na dwie części, jedna płynęła po Niemnie statkami, łodziami i wicinami, druga szła lądem.

Ale Wojdat dowiedział się już o nieprzyjaciołach.

Niemcy znaleźli bramy Kowna zamknięte, a za-

łogę na wałach. Mówiono że z Litwy ciągną posiłki, że obaj kunigasi idą swoim ku pomocy.

— Wstydem i hańbą będzie dla nas — zawołał odebrawszy tę wieść Winrych von Kniprode, jeżeli tego kurnika nie zdobędziemy.

Rozpoczęło się oblężenie. Ciężkiem jednak ono było, bo Wojdat dzielnym był wodzem, a Litwini bronili się umiejętnie. Pięć tygodni trwała walka. Niemcy ogromnemi machinami i drewnianemi wieżami bili w mury. Ale ile razy zrobili wyłom, znajdywali nowy mur na drodze. Witano ich piaskiem, kamieniami, wodą wrzącą i smołą. Mistrz kazał wznieść ogromną wieżę, by z jej szczytu do środka grodu dostać się. Ale Wojdat domyślił się poco budują rusztowanie i z murów zamkowych kazał w nie ciskać ogromne kłody i niedopuścił wystawienia wieży.

— Zginiemy tu wszyscy jak w Pillenech — mówili Litwini — ale Niemcy nas do niewoli nie wezmą.

Wojdat odsieczy od ojca i Olgierda czekał.

Przybyli obaj, ale garść tylko drużyny mieli ze sobą. Czasu nie mieli dość, by lud cały zebrać. Niepodobna było rozpoczynać bitwy. Niemcy zabezpieczyli się ze wszech stron od napaści. Przegrana Litwy była pewną. Wieża stawała za wieżą, tarany i kusze biły dniem i nocą w mury Kowna, aż po pięciotygodniowym szturmie, w samą Wielką Sobotę wywalono w jednym miejscu mur. Z krzykiem radości rzucili się Niemcy do wyłomu. Wstrzymała ich niespodziana przeszkoda. Zbici w je-

dną gromadę, mąż oparty o męża, stali Litwini, jak żywa ściana na ich drodze. Tarczami zakrywając się, rzucali pociski na idących. Musiał się Schindenkopf cofnąć. Przejście było ciasne, niepodobna przebijać się przez tych, co je bronili. Odwołał swych żołdaków. Na to czekali tylko Litwini. W jednej chwili drzewem, gruzem i kamieniami zasypano otwór. Ale Niemcy ciskać poczęli zapalonymi żagwiami, podpalać ściany ze wszech stron.

Zapłonął gród cały. A z wnętrza jego popłynęła pieśń, pogrzebowa rauda litewska. Śpiewała ją załoga, śpiewał lud cały. Nikt do niewoli iść nie chciał. Do ojców spieszyli wszyscy.

Z łoskotem padały ściany warowni, a wśród ognia i dymu obrońcy Litwy, czarni, osmoleni, krwią zlani walczyli z wrogiem, śpiewając pieśni swe. Wpadli Niemcy w końcu do grodu i rozpoczęła się rzeź straszna. Z kilkutysięcznej ludności zostało tylko trzydziestu ludzi wraz z Wojdatem, którego oskoczono ze wszech stron i podstępem wzięto w niewolę.

Po strasznej krwawej nocy wstał dzień jasny. Słońce oświetliło zalaną krwią ziemię, rumowisko starego grodu i dymiące się zgliszcza wielkiego stosu, na którym płonęli Litwini. Na strasznych tych gruzach rozległa się teraz pieśń radosna:

„Chrystus Zmartwychwstał“.

a kończono ją słowy:

„Weselmy się, — poganie w utrapieniu
Kyrie elejson“.

Był to bowiem dzień Zmartwychwstania Chrystusa.

Opodal od dymiących się gruzów Kowieńskich na wzgórzu ponad Niemnem, stali dwaj mężowie litewscy.

Stali tak noc całą, patrząc bezsilni na straszną walkę, słysząc jęki mordowanych, raudę litewską, a w końcu pieśń Niemców.

Zestarzeli się przez tę jedną noc, pochylili się ku ziemi, a po zoranych troską twarzach płynęły łzy bólu i rozpaczy.

A w zwycięskim obozie grały trąby, burzono resztę murów, równano je z ziemią, poczem Niemcy pociągnęli z powrotem.

. . . .

Straszna klęska rzuciła popłoch na całą Litwę. Lud ukrył się w kniejach, ustały śpiewy, umilkły radosne śmiechy. Kiejstut jeden nie tracił ducha i wciąż kraj osłaniał, już teraz z synem Witołdem, bronił granic ziemi, albo walcząc z wrogiem, lub wznosząc szańce, urządzając drużynę na wzór wojsk innych krajów.

W zamku wileńskim chodził chmurny Olgierd, nie zwierzał się on nikomu, ale snuł dumy czarne. Cóż pomoże waleczność i niestrudzona pracą Kiejstuta? co mądrość i rozwaga jego, wielkiego księcia? Jedna Litwa przeciw wszystkim nie podoła. Padną bogi stare, krzyż potężniejszy jest od nich. Ale gdybyż i to Litwę ocaliło? Prusy przecie wiarę niemiecką przyjęli, a gdzież oni teraz? Wymordował ich Niemiec, a ci którzy pozostali czemże są? Naj-

gorszymi wrogami pokrewnej Litwy, zbójcami i szpiegami. Nie mogąc życia im odjąć straszny wróg, zabił w nich duszę wolną. Takiż los czeka Litwę? — myślał nieraz w noc ciemną Olgierd.

A tymczasem wieść o klęsce kowieńskiej rozeszła się po świecie i ze wszech stron pokorni dotąd sąsiedzi urągać Litwie poczęli i marzyć o zagarnięciu jej ziemi.

Moskiewski kniaź Dymitr, jesienią przysłał posłów do Wilna. Stanęli oni przed siwym kunigasem i śmiało rzekli te słowa:

— Kniaziu Litwy, w gościnę się do was nasz kniaź Dymitr wybiera. A zanim tu stanie podarki przysyła. Oto miecz od niego, krzemień i krzesiwo. Na wiosnę, na Wielkanoc przyjdziemy do was. Czerwone jaja tu święcić będziemy. Ognie zapalim tu święte, te wasze — i mieczy my ostrych spróbujem na Litwy już szyi.

Zawrzała krew w sercu Olgierda, zbudził się lew.

Więc i ten zniewagę mu w oczy już ciska. — Na Perkuna brodę tego już zawiele! Nie pokazał jednak po sobie nic, na bajorasów skinął by milczeli i biorąc z rąk posła przysłane dary rzekł:

— Idźcie, pozdrowienie zanieście swemu księciu. Za miecz i krzesiwo dzięki mu złóżcie. Lecz niech się nie trudzi do ubogiej mej ziemi. Sam przyjdę do Moskwy i jajo czerwone w darze mu przyniosę.

To mówiąc skinął ręką na znak, że posłuchanie skończone.

Zajaśniały niedługo wici. Rozbiegli się kapłani po czarnych puszczach litewskich i lud mnogi zwołano do Wilna. Kunigas z wyprawą kędyś szedł. Gdzie, kiedy i na kogo, wiedział tylko stary Spudo, co drużynę wiódł, Olgierd i Perkunas chyba trzeci. Pociągnęła Litwa daleko przez stepy, ku bogatemu Krymowi. Pustoszono ziemie, po drodze brano jeńców i bogaty okup. O powrocie już myślano, bo wiosna była za pasem. Nagle kunigas drogę zmienił i na wschód powiódł drużynę.

W Moskwie, w zamku swym Kremlu, modlił się książę Dymitr. Gotowano się właśnie z wyprawą na Litwę. Wojska dopiero ściągać poczęły. Do modlącego się Dymitra przypadł przerażony stary sługa. Drżał cały i słowa wymówić nie mógł, ręką tylko ku otwartym drzwiom cerkwi wskazywał.

Zrozumiał wielki książę, że musiało zajść coś niezwykłego i z świątyni wybiegł.

Pod murami Moskwy stała Litwa. Siła jej była niezwykła. Powiewały chorągwie litewskie, gwar mowy ludzkiej słychać aż tu było. Jeszcze chwila, a już tu będą.

— Drużyna nasza kędyż jest? — zapytał drżąc wielki kniaź.

— Odcięta od Moskwy — jęknął jeden z bojarów. W mocy wroga jesteśmy.

Wtem od wrót zamkowych dano znak, z zieloną gałęzią jechał poseł litewski. Ujrzawszy wielkiego kniazia z konia zsiadł i wchodząc na krużganek zamkowy rzekł:

— Wielki kniaziu Dymitrze Iwanowiczu, oto

kniaź Litwy, Olgierd, dary ci twe zwraca. Miecz i krzesiwo. A z czerwonem jajem czeka cię w namiocie swym. Pójdź a pokłon mu złóż, inaczej on przyjdzie, ale już z litewskim mieczem.

I oddawszy dary poseł zawrócił ku swoim.

Trzy dni i trzy noce leżał obozem pod Moskwą kunigas litewski, aż czwartego o zaraniu dano mu znać, że wielki książę przyjeżdża.

W namiocie na stolcu wysokim siedział Olgierd i gościa czekał. Przed nim na srebrnej tacy pacholę jaja czerwone trzymało. Wszedł wielki kniaź Dymitr Iwanowicz i zaraz od progu na ziemię padł i pokłon kunigasowi dał, a nogę jego ucałował.

— Wielki kniaziu Moskwy Dymitrze Iwanowiczu — rzekł podnosząc go Olgierd — nie najeżdżałem ja twej ziemi i wrogiem ci być nie chciałem. Myślałeś, że Litwa już ginie i miecz i krzesiwo słałeś mi w darze. Odniosłem ci oboje. Kraju twego mieczem i ogniem dotąd nie niszczyłem. Przyszedłem tu tylko, by ci jajo czerwone podać i zapytać — wrogiemże, czy druhem chcesz ty Olgierdowi być?

Wielki kniaź już o wojnie nie myślał, rad był, że na tym się wszystko skończy. Dary więc wielkie złożył, na wszelkie warunki Olgierda pokornie się godząc. Zatrzymał go kunigas na ucztę u siebie. Trzy dni trwała ona. Czwartego Litwa do odwrotu zbierała się i Olgierd żegnał wielkiego kniazia. Konie już czekały osiodłane.

— Wielki kniaziu — mówił kunigas — Dymitrze Iwanowiczu, podałem ci rękę przyjazną,

u mego stołu jadłeś i piłeś, od Moskwy jednak odejść nie mogę, aż spełnię me słowo i skruszę kopię o bramy twej stolicy. A to niech się stanie ku pamięci dzieci i wnuków naszych, iż wielki kniaź litewski, żmudzki i ruski skruszył kopię o mury Moskwy.

Mówiąc to wskoczył na konia i razem z Dymitrem pojechał ku Moskwie. Gdy już byli w pobliżu stolicy, siwowłosy kunigas wziął włócznię i pędem wypuścił konia ku wrotom. Włócznia strzaskała się na kawałki, wtedy litewski rycerz zwrócił się do jadącego za nim wielkiego kniazia.

— Pomnij kniaziu — powiedział — że włócznia litewska strzaskała się o mury Moskwy.

Spiął konia z powrotem, a za nim poszła Litwa.

Góra, na której pokłon złożył Dymitr Iwanowicz Olgierdowi zwie się odtąd Pokłonną.

Była to niemal ostatnia wyprawa Olgierda. Jeszcze raz wprawdzie wybrał się na Moskwę i szczęśliwie z nią wojował, odbywał wyprawy zwycięskie z Kiejstutem do Polski, ale wszystko to nie rozchmurzało już czoła starego pana. Coraz jaśniej rozumiał, że mimo wszystko zakon zniszczy Litwę. I mężna dusza jego pogodzić się z tem nie mogła. Walki szukał i nowych ziem pożądał, by władzę Litwy rozszerzyć, to też o nowej wyprawie na Polskę zamyślał.

IV.

Walczyli ze sobą często z różnem szczęściem Litwini z Polakami.

Świeżą jeszcze w pamięci ludu polskiego była wyprawa Kiejstuta, która niszcząc i paląc kraj, aż do Krakowa doszła i łupów i bogactw wszelakich zebrali wówczas sporo Litwini.

Teraz znowu stary kunigas ziemie polskie chciał najechać i granice Litwy rozszerzyć. Pora była odpowiednią, bo Polska po śmierci mądrego zięcia Gedymina, Kazimierza Wielkiego, nie miała żadnej obrony. Ludwik, król węgierski, nie wiele dbał o nią, niezgody i kłótnie mniejszych książąt osłabiały kraj i tem łacniej było oderwać od niej niektóre ziemie.

Ale Krzyżacy uprzedzili starego kunigasa. Zapłonęły łuny od zachodu. Znak niemylny, że wróg najechał Litwę.

Gońce wybiegli ze stołecznego Wilna, na bój zwołując kunigasów, wierny druh, brat ukochany Kiejstut, pierwszy z Trok przybieżał.

Czas był wielki. Nawała krzyżacka zbliżała się do stolicy, niszcząc wszystko po drodze. Do pomocy Krzyżaków szedł Ludwik węgierski z Polakami, którzy zemstą pałali ku Litwie, za świeżo spustoszoną przez Kiejstuta Małopolskę.

Litwa sił nie miała. Witołd zbierał kędyś wojsko, a tu już wróg stał pod Wilnem.

Wszczął się bój straszny, Kiejstut walczył po dawnemu, nie szczędząc sił. Olgierd z okien zam-

kowych walkę śledził. Na konia siąść sił nie miał.

Stał wsparty na pacholęciu i patrzył, jak żelazne szeregi białych płaszczy gniotły zaszytych w skóry Litwinów, jak ich gnały, tratowały konie niemieckie; jak psów chwytano na smyczę bajorasów litewskich. Gdziekolwiek błysnął biały płaszcz, tam zaraz płynęła potokami czerwona krew. Tam ludzie padali na ziemię rąbani potężnymi, niemieckimi mieczami.

Stał w oknie stary kunigas i ból srogi zalewał mu serce.

— Perkunasie, boże przedwieczny — szeptały jego starcze wargi — czemuś mi dał dożyć tej chwili i moc dłoni mej odebrał? Czemu jak ojcu Gedyminowi nie posłałeś mi śmierci kędyś w bitwie?

W sąsiedniej świetlicy płakała żona, księżna Julianna.

Nagle straszny krzyk przeszył powietrze, a jednocześnie czerwony blask pożogi zalał ściany książęcej komnaty.

— Gore! gore! — wołano na ulicach Wilna.

Olgierd oczy zasłonił.

— Czyżby koniec to był? — szepnął.

Do komnaty wpadł kurzem i krwią okryty Kiejstut. Siwe włosy jego zwichrzone były, oczy pałały niezwykłym blaskiem, odzież całą miał kunigas w strzępach.

— Kiejstutis! — zakrzyknął kunigas wileński — ty tu?

— Tak — odparł młodszy brat — przyszedłem umrzeć z tobą. — Za chwilę Krzyżacy tu będą.

W tejże chwili drugiemi drzwiami do świetlicy wpadła księżna z kobietami.

— Kniaziu — wołała padając do nóg mężowi — Wilno się pali, ty broń, ty ratuj!

Olgierd głowę podniósł.

— Chorągiew wywiesić białą! — zawołał. — Układy zrobimy z Zakonem.

Kiejstut spojrzał zdumiony.

— Układy — powtórzył uszom własnym nie wierząc — z Zakonem? I to ty?

— Ja — spokojnie odrzekł Olgierd — zapomniał brat mój, iż jedna chwila stanowi nieraz o losach ludzkich.

— Gore! gore! Niemcy w grodzie! — rozlegały się wołania pod oknem zamkowem, a klęcząca u nóg kunigasa wołała drżąc cała wielka księżna Julianna:

— Kniaziu Litwy, koniec nam wszystkim przychodzi, ratunek jedyny w ręku twym! A uznaj moc krzyża Olgierdzie, dzieci swe ratuj!

— Chorągiew białą wywiesić! powtórzył Olgierd. — Kiejstut wyszedł rozkaz brata starszego wypełnić.

Nie wierzył jednak, by Zakon układy przyjął, wszak już ma gród, a z nim i Litwę w ręku. Cóż im po układach? Godniej by było zginąć jak Margier w płonącym grodzie, niż iść w troki.

Ale brat strarszy wiedział co czyni. Ustała walka. Zakon na układy przystał. Wielki mistrz,

marszałek i starsi komturzy na ucztę wybrali się do Olgierdowego zamku.

Po ulicach Wilna płynęły jeszcze potoki krwi litewskiej i krzyżackiej, dymiły zgliszcza domostw, gdy na zamku kunigas przyjmował Niemców.

Po raz to pierwszy Krzyżacy zdobyli stolicę Litwy i poraz pierwszy siedzieli za stołem Olgierda.

Zastawiono stoły przeróżnem jadłem. Niemcy pili piwo, miody litewskie i słodkie zamorskie wina. Kunigas miał przed sobą dzban z wodą źródlaną.

Zazwyczaj poważny i małomówny dziś bardziej niż kiedy był milczącym. Kiejstut, który się nigdy długo trapić nie umiał, a Niemców znał o wiele lepiej niż brat, gospodarzem tu był prawdziwym. On gości zapraszał, ugaszczał i biesiadę ożywiał.

Rycerski i śmiały w bitwach Kiejstut w domu przy ucztach wesołym i gościnnym był zawsze i teraz gdy walka ustała i w świetlicy zasiedli wespół z Niemcami, przyjmował wszystkich uprzejmie a dla niektórych był nawet serdecznym, cenił bowiem rycerzy, wśród gości był i miły mu zawsze komtur Kuno de Liebstein, przyjaciel dawny i chrzestny ojciec Danuty.

Krążyły więc rogi i puhary dokoła stołu, a po uczcie wileńskiej wybrali się Krzyżacy w odwiedziny do Trok.

I tu miasto leżało w gruzach, ocalał tylko zamek na jeziorze, gdzie dla Krzyżaków ucztę wyprawił kunigas trocki.

Pomysł Olgierda okazał się dobrym. Krzyżacy zawarli zawieszenie broni, obiecali w powrocie po

drodze nie niszczyć litewskiej ziemi i z tem zawrócili do Malborga.

Nie przewidzieli tylko jednego. Witołda nie było w Wilnie i Trokach na ucztach. Na pierwszą wieść o krzyżackim napadzie rzucił się zbierać wojsko i teraz, gdy Niemcy wracali, napadł na nich i klęskę im srogą zadał.

Rozproszeni, spieszyli do Malborga, by nową wyprawę na Litwę gotować.

A w Wilnie tymczasem legł na śmiertelnem łożu wielki kunigas. Zmogła go ostatnia klęska, a może bardziej jeszcze niż klęska, gościna, którą dać musiał Krzyżakom. Przy umierającym czuwali, brat Kiejstut i żona Julianna.

Nigdy księżna nie lubiała trockiego kunigasa. Ten ukochany Olgierdów brat, nieznośnym jej był. Gdyby nie on, gdyby nie jego wpływ, kto wie, czy dziś Olgierd nie byłby już chrześcijaninem. Dzwony ruskie śpiewałyby nad Litwą pieśń radosną, a pogaństwu byłby raz koniec.

Tak myślała Olgierdowa żona, a i Kiejstut miłem okiem nie patrzył na księżnę.

Synów chowała po rusku, ruski obyczaj i mowę szerzyła na zamku, słudzy jej rusinami byli. Wszystko to drażniło gorącego Litwina, co wiarę i obyczaj stary szanował.

Najbardziej zaś ze wszystkich, Kiejstut niecierpiał Wojdyłły, tego samego Wojdyłły, który dzieckiem będąc z psiarni książęcej przybiegał bawić się z Jagiełłą.

Dziś był to bojar wielki, serdeczny przyjaciel Jagiełły.

Na łożu leżał kunigas Litwy i na płaczącą żonę spoglądał.

Kochał ją i szanował jako matkę swych dzieci. Dobrą i wierną mu żoną była zawsze i teraz żal jej wzruszał serce starego pana.

— Nie płacz niewiasto — szepnął umierający i zlekka położył rękę na głowie klęczącej — odchodzę do ojców, wołają mnie już moi. I ojciec Gedymin i stary Witenas i najstarszy ze wszystkich praojciec Wajdewutis. Olgierdowa wybiła godzina. Widzę ich, wołają na łowy, iść trzeba z nimi, już czas.

Księżna wybuchnęła głośnym płaczem.

— Kniaziu Litwy — szepnęła — zaliż tak odejdziesz nas, zaliż w długie noce nie uprosiłam Boga, by ci swą łaskę objawił? Mężu mój, Olgierdzie, usłuchaj żony, co ci przyjacielem wiernym była, pozwól niech pobożna ręka mnicha ruskiego namaści twe czoło, znak krzyża zrobi nad tobą.

Chory niechętnie poruszał się na łożu.

— Przestań — szepnął — ojcowie wołają mnie Nie odstąpię ich.

W tej chwili do świetlicy wszedł Kiejstut. Julianna niechętnie spojrzała na niego, a wstając od łoża szepnęła.

— O synach swych pomnij kniaziu. Wszak Jegu obiecywałeś Wilno zostawić.

— Odejdź — szepnął kunigas — zostaw nas samych.

Odeszła niechętnie, a gdy się drzwi za nią zawarły Olgierd zwrócił się do brata.

— Na Anafielas czekają mnie ojce — rzekł — myślałem kiedyś, że padnę w polu, jak Gedymin, a ot zwaliła mię niemoc. Kiejstucie, gdy odejdę ty ojcem dzieciom moim bądź. Bracie! krzywdy nie daj im czynić.

— Synami mi będą — odrzekł brat młodszy — na dzielnicach swych niech siedzą, a Litwy bronią to jedno.

— Wilno Jagielle radbym dał — szepnął umierający — on zrósł się z grodem tym.

— I niech zostanie bracie — spokojnie mówił Kiejstut — niech ten syn twój najmilszy kunigasem wielkim będzie, pokłon dam mu pierwszy, ja i dzieci moje. Nam Troki wystarczą. Byle moc, byle siła była, by Litwy bronić póki tchu starczy. A gdy Kiejstut do ojców na łowy pójdzie, Witołd z Jagiełłą, osłaniać będą tak Litwę, jak myśmy ją z tobą bracie osłaniali. Sokoły to młode.

— Kiejstutis — miękko szepnął brat starszy — więc Wilno Jagielle?

— Tak — i na Perkunasa brodę przysięgam, że go stąd nie ruszę, chybabym z wrogiem się łączył, Niemcom Litwę oddawał...

Biały świt jasnego dnia zajrzał do świetlicy zamkowej, gdzie na łożu smiertelnem leżał kunigas Litwy.

Kapłani stos pogrzebowy budowali, żałobnicy śpiewali żałosne raudy.

Kiejstut bratu wyprawiał pogański pogrzeb, a za-

mknięta w swej zamkowej kaplicy modliła się, płacząc przed krzyżem Julianna.

V.

Gorzał stos wielki w puszczy Kokiwejstos, gdzie ongi za zwierzem dzikim uganiał się Olgierd.

Śpiewały stare litewskie jodły pogrzebową raudę kunigasowi swemu. Tyle razy on u podnóża ich leżał znużony i dumy snuł i oto przyszedł tu znowu i jak na ognistym tronie, zasiadł na płonącym stosie. A jak na wielkiego kunigasa przystało, przywdział szaty bogate. Kaftan miał na sobie perłami i przedziwnymi klejnotami przetykany, pas złotolity, szubę książęcą, purpurą krytą, a na siwych włosach czapę książęcą. Łuk i strzały trzymał w ręku. Szedł kunigas na łowy do ojców, więc razem z nim gorzał na stosie ulubiony biały koń, druh serdeczny i psy na smyczy.

Na Anafielas szli razem, a kapłani chodząc dokoła stosu do wtóru jodłom żałosne raudy śpiewali.

Na wileńskim zamku szła stypa, a przy stole siedział nowy kunigas Litwy, Jagiełło. Starzy wojownicy ze zdumieniem patrzyli na to.

— Jakto więc nie najstarszy i najdzielniejszy w rodzie? nie ten co lata całe ochraniał Litwę od wrogów, nie Kiejstut ma tu rządzić, lecz młokos jeszcze, — Jagiełło?

Dziwili się temu nawet wysłańcy niemieccy. Kiejstut uśmiechnął się tylko, gdy go zapytano dlaczego na stolcu książęcym nie zasiadł.

— Litwy bronić będę i wiary ojców strzedz równie dobrze z Trok, jak i z Wilna — odrzekł. Bratu Olgierdowi przyrzekłem, że jego syn najmilszy wielkim księciem po nim w Wilnie panować będzie. Kiejstut słowa nie łamie, chyba by Litwy miał bronić.

Tego się obawiać nie należy — dodał Witołd Kiejstutowicz — Jagiełło mym bratem, będziemy żyli ze sobą tak zgodnie, jak żył Olgierd z Kiejstutem.

A za krzesłem młodego księcia stał ukochany jego bojarzyn Wojdyłło, z pod oka patrzył na kunigasów trockich i uśmiechał się.

— Odpłacę ja wam teraz — myślał — ojże odpłacę, za niejedno kopnięcie. Zobaczycie jaką pamięć ma Wojdyłło.

W tej chwili wielki książę zwrócił się do niego z jakiemś pytaniem — ułożył więc twarz i pilnie słów Jagiełły słuchał.

I Kiejstut spojrzał w tamtą stronę i nieznacznie splunął na uroki. Zdało się staremu panu, że zły krąży dokoła wielkiego księcia.

Wieczorem do świetlicy młodego księcia przyszedł, jak zazwyczaj, Wojdyłło.

Jagiełło leżał na niedźwiedziej skórze, patrząc w ogień, zausznik położył się u nóg pana.

— No i co? cóż mi powiesz miły mój? — pytał sennym głosem książę.

Wojdyłło westchnął i milczał.

— Mów — rzekł Jagiełło — nie kryj nic...

— I znowu wierzyć mi pan mój nie będzie— począł Rusin — a jednak tak jest, jakem to już mówił. Kiejstut władzę w ręku swem dzierżyć

chce, starszyznę zbiera, z nią narady wiedzie, on tu pan, on książe.

— Przecie pierwszy pokłon mi dał — odrzekł Jagiełło — sam wielkim kunigasem mnie zwał i Olgierdową wolę ludowi obwieszczał.

— Słowom Kiejstuta ufać nie zawsze można, wszak Niemców on nawet nieraz i nie dwa w pole wyprowadził. Forteli ma dość; by czujność uśpić — mówił Wojdyłło.

— Ty starego kunigasa nie lubisz, — uśmiechał się Jagiełło — złość z ciebie przemawia, zaślepia cię ona.

Wojdyłło do nóg księciu przypadł.

— Ponas mój najmilejszy, ty coś mnie nieszczęsnego z ciemnicy na światło dzienne wywiódł nie odwracaj uszu twych od mowy mojej. Nie złość do kunigasa trockiego zaślepia mię, ale miłość dla ciebie ponas mój, każe mi mieć oczy na wszystko otwarte.

Jagiełło rękę rzucił na szyję rusina.

— Wojdyłło, druhu wierny, jakże ci za twą przyjaźń, za twe serce odwdzięczę się? Tyś mi milszy od rodzonych.

Wojdylle oczy zabłysły chciał coś rzec, gdy zaszeleściło u drzwi i do świetlicy książęcej weszła Jagiełłowa matka, księżna Julianna.

— Nie śpisz synu? — zapytała wchodząc — chciałam z tobą pomówić.

Porwał się Jagiełło, matkę bowiem serdecznie miłował i krzesło jej podsunął.

Wojdyłło pokłon księżnie dał i chciał świetlicę opuścić.

— Zostań — rzekła księżna. — Przyjacielem jesteś mojego Jegu, a wdowie i sierocie nigdy tego nie za wiele. Rada twa potrzebną być może.

Został więc Wojdyłło i pokornie stanął u drzwi, a Jagiełło u nóg matki na skórze niedźwiedziej siadł i głowę na jej kolanach złożył.

Przez uchylone okno blask księżyca wpadał do świetlicy, a od Wilii wiatr niósł miękki powiew nocy letniej.

— Jegu — pytała księżna — dlaczego Kiejstut został jeszcze na zamku, czemu wraz z Witołdem do Trok nie odjechał?

— Został tu, by się ze starszyzną naradzić, jak ziemię litewską bronić, czy iść z wyprawą na Polskę, jako to się rodzic mój Olgierd tam wybierał.

— A cóż jemu do rad i nakazów? on twego rozkazu słuchać winien — powiedziała księżna. — Tyś przecie wielkim księciem.

Syn poruszył się niechętnie.

— Olgierdów to brat — rzekł — i złego nie wyrządzi nam, starszyznę zna i sprawy Litwy lepiej niż kto. O obronie granic myśleć trzeba, wszak Krzyżaki wpaść tu mogą lada dzień.

— To twoja rzecz — odparła księżna — o tem myśleć, tyś Pan w Litwie. Dziad niech do Trok wraca i nakazu czeka.

— Nie sierdźcie się pani matko — uspakajał wielki książę — a Kiejstutowi krzywi nie bądźcie, wszak on władzy nie chciwy, gdy przed laty wygnał Jawnutę, to na stolcu książęcym ojca posadził,

choć sam rządy mógł dzierżyć, teraz ojcu przy śmierci obiecał, że mnie da Wilno, no i słowa dotrzymał...

— Bajesz jak dziecko — przerwała matka. — Toć że Olgierd najmądrzejszy, najdzielniejszy był z pośród synów Gedymina, gdyby mu Kiejstut rządów nie dał, wziąłby je sam. A ty poczekaj jeszcze, czy jak Jawnuta nocą stąd uciekać nie będziesz.

Wojdyłło pochylił się do nóg Jagiełły.

— Panie miłościwy, kniaziu wielki, zważcie ino na mądre słowa macierzy waszej. Zważcie i czuwajcie.

— Tak — mówiła księżna — czuwać należy i strzedz się. Straszniejszy może być od Niemca dla Jagiełły, Kiejstut. Patrz z czem tu przyszłam.

I wyjęła z zanadrza papier.

— Pisze mi tu najdostojniejszy mistrz krzyżacki, pisze i ostrzega wyraźnie.

— I ty matko wierzysz Niemcowi? — począł Jagiełło.

— Wierzę, boć że chrześcijaninami jesteśmy oboje i ja i wielki mistrz. Krzyżacy Litwy zniszczyć nie chcą, tylko nawrócić na świętą wiarę. Tego i ja pragnę najgoręcej. I gdyby nie Kiejstut, to Olgierd byłby chrześcijaninem i Litwa spokojną. To walka z pogaństwem, ze złym duchem, co Litwę dzierży w ciemności. Słuchaj, co pisze wielki mistrz.

I dobywszy ów list głośno odczytała:

— „Kiejstuta należy Waszej Książęcej miłości

strzedz się nadewszystko. Ten wściekły, jak pies człowiek, nie tylko przeciw chrześcijanom, lecz i przeciw Litwinom pełen jest przebiegłej złości. Codzień, jakeśmy was przestrzegali i jako słyszymy wzdycha do panowania nad Litwą i jakby mógł zdradzić waszego przesławnego syna i wydrzeć mu wszystkich poddanych i wszystkie zamki i posiąść państwo całe".*)

Księżna skończyła czytać i na syna spojrzała.

Jagiełło stał przy uchylonem oknie i zdawał się coś pilnie uchem łowić.

— Słysz — rzekł, zwracając się do Wojdyłły, słowiki nad Wilią koło doliny Swentoroga pieją, jak słodko...

— Jegu! — zawołała oburzona wielka księżna. — Jegu! Ty o słowiczych pieśniach bajesz, gdy ten chce ci władzę zagarnąć, czyś nie słyszał tego, com tu czytała?

— Słyszałem — odrzekł syn — ale nie sierdźcie się matko, toż Niemiec pisał tylko, a Niemiec jako pies łże.

— Chrześcijanami są i do chrześcijanki piszą — mówiła księżna — słowom ich wierzyć należy. bardziej niż temu dzikiemu, a chytremu poganinowi. Bacz synu, byś gorzko nie żałował, żeś ostrzeżeń macierzy nie słuchał.

Późno już było i Julianna odeszła do swych komnat, a Jagiełło znużony na łoże się rzucił.

---

*) Historyczne, podają ów list stare kroniki.

Usnąć jednak nie mógł, jad rzucony zręczną ręką matki, zatruł mu duszę i spokoju pozbawił.

— Czyżby stary stryj, wierny druh Olgierda, dybał na jego wolność i ziemię? — myślał, przewracając się z boku na bok.

Matka tak mówi, a ona mądrą jest, szanują ją swoi i obcy. Gdyby nie jej starania, może inny z synów Olgierda zasiadł by na stolcu książęcym, wszak byli starsi synowie z pierwszej żony.

Ale i Kiejstut do tego się przyczynił, wszak mógł odrazu rządy wziąć, wszakże je miał w ręku. A Litwę któż goręcej od niego bronił? I syn jego Witołd, na toby nie pozwolił, wszak brat to najlepszy, druch serdeczny...

Tak myślał w noc długo wielki książę Litwy.

VI.

Zaledwie ukończyła się stypa pogrzebowa, umilkły żałobne raudy żałobników i duch Olgierda poszedł do ojców na Anafielas, gdy znowu zapłonęły ze wszech stron kraju ogniste łuny.

Starsi synowie Olgierda niechętnie dali pokłon Jagielle, a najstarszy z nich wszystkich, Andrzej co w Połocku siedział, zły, że mu władzy nie dano, z moskiewskimi kniaziami się łączył i z nimi ojczystą ziemię najeżdżał. Wystąpił przeciw Andrzejowi Jagiełło i z Połocka i innych dzielnic wygnał go i Andrzej aż do Moskwy zbiegł, ale i Litwa spokoju nie miała, napad z tej strony groził wciąż.

A Krzyżacy kraj pustoszyli w pustynię go zamieniali, palono wsie, burzono grody, mordowano bezbronnych pastwiono się nad kobietami i dziećmi.

Krwią spłynęła Litwa, a zwłaszcza okolice leżące między Narwią i Bugiem. Bez boju ginął dzielny lud litewski, bo Krzyżak wolał rzeź, niż otwartą walkę i nocą najczęściej mordował śpiących.

Kiejstut gońców słał do Wilna, wzywając wielkiego księcia do wspólnej obrony. Jagiełło wymawiał się, twierdząc, że musi pilnować granic od strony Rusi.

I Kiejstut z synem tylko Witołdem pociągnął przeciw Krzyżakom.

Starzec to był, ale młodzieńczą miał śmiałość i odwagę, niósł więc Niemcom odwet srogi.

Silna warownia krzyżacka Instenburg zdobytą została po krótkiem oblężeniu.

Ogromny, straszny, jak zbój dziki komtur Surbach, który jak mówiono, krwią litewską przez lata całe się opijał, został litewskim jeńcem, a z nim co przedniejsi rycerze i moc knechtów.

Wieść o wzięciu Surbacha rozeszła się po Litwie. Do obozu Kiejstuta, przybieżali wysłańcy Krewego z żądaniem, by Niemca zakutego w zbroję na koniu żywcem spalić.

Wzdrygnął się pogański kunigas, on czcił i wierzył w Perkunasa, rad zabijał Niemców w boju, ale bezbronnego mordować okrutną śmiercią nie mógł.

— Bogi tak każą — mówił kapłan wysłannik Krewego – za mordy bezbronnych, za spalone

sioła, śmierć dzieci litewskich, taki musi mieć koniec ten biały płaszcz. Niech go pożre ogień, niech męki tysięcy pomordowanych męczarnię mu niosą w płomieniach — mówi potężny Perkunas.

I ludu zbiegła się moc.

— Na śmierć, w ogień niech idzie Krzyżak — wołano — za nasze łzy, za naszą krew, bogom niech idzie na ofiarę.

Skrępowany w lochu czekał śmierci Krzyżak. Słyszał wołanie ludu i rozumiał, że żadna moc nie jest w stanie go ocalić.

Stos ogromny budowano spiesznie.

— Zrobimy go tak wielkim — mówili Litwini, iż gdy się zapali, jasno się zrobi w Marjenburskim zamku. Niech wiedzą tam, Białe płaszcze, jako się pali ich komtur Perkunasowi na ofiarę, niech nie mówią, że bogów Litwa niema.

I budowano stos spiesznie, aż stanął ogromny i Niemców wyprowadzono z ciemnicy. Ustawiono ich w półkole. Wszyscy byli zakuci w dyby i mocno skrępowani.

— Myśmy patrzyli nieraz — mówił lud litewski — na wasze mordy i rzezie, teraz wy patrzcie jak potężnym jest Perkunas.

Gdy już wszyscy się zebrali wprowadzono rumaka niemieckiego, a na nim siedział zakuty cały w żelazną zbroję Surbach. Z ramion spływał mu biały płaszcz z czarnym krzyżem, a przyłbicę miał spuszczoną na twarz, tylko przez otwory w niej, świeciły jak wilcze ślepia, błyszczące jego źrenice.

— Na stos! na stos z nim. — wołano dokoła — a kapłani obstąpili jeńca ze wszech stron i pieśni ofiarne zaśpiewali.

Milczący i ponury stał wśród swych wojowników Kiejsut. Rycerskiej duszy jego wstrętną była ta ofiara. Wolałby był potykać się z Surbachem w otwartym boju, niż patrzeć na mękę jego w ogniu, na pastwienie się nad bezbronną ofiarą oszalałego z zemsty i rozpaczy tłumu.

Ale co począć? Walka z kapłanami ciężką była, mogli oni z łatwością odwrócić serce ludu od starego kunigasa, a wtedy co?

Bogi ustąpić nie chciały, daremno przez dwa dnie błagał Kiejstut kapłanów i okup suty obiecywał.

Ale kunigas trocki niewyczerpany był w fortelach. Z pod krzaczastych brwi błysnęły jego niebieskie oczy.

Do kapłanów przystąpił z czcią i pokorą.

— Garbie Pramżimasowi i wielkiej Lietui — rzekł — za ich to sprawą potężny wróg litewskiej ziemi stoi tu skrępowany przed wami. Garbie i wam, którzy jesteście ustami przedwiecznego,

— Garbie wielkiemu kunigasowi Litwy — rozległo się dokoła.

— Pozwólcież jednak — mówił Kiejstut — by zanim spełni się ofiara, sprawiedliwości stało się zadość. Niech przyjdą wróże i podadzą dwie ukryte kule, do wyboru jeńcowi. Biała obdarzy go życiem, czarna powiedzie na śmierć. — Wróżby uczyńmy.

Nie przeczył nikt, wróżby rzeczą były zwykłą na Litwie, czyniono je przy każdej sposobności.

Za chwilę podano jeńcowi na tarczy przykrytej czarną chustą dwie kule.

Odwiązano mu rękę, by mógł sam los swój rozstrzygnąć.

Chwilę wahał się Krzyżak, którą wybrać w końcu wyciągnął kulę.

Czarną była.

— Na stos, na stos! — wołano dokoła.

— By wróżby były sprawiedliwe, trzykrotne być muszą — zawołał Kiejstut. — Niech wybiera jeszcze

I tym razem Krzyżak śmierć wybrał.

Kiejstut kapłanom nie wierzył.

— Dajcie mi kule — zawołał — niech w ręku rycerza los wojownika rozstrzyga się.

Ale i to nie pomogło, Pramżimas pragnął dostać Niemca na ofiarę.

Kiejstut ustąpić nie chciał.

W jednej chwili wbiegł sam na stopnie stosu i zdejmując szyszak odsłonił siwą głowę.

— Ludu Litwy! — zawołał — patrz na mnie, oto od kołyski, w której mię matka niemowlę usypiała, jam do ostatniej chwili bronił cię ludu, piersiami mymi osłaniałem ziemię tę. Poznali moc oręża mego, wszyscy wrogowie Litwy, a najbardziej wyszczerbił się on na karkach krzyżackich.

Za krew, za trudy, niewolę nie żądałem nic nigdy dla siebie i dzieci moich. Innym oddawałem dostojeństwa, sobie zatrzymując tylko walkę o wolność twoją ludu i ziemi naszej.

Dziś poraz pierwszy ludu Litwy, staję przed tobą twój posiwiały w boju kunigas, ten co nigdy wiary bogom nie zdradził, ten co czcił kapłany twe i bogi i ich przed wrogiem ochraniał i prosi cię ludu, daruj życie temu oto jeńcowi. Niech stare oczy moje nie widzą męki bezbronnego, niech śmierć jego nie pada na siwe włosy moje.

Ludu Litwy, kunigasowi swemu nie odmów, siwą głowę moją chylę przed tobą i proszę, bądź głosem miłosiernych bogów! —

Głuchy pomruk poszedł wśród ludu na pierwsze słowa Kiejstuta, ale gdy spojrzano na jego drobną postać, gdy przypomniano sobie jego śmiałość, bohaterstwo, gdy pochyliła się nisko jego siwa głowa, jeden okrzyk rozległ się dokoła.

— Garbie, garbie Kiejstutowi, niech się stanie według woli jego.

Szemrali trochę kapłani, ale już więzy były rozcięte i Kiejstut dłoń wyciągnął do Surbacha.

— Wybacz nam komturze — mówił — tę chwilę męki, ale wojna ma swoje prawa, gościnę dziś przyjm u mnie, gościliście mnie parę razy w Malborgu, teraz ja się tobie wywdzięczyć rad będę.

I na ucztę prowadził Krzyżaka.

Ale ocalenie od śmierci Surbacha nie ugłaskało Krzyżaków. Coraz to z innej strony wpadali oni do Litwy niszcząc ją ogniem i mieczem.

Kryli się Litwini po puszczach i borach ciemnych, opustoszały grody i wsie i lud przemyśliwać począł, by ziemię swą rzucić, a iść kędyś za słońcem nowych sadyb szukać, kędyby Niemca nie było.

A Krzyżacy coraz to napady ponawiali, już szli na Kowno, gdy Kiejstut im drogę zabiegł.

Do bitwy nie stanął, widział moc krzyżacką i słabość swoich, białą więc chorągiew wywiesić kazał i o rozmowę prosił.

Zjechali się nad brzegiem rzeki Wilii, którą w te czasy Neris zwano. Kiejstut z marszałkiem zakonu Kunem von Hattenstein i nareszcie zawarli rozejm.

Po nim w lecie miano zawrzeć z Jagiełłą i Kiejstutem dłuższy pokój, o który prosił kunigas,

Jakoż latem zjechali komturzy i komandorzy krzyżaccy do Trok i tam z Kiejstutem i Jagiełłą pokój na całe lat 10 zawarli.

Pograniczne ziemie Litwy odetchnąć mogły nieco spokojniej, a Kiejstut liczył, że przez ten czas lud się wzmocni, wojowników przybędzie i łatwiej poradzi sobie Litwa z mnichami.

W Wilnie tymczasem odprawiono weselne gody. Jagiełło dał siostrę swą Maryę za żonę Wojdylle już teraz staroście lidzkiemu.

Wieść o tem oburzyła kunigasa trockiego.

— Jakto Olgierdowa dziewka żoną Wojdyłły została? — pytał przez posłów Jagiełły, a ten mu na to odpowiedział, że Wojdyłło mu druhem serdecznym i bratem miłym jest.

Burzył się stary, pomstował na synowca, ale co było robić. Marya już była w Wojdyłłowym dworze.

A Wojdyłło tymczasem Kiejstutem straszył Jagiełłę, wmawiał księciu, że Kiejsut poto tylko za-

warł zgodę z Krzyżakami, by na Wilno iść, że się układa ze starszymi synami Olgierda i czekać tylko, a rychło tu wpadną i po władzę książęcą sięgną.

I matka Jagiełłowa to samo mówiła i serce syna coraz to bardziej od stryja odwracała.

— Więc cóż mam czynić? co czynić — pytał w końcu Jagiełło. — Mamże pierwszy iść przeciw Kiejstutowi? Wszak on nie napada na mnie?

— Ale siły zbiera, pomocy szuka — mówił Wojdyłło — i tobie panie toż samo należy czynić. Związać się z kimś, kto ma moc i samemu przez to ją zyskać.

— Ale z kim? — pytał Jagiełło.

— Krzyżak ma siły największe, z nim należy zawrzeć przymierze, niech on nęka kunigasa trockiego, niech go niepokoi dniem i nocą, a Jagiełło spokojnie spać będzie mógł — odpowiadał Wojdyłło.

— Ależ to Olgierdów brat, a Witołd druh mój — bronił się wielki książę.

— Starego musi się osaczyć, inaczej wszystkich podusi. Witołdowi włos z głowy nie spadnie, a po śmierci ojca w Trokach zostanie — mówiła księżna — ty musisz myśleć o Wilnie, inaczej marnie zginiesz.

I Wojdyłło wyjechał kędyś nocą z wileńskiego zamku. Służbie powiedziano że jadą do Lidy, zaraz jednak za bramami zawrócono w inną stronę.

Poselstwo gnało do Malborga.

Ugoda z Krzyżakami była zawartą. Hojnie obdarzyli Niemcy Wojdyłłę, wszak on im Litwę w ręce oddawał.

Wojdyłło zaręczał, że Jagiełło chrzest przyjmie i o pogańskiego stryja i jego ziemię troszczyć się nie będzie. Już i z Kawalerami Mieczowymi zawarto ugodę, już i oni mieli prawo ziemie Kiejstuta najeżdżać.

Obmyślono fortel większy, niż wszelkie Kiejstutowskie fortele i by lepiej uśpić czujność starego, na wielkie łowy zaproszono Witołda i starszyznę trocką.

Zjechano się w lasach koło Dawidyszek.

Przybył wielki komandor Elner, a z nim moc komturów i Jagiełło z Witołdem i Wojdyłłą oraz starszyzną litewską.

Szły łowy i uczty, a komandor z Jagiełłą umowę pisaną zawarli i opieczętowali, a dla większej ścisłości Witołda na świadka wzięli, choć on o niczem nie wiedział.

Mocą tej umowy Jagiełło przyrzekał Krzyżakom i Kawalerom Mieczowym pokój zupełny i bezpieczeństwo krajów i ludzi.

Jeśliby zaś zakon szedł z wojskiem na Kiejstuta lub którego z dzieci jego dzielnicę najeżdżał, to Jagiełło mu pomocy nie da i umowy z Krzyżakami zrywać nie może.

Rok nie upłynął od zjazdu w Dawidyszkach, a Krzyżacy poczęli najeżdżać Kiejstutowe włości, niszcząc i rabując tylko jego ziemie.

Opędzał się długo stary kunigas wrogom, obaj z Witołdem z koni niemal że nie zsiadali, bo co z jednej strony odegnali wroga, to on jak z pod ziemi wyrastał w stronie przeciwnej.

Posłów słał Kiejstut do Jagiełły i o pomoc wołał, ale ten ich zbywał niczem, obiecywał, a nie stawiał się, łowami zajęty i spokojny jak nigdy na swym książęcym stolcu.

Aż podejrzenie budzić się poczęło w głowie starca. Zwierzył się ze swymi myślami synowi.

Żachnął się na pierwsze słowa Witołd.

— Jagiełło nas zdradziłby? wołał — ależ przenigdy, on do takiej sprawy nie zdolen! Ojcze! nie mów ty tak na druha i brata mego najmilszego.

— A czemóż — pytał kunigas — ku pomocy nam nie śpieszy, dlaczego zabawia się łowami, gdy Litwa krwią zlana?

— Znam Jagiełłę — mówił Witold — do wojny on nie skory, łowy lubi nadewszystko, a i matka go trzyma.

— A jednak — mruknął Kiejstut, od owych łowów w Dawidyszkach, wszystko na to wskazuje, że jakaś umowa z Krzyżakiem jest,

— Wszak byłem i ja na tych łowach — zaprzeczył Witołd — nie ukryłoby się więc nic przedemną. Wierz mi ojcze.

Zamilkł Kiejstut, a Witold zaraz potem wyciągnął pod Grodno, bo tam zapaliły się łuny.

Do trockiego zamku przygnał poseł tajemny, słał go Krzyżak, przyjaciel Kiejstuta, ojciec chrzestny Danuty, Kuno Liebstein komandor Osterode.

— Kniaziu Kiejstucie — pisał Kuno — syn Olgierda knuje zdradę, wysłannik jego Wojdyłło jeździł w tej sprawie do Malborga. Spisane są

traktaty z wielkim mistrzem i Kawalerami Mieczowymi a ziemie twe pozostawione bez obrony. Miejcie się panie za ostrzeżonego.

Kiejstut działać postanowił. Jagiełło go zdradza, Litwę wydaje wrogom, a więc nie godzien jest rządzić Litwą, wygnany być powinien.

Tejże samej nocy, w której to postanowienie, zapadło, do Wilna przybyło 300 wiernych Żmudzinów, rozłożyli się na noc na ulicach miasta, bo i gospód nie było i nie mieli czem opłacić.

Po północy znowu do miasta wjechało kilkadziesiąt wozów, niby z towarami różnymi, a tymczasem pod słomą leżało kilkuset ludzi. Skoro zaś pierwszy świt ukazał się na niebie, u zwodzonego mostu stał z mężami zbrojnymi sam Kiejstut.

Straże poznały go i wpóściły, wszak Gedynina to był syn.

Nim się w zamku zbudzili, już Kiejstut był na wieży i obie umowy miał w ręku. Więcej pytać nie potrzebował.

Straże czuwały przy Jagiełłowej świetlicy. Księżnę Juliannę, Wojdyłłę z żoną, wszystkich uwięziono.

A gdy zajaśniał dzień, cała starszyzna wileńska chlebem i solą witała nowego władcę. Radość ogarniała wszystkich. Nie będzie już rządów Wojdyłły, a Krzyżak tu zaglądać przestanie.

Posłano gońców do Witołda.

Rzucił młody Kunigas wszystko i do Wilna gnał. Bał się gniewu ojca, bał, by w oburzeniu na śmierć Jagieły nie skazał.

Na moście zwodzonym spotkali go słudzy Kiejstutowi.

— Jagiełło?... — rzucił tylko, nie śmiejąc dokończyć.

— Żyw i cały — w świetlicy swej zamknięty wyroku wielkiego kunigasa czeka — odpowiedział stary Swarno.

Odetchnął kunigas młody i do ojca szedł.

Zaraz u progu spostrzegł, że sprawa źle stoi, Kiejstut, który syna nad życie miłował i pieszczotą nawet dorosłego darzył, tym razem nie witał go, tylko podał mu pergamin z pieczęcią Jagiełłową.

— Czytaj — rzekł — i zobaczymy żali jeszcze go bratem możesz zwać. Toć on nas na pohybel Krzyżakom oddawał.

Wziął Witołd pismo owo i pisarzowi czytać dał, a słuchając drżał cały.

— Widzisz — mówił Kiejstut — kogoś ty bronił za kim wiecznie przemawiałeś, a oni tu podpis twój położyli, jako żeś wiedział o wszystkiem.

Witołd oczy zakrył, a potem jak długi do nóg staremu runął.

— Ojcze, przebacz — zawołał — sprawiedliwym bądź, ale i miłosierdzie miej. Toż Olgierdów on syn jest. Tyś umierającemu bratu obiecał, że Jagielle ojcem będziesz. Toż syn jego najmilszy.

Kiejstut śmiechem się zaniósł.

— Syn najmilszy Olgierda, co Litwę, którą ojciec do śmierci strzegł, Krzyżakom oddaje. Miłował go brat mój, nie wiedząc, że serce on ma nie litewskie.

— Młodości się jego użal, ojcze — błagał Witołd — namówiła go matka, omotała baśniami i uwierzył jej. Wojdyłło też zawinił.

Porwał się Kiejstut.

— To gad najpodlejszy, temu żywcem nie wyjść z moich rąk.

— Jagielle przebacz — powtarzał syn, klęcząc u nóg starca.

I póty błagał, aż zmiękł Kiejstut.

— Życie mu zostawię — rzekł — ale wolności nie dam. Zamknięty będzie.

Uradował się Witołd, byle żył a i wolność odzyszcze niedługo — myślał, znając dobroć ojca.

Cichaczem wymknął się do Jagiełły. Pilno mu było uspokoić brata, zapewnić go, że życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo.

Jagiełło mówić na razie nie chciał. Siedział milczący, ponury, a na wszelkie zapewnienia Witołda jedną miał odpowiedź.

— Ojcu twemu wierzyć nie mogę. Złamał słowo dane Olgierdowi, Wilna mu się zachciało, więc dziś uwięził Jagiełłę, jutro na śmierć go pośle. Nie wierzę mu!

— Jegu — zawołał Witołd — ty się ukorz, tyś zawinił, nigdyby Kiejstut na ciebie ręki nie podniósł, gdybyś pierwszy w układy z Niemcami nie wchodził. Widziałem twój podpis na owej nieszczęsnej umowie w Dawidyszkach. Jak mogłeś?

— Musiałem i muszę się bronić — odparł Jagiełło. — Jeśli chcesz, bym ojcu twemu wierzył,

niech Wojdyłłę uwolni, on tu nic nie zawinił, on sługa, słuchać mnie był winien.

Wojdyłły uwolnić nie myślał Kiejstut i Witołd o to się nie starał. Obaj zdradę widzieli i rozumieli, że matki to była robota i Wojdyłły praca. Księżna wierzyła, że Krzyżacy syna jej królem zrobią, nienawidziła Kiejstuta, bo gdyby nie ten poganin, to i Olgierd przyjąłby wiarę ruską i Jagiełło bałwany czcićby zaprzestał.

Wojdyłło nienawidził kunigasów trockich, o Litwę nie dbał, a nadewszystko miłował złoto niemieckie.

Nie upłynęło i parę tygodni, a Jagiełło był wolny. Oddawał mu Kiejstut księstwa witebskie i krewskie, Kiejstutowi musiał hołd złożyć i przysiądz, że nigdy z wrogiem się nie połączy, a na Litwę nastawać nie będzie.

— Widzisz — mówił Witołd do Jagiełły — że ojciec nie nastaje na twe życie, przysięgi mu dochowaj wiernie, a do Wilna wrócisz jeszcze i na książęcym stolcu zasiędziesz.

— Wojdyłłę mi oddajcie — prosił Jagiełło.

Witołd głową potrząsł.

— Niepodobna — rzekł tamten — zdrada jego jawną jest.

Odjechał więc Jagiełło z matką do Krewe, gdzie już wszystko ku wygodzie brata kazał Witołd przysposobić, odesłał mu konie, stada, psy i sokoły ulubione, a w końcu zebrał się i razem z wygnanym księciem i jego matką pojechał do Krewa. Nie chciał ich zostawić samych, a i Li-

twinom chciał pokazać, że niezgody nędzy kunigasami niema.

A Kiejstut drużynę zebrał i na Niemców wyciągnął, pilno mu było za zdrady im zapłacić. Stary kunigas mężów zbrojnych swych ćwiczył sam, uczył jak na wroga nacierać, jak się z bronią palną obchodzić

Doszli do Jurburga i twierdzę tę oblegli, rowami otoczyli ją, by głodem wziąć, z moździerzy i rusznic strzelali do oblężonych. Ale twierdza miała mury silne, żywności dosyć było w zamku, a dowódcy śmiało poczęli sobie, odpierając pogan.

Mistrz tymczasem krzyżacki na Żmudź poszedł, pustosząc kraj dokoła doszedł do Trok i musiał Kiejstut co rychlej z odsieczą biec, by mu zamku nie zdobyto.

Tak niszczono sobie ziemie wzajem, krwią ludzką spłynęła Litwa dokoła, aż w końcu znowu uczyniono rozejm i jeńców wymieniono. Krzyżacy taką moc mieli ludu litewskiego w niewoli, że aż kunigas musiał dopłacić 4 tysiące grzywien srebra.

VII.

Krzyżacy zrobili rozejm z Kiejstutem, bo pewni byli, że lada dzień a kunigasi litewscy staną przeciw sobie, a oni bez strat zdobędą ziemie litewskie, a może i panami Litwy zostaną.

Na zamku krewskim, smutne dnie pędził Jagiełło. Żal mu było pięknego, bogatego Wilna, pa-

liła go duma, że on syn Olgierda, czołem bił staremu Kiejstutowi, że hołdownikiem jego być musiał. Za Wojdyłłą tęsknił, od dziecka Rusin był przy nim, myśli jego zgadywał, dogadzał we wszstkiem, Jagiełło bratem go mieć chciał i siostrę mu swoją dał za żonę, a oto ten druh serdeczny, brat miły gnije w lochu więziennym.

Codziennie przychodziła do kniazia nieszczęsna Wojdyłłowa żona i łamiąc ręce błagała, by męża z kaźni wydobył.

I matka, księżna Julianna, chodziła chmurna i milcząca.

— Tegom dożyła — mówiła do syna — by jak niewolnica w Krewie żyć, ja którą mistrze krzyżaccy i obcy monarchowie królową być mienili. I cóżby rzekł ojciec wasz Olgierd, na taką poniewierkę żony? na łzy i niedolę córki?

I do mistrza krzyżackiego posłów słała księżna, a syna namawiała wciąż, by hańbę niewoli ze siebie zdjął.

W przebraniu nocą do zamku przybył kędyś Skirgiełło, który na wieść o uwięzieniu Jagiełły do Krzyżaków zbiegł.

Do matki teraz przybył i nocą długo z nią się naradzał, wezwano i Jagiełłę, ale ten siedział ponury i milczący, księżna za niego, sama wszystko obmyślała, a rankiem Skirgiełłę z powrotem wyprawiła.

Poweselały potem kobiety, młody kunigas zato bardziej się w sobie zamknął, spochmurniał, w kniei rad przebywał, za dzikiem zwierzem się uganiając.

I znowu do brata przybył Skirgiełło i od mistrza Winrycha von Kniprode przywiózł mu te słowa:

— Krzyżacy chętnie pomagać księciu Jagielle będą, by do Wilna wrócił, a królem litewskim został, ale wiązać się z pogany, ani im pomagać nie mogą, niechże książe ochrzci się z ludem swoim całym a Zakon stanie za nim.

Księżna Julianna zaklinała syna. Ale Jagiełło zaciął się. Zdrady nie chciał, wszak Olgierd nigdy nie szedł z Niemcami, wszak bogom wiary nie łamał i Gedymin również i za to lud im wierzył, kochał ich i posłuch im dawał. I on w ślady ojców iść chce.

Księżna jednak nie ustępowała.

— Gdyby nie ów dziki poganin, wróg ich zawzięty — mówiła — Olgierd nie zmarłby w pogaństwie, a i Gedymin była chwila, że chciał wiarę świętą przyjąć.

I synowi kornie się do nóg chyląc mówiła księżna,

— Jegu, synu najmilszy Olgierda, użal się niedoli starej swej macierzy, próśb jej wysłuchaj, wszak i kijowski kniaź Włodzimierz poganinem był, w Boga prawdziwego uwierzył i nic mu bałwany nie zaszkodziły i król polski Mieczysław również się ochrzcił czemuż ty nie masz być pierwszym królem Litwy, jej apostołem?

— Pozwólcie matko — prosił znużony ciągłą walką książe — niech się mamyślę, nie każcie mi tego dziś zaraz robić.

Uczuła księżna, że zwycięstwo już w jej ręku

— A więc dobrze — rzekła — nie chrzcij się teraz, obiecaj tylko... za rok, za dwa roki...

— Nie, nie — mówił machając ręką Jagiełło. ani za rok, ani za dwa.

— A wię za cztery roki, synu, Bóg chrześcijan przyjmie cię za syna — powiedziała stanowczo matka.

I wyszła z komnaty, a książe odetchnął. Nie skończyło się jednak na tem powiedzeniu, zmusiła go matka, że dał zobowiązanie pisemne, iż za cztery lata wiarę świętą z ludem swym przyjmie.

Z tem zobowiązaniem pognał znowu Skirgiełło do mistrza, by za nie pomoc przeciw Kiejstutowi uzyskać.

Krzyżacy skwapliwie przyrzeczenie księcia wzięli i obiecali pomoc, ale wciąż wyprawę do Litwy odkładali, tłumacząc się że pora nie po temu.

. . . .

Do Jagiełły przybył poseł od Kiejstuta, na wyprawę go przeciw bratu Dymitrowi, co siedział na Smoleńsku wzywając.

Dymitr stryja słuchać nie chciał i moskiewskiemu księciu poddał się.

— Na brata masz iść — zawołała księżna matka gdy się o tym rozkazie dowiedziała — masz własną krew przelewać Jegu, czyż to nie pora starcowi temu pokazać raz, żeś nie niewolnik?

A za drzwiami świetlicy rozległ się krzyk straszny i płacz niewieści, porwał się książe, chcąc zobaczyć co się dzieje, gdy się podwoje otwarły

i wpadła z płaczem i jękiem siostra Marya, Wojdyłłowa żona.

Weszła i do nóg brata rzuciła się.

— Wojdyłło nie żyje — wołała płacząc — mąż mój zabit jest.

— Wojdyłło! — krzyknął blady jak trup książe, chwytając siostrę — coś rzekła?

— Kiejstut go zabił niechybnie — spokojnie powiedziała księżna Julianna, której śmierć ta wydała się łaską losu, teraz bowiem nie wątpiła w zemstę Jagiełły.

Wezwano posła, który tę wiadomość przywiózł, wysłaniec to był dawnego dworzanina Olgierdowego, Awnulla, przyjaciela Wojdyłły i wielkiego księcia Jagiełły.

Gdy Kiejstut zagarnął Wilno, Awnull udał mu wierność i tak potrafił zdobyć zaufanie starego kunigasa, że ten mu teraz straż zamku zostawił i namiestnikiem go swoim w Wilnie uczynił.

Wojdyłły los był gorszy. Zamknięty w kaźni, do Niemców o pomoc się udawał. Kiejstut zwiedział się o tem i niespodziewanie, przed wyjściem na wyprawę ruską, na Łysej górze powiesić go kazał.

Awnull wieść tę przysyłał i zawiadamiał, że Wilno odda Jagielle, wzywając go, by co rychlej przybywał dziedzictwo swoje odebrać.

Blady do upiora podobny słuchał Jagiełło posła. Śmierć Wojdyłły była dla niego ciosem strasznym, teraz się wahać nie będzie.

Mógł cierpieć, że mu ojcowiznę wydarto, ale śmierć druha nie daruje.

Nie rzekł jednak słowa jednego, zawziął się w bólu i nienawiści swej i wszystkim iść od siebie kazał. Próbowała matka zostać, ale syn milcząco dał znak, że chce być sam i musiała posłuszną mu być...

Ciągnął Kiejstut na Ruś, a Jagiełło dał mu znać, że z Witołdem się złączy i razem ku pomocy mu pójdą.

Czekał więc młody kunigas trocki ze swoimi ludźmi pod Wilnem, gdy naraz nocą spadł na niego jak na wroga Jagiełło i rzeź uczynił straszną. Zabijano spiących i bezbronnych. Sam Witołd uciekać musiał.

A Jagiełło wjeżdżał do Wilna, którego bramy otwierał mu Awnull.

Teraz ruszyły się Białe płaszcze, pora była odpowiednią. Litwa niemal że bez boju mogła wpaść w ich ręce.

Witołd matkę i żonę swą Annę Światosławównę co rychlej z Trok do Grodna wywiózł, wojska nie było, bo jego ludzie polegli, a reszta poszła z ojcem na wyprawę. Trzeba więc było lud ku obronie zbierać.

Gdy wtem jak stary orzeł spadł z powrotem Kiejstut. Doszła go wieść o zdradzie Jagiełły i spieszył ziemi bronić. A już Jagiełło z Krzyżakami Troki oddali Skirgielle.

Wysłano kobiety do Brześcia, posłano do zięcia Kiejstutowego Janusza, męża Danuty, żądając

W tejże chwili obu kunigasów trockich otoczono ze wszech stron. Witołd spostrzegł zdradę i rzucił się do ojca, ale opadnięto go ze wszystkich stron, wzięto między konie i pognano do Wilna. Kiejstuta również tam wieziono.

W Wilnie Witołda poprowadzono do górnego zamku, Kiejstuta zwleczono z konia, okuto w dyby i zaraz tejże nocy wieziono pod strażą do Krewa.

W świetlicy swojej na zamku chodził niespokojnie wielki książe. Lęk, wstyd go ogarniał. Czuł, że źle, niegodnie postępuje.

Komtur krzyżacki siedział za stołem i uśmiechał się chytrze.

— Wasza miłość szczęśliwa powinna być, ustaną walki i niesmaki.

— Zabił ci, zamordował druha — mówiła księżna matka — odebrał księstwo — i ty miałbyś mu wybaczyć?

— Kto pojechał z nim? — zapytał książe niepewnym głosem.

— Skirgiełło — odrzekła matka — i strażnicy dwaj: Kuczyk i Lisica Żybentiej.

— Na zamku krewskim, jest wierny Proksza i brat nasz Hans — dodał Krzyżak — opieki więc mu nie zbraknie — i to troskiwej.

. . . .

Nigdy jeszcze takiej poniewierki nie doznawał bohater Litwy i jej obrońca, jak teraz, gdy go na słomie skutego wieźli do Krewa. A zaraz po przy-

byciu na miejsce, porwali go siepacze i do ciemnego, wilgotnego lochu, do którego wrzucano ostatnich zbrodniarzy wepchnięto Kiejstuta, chleba kawał i konewkę wody rzucając mu z łaski jak psu.

A Niemiec, co go Krzyżacy przysłali, by wraz z tamtemi strzegł więźnia szeptał do Prokszy:

— Żywym on stąd wyjść nie powinien, kniaź kazał, pomnijcie że gdybyście go stąd wypuścili, śmierć wam i dzieciom waszym. — Umrzeć może, wyjść stąd nigdy...

Cztery dni w strasznym lochu tym przebył Kiejstut. Piątego o świcie przyszedł Skirgiełło, by stryja zobaczyć.

Odwalono drzwi lochu, lecz nikt się nie odezwał. Zajrzał tam syn Olgierda i zadrżał.

Na słomie leżał Kiejstut nieżywy, sznur od futra zaciskał mu szyję. Zimne, zastygłe było ciało kunigasa, a duch poszedł na Anafielas do ojców, do brata Olgierda.

Lęk zdjął Skirgiełłę. Co będzie, gdy lud się dowie jak zginął jego kunigas?

Kazał więc co rychlej wydobyć ciało z lochu, na wóz je złożyć i wieść do Wilna, by tam na dolinie Swentoroga pogrzeb wyprawić.

Do Wilna, do wielkiego księcia słał gońca z wieścią o śmierci stryja

. . . .

W świetlicy swej leżał przed ogniem Jagiełło i na płonące łuczywo patrzył.

Od chwili wywiezienia Kiejstuta spokoju nie

zaznał, bogom ofiary składał, ale nic nie pomagało, nocą sypiać nie mógł, z każdego kąta wyglądała ku niemu siwa głowa starca, jak ją widział, gdy skrępowanego rzucono na wóz.

Witołdowi nic złego nie uczynił, pamiętał, że gdyby nie on, to stary Kiejstut, może by go wraz z Wojdyłłą na jednym dębie obwiesił.

Wzdrygnął się na tę myśl i czemuż teraz taki niepokój go ogarnia? Wszak dla spokoju Litwy to uczynił.

Z myśli tych zbudził go szmer jakiś za drzwiami, klasnął w dłonie.

Wszedł sługa i pokłon dał.

— Kunigasa trockiego — mówił — ciało wiozą, panie. Na dolinę Swentoroga go prowadzą.

Porwał się Jagiełło.

— Co? co? — pytał i naraz zatoczył się. Zdało mu się, że widzi krwawe widmo Kiejstuta przed sobą.

Rankiem o świcie wyjeżdżał blady, przerażony książę z Wilna, jechał w las, na łowy.

Gnało go stąd straszne, okropne widmo. Zaledwie jednak do bram miasta dopadł, gdy drogę mu zajechał wóz — to Kiejstut wracał do Wilna i poraz drugi wyganiał z książęcej siedziby Jagiełłę. Wracał tu wolny duch narodu, potężny miłością i poświęceniem dla swej ziemi.

Wracał, by zdradę stąd gnać i ziemię od Niemców osłaniać.

. . . .

. . . .

Zapalił się stos ofiarny na dolinie Swentoroga, płonął na nim ostatni kunigas Litwy, do ojców szedł obrońca jej...

A na zachodzie ponad Wisłą w Lechii witano jasną Dejwę...

Dejwę, co miała stamtąd przyjść do Litwy i zetrzeć jej wroga. Dejwę zapowiedzianą przez wajdelotkę Żywilę!...

ZAKOŃCZENIE.

Szumią fale żółtego Bałtyku i o wysoką górę uderzają, na górze pod dębem w świątyni płonie ogień święty, a przy nim siedzą biało ubrane wajdelotki. Pieśni śpiewają, ognia pilnują i kwiecie, co moc ludziom niesie, tu suszą.

Noc jasna była, wajdelotki, jak zazwyczaj czuwały, gdy koło północy uchyliła się zasłona i weszła niewiasta w białe płótno zawinięta. Nie spojrzała na nikogo, słowa nie rzekła, do ognia podeszła i przy nim usiadła.

Nie śmiały pytać kto jest i skąd przychodzi i jakiem prawem siada tu, gdzie tylko kapłanki siadać winny?

A ona siedziała milcząc, a zaledwo zaś tknęła ognia, gdy ten jasnym słupem do góry strzelił.

— Żaliż to nie sama Praurima? — myślały kapłanki, patrząc nieśmiało na przybyłą. — Może Przedwieczna pouczać nas chce? może my źle jej służyły?

Wczesnem świtaniem przybył kapłan ofiary składać, zdumiał się ujrzawszy siwowłosą wajdelotkę!

— Birutą jestem — rzekła, widząc zdumiony wzrok jego. — Widymuntową córką; Kiejstut mię

stąd zabrał przed laty, teraz gdy on do ojców odszedł, Praurima kazała mi tu wrócić, ognia strzedz.

I została u ognia, strzegąc go cicha i milcząca, a pracowita, ofiarna i dobra, jako żadna. Zioła znała święte, co w puszczy rosną, a ludziom moc dają i słowo miała słodkie, co pociechę do serc wlewa i tę miłość, co wszystko zwycięża.

I biegł tu lud w każdej niedoli, a ona pomoc i radę wszystkim niosła i dawała.

— Dejwa to jasna, Praurima chyba sama — mówili ludzie dokoła, a gdy umarła górę nazwano jej imieniem Raksztis Szwentas Birutas (Górą świętej Biruty)...

Szumią fale Bałtyku i po dawnemu myją stopy góry i pieśni nucą o wajdelotkach co tu niegdyś żyły,

Przeminęły wieki całe, zapomniano wielu rzeczy. o wielu ludziach nie pamiętają najstarsi, żyje jednak pamięć pięknej Widymuntowej córki, lud dotąd pieśni o niej śpiewa i opowiada o jej dobroci. Bo przemijają ludzie, przemijają narody, lecz żyje pamięć ich czynów.

KONIEC